



WALERY PRZYBOROWSKI

GRUNWALD

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

WYDANIE NOWE



NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141



132930

Odbito 2200 egzemplarzy numerowanych
z ilustracjami B. Nowakowskiego.

№ 01484

Zakł. Druk. F. Wszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15

JK/100191

ROZDZIAŁ I.

*W którym kum Rojek, Przekorą zwan, wszystkie-
mu się sprzeciwia.*

Mróz był trzaskający; śnieg od niego błyszczał pod słońce jak iskry ogniste: na gałęziach jodeł odwiecznej puszczy Jedlniańskiej zwieszały się kiście szronu, a po boru włóczyła się jakaś biaława, iskrząca się szezoga. Gdyby nie to, że wiatru nie było i wielka cisza drzemała w powietrzu, trudno byłoby człeku zdzierzeć takie zimno, bo mróz był, jak to mówią, siarczysty. Zwierz w lesie porykał, a całe kierdele sarn i jeleni włóczyły się szukając żeru, ogryzały korę i głodem zmuszone podkładały się nawet pod chatę leśnika królewskiego, Pietrka Warchoła, która w głębi puszczy, nad zamarzłym teraz strumieniem, na karczowisku, stała samotnie, otoczona dokoła parkanem z mocnych bali modrzewiowych wzniesionym. Chata była duża, wygodna, miała nawet komin, sterczący wysoko nad strzechą, z którego teraz dym cienkim pasmem, niby pióropusz nad hełmem rycerskim, się unosił.

Na obszernym dziedzińcu psy ujadają, a w cha-

cie, w dużej, napół ciemnej świetlicy, bo przez małe okienko, błoną zalepioną, niewiele światła się dostawało, mieściło się na ławach kilku chłopów, w kozuchy ubranych, we wściekłych czapach na głowie, z oszczepami w rękę, z łukami i sajdakami przewieszonymi przez plecy. Byli oni wszyscy wzrostu ogromnego, barczyści, o surowem wejrzaniu, starannie wygoleni, jeno z pod czap wydostawały im się bujne, rozczochrane, skoltunowane włosy. Kole drzwi, na podmurowaniu z kamieni polnych gorzał wielki ogień, ze smolnych skarp i korzeni naniecony i migotliwe jego blaski padały na ponure postacie leśników Króla Jegomości Jagiellowych, ślizgały się i nikły, tworząc dziwny obraz pół jasny, pół ciemny. Tuż kole ogniska, na ławie, starannie otulony w kozuch, w czapie z łbem wilczym na niej, siedział sam gospodarz chaty, starszy nad leśnikami królewskimi, Piotr Warchoł. Był on już stary bardzo, chudy, wynędzniały, o zapadłych oczach, z brodą, która, dawno niegolona, porosła niby szczecina i siwa była zupełnie. Trząsł się przytem co chwila i zębami dzwonił.

— He! he! — mówił Piotr Warchoł — choróbko mię wielmi¹⁾ zmogło, a tu przykaz królewski jest, żeby polowanie było gotowe. Już mnie nie na polowanie, nie, jeno na śmierć okrutną.

I staruszek zgiał się jakoś w sobie i głosem dygocącym począł nucić żałościwie:

¹⁾ bardzo.

Gdzie ma siła, ma robota,
Głupim robił po ty lata,
Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie
Tylkom sam urobił sobie.

I ten głos dygocący rozchodził się po izbie, ni-
by jęk jakiś, a po zżółkłym licu staruszka ślizgały
się czerwone blaski ogniska i czarne plamy cieni.

— Ej — ozwie się na to jeden z leśników — nie
gadalibyście Pietrze, jeszcze wam nie na śmierć, je-
no na życie...

— Wiem ja, wiem lepiej od ciebie, Jaśku, jako
mi jest — odrzekł Warchoł — ale nie na to zesz-
liśta się w mojej chałupie, żeby o mnie chudziaku
gadać, jeno o przykazie pana starościny. Był-li
tkóry z was, gospodarze, pod ten czas w Kozieni-
cach? Pedali mi tu ludzie, idący z targu od Kozie-
nic, co tam wielgi most budują. Widział go tko
z was?

— Ja widziałem, panie starszy! — zawołał jeden
z leśników.

Warchoł podniósł załzawione i czerwone oczy
na mówiącego, ale zapewne z powodu ciemności
nie mógł go dobrze rozróżnić, bo spytał:

— Tko gada?

— Ja.

— Tko pytam, jak się zowiesz?

— Żelko z Siczek.

— Aa! Żelko... słucham... słucham. Byłeś w Ko-
zienicach?

— Byłem, panie starszy.

- Widziałeś on most?
- Przecie, że widziałem.
- Jakże to jest. Naprawdę most budują?
- A naprawdę. Wielka to tam robota. Okrutne sosny, jodły i modrzewie ścinają i czynią z nich łodzie duże z rozkazania pana Dobrogosta, starosty z Radomia.
- Łodzie pedasz?
- A łodzie.
- Ja się pytam o most, a ty mi o łodziach gadasz.
- A kiedy to tak. Z tych łodzi będzie most.
- Jakże to może być?
- Wiem ja to jak? Gadał mi jeden cieśla, Dalech ma przezwisko, co kupił ode mnie na targu miodu przasnego, że przelożństwo nad owem budowaniem ma mistrz...
- Jak?
- Mistrz, tak go nazywają, co go aż z Krakowa pono sprowadzili.
- Dziw! dziw! i kajże ten most stanie?
- A na Wiśle.
- Podle Kozienic?
- Gdzieby zaś podle Kozienic.
- A kajże?
- Wiem ja to kaj? Gadali mi Dalech, co one łodzie, jak będą gotowe, spławią Wisłą, kajś tam daleko... zabaczyłem, jak się to miasto nazywa.
- I to wszystko z przykazania Jegomości Królewskiego?
- A juści, że chyba tak.
- W tejże chwili na środek izby z cienia wysunął

się jeden z leśników, Mateusz Sekuła z Ostrownicy i rzekł:

— Bo to widzita kumie Pietrze, będzie wojna i kuli tego ów most budują w Kozienicach.

— Hm! słyszałem ja tu, że pono będzie wojna, ale z kim?

— Z Miemcami.

— Z Miemcami pedasz?

— Z Miemcami i kuli tego to Król Jegomość nakazał wielkie polowanie w naszej puszczy, coby wojsko i rycerze mieli co jeść. Mam też jeszcze wam coś rzec kumie Pietrze i wam gospodarze z przykazu pana starościnego. Zbliżyła się chłopy, bo to wielka tajemnica, a tko parę z gęby puści, srogiego karania napyta.

Wszyscy przysunęli się do gorejącego ogniska, a ów leśnik głosem stłumionym mówił:

— Pan starosta Dobrogost Czarny dowiedział się, że po naszej puszczy i tyż kole Kozienic włóczą się różne dziady, baby, niby po proszonem, a wszyscy oni są to jeno ostrzegacze¹⁾ miemieccy, tkórzy chcą się wywiedzieć o wszyćkiem, co się u nas dzieje, żeby onym Krzyżakom donosić.

— O niecnoty! — zawołał ktoś w tłumie.

— Pewnie, że niecnoty. Tedy z rozkazania pana Dobrogostowego, starosty naszego, mamy bacznie strzec i pilnować po puszczy, żeby owi ostrzegacze miemieccy nie włóczyli się i nie przepatrywali kątów, a jeśli tko takiego niecnotę chyci, ma

¹⁾ Tak zwano wówczas szpiegów.

go zarasieńko odprowadzić do pana starosty Dobrogosta do grodu radomskiego. Zrozumieliśta gospodarze?

— Zrozumieliśwa, cośwa nie mieli zrozumieć!

Zapanowało chwilowe milczenie, jakgdyby wiadomość o krzyżackich ostrzegaczach dała wszystkim dużo do myślenia, gdy nagle ze środka gromady ozwał się piskliwy głos Mikuły Rojka ze wsi Makosy, którego też zwano Przekorą, bo choćby kto nie wiem co gadał najsprawiedliwiej, on zawsze musiał przeczyć nawet najoczywistszej prawdzie. Chłop był już niemłody i ponury, ogromnego wzrostu, jak wszyscy w tej odwiecznej puszczy, czarny, i przez dziwną sprzeczność ze swoim wzrostem miał głos cienki i piskliwy, jak u niewiasty. Kiedy więc wszyscy umilkli, zastanawiając się nad przykazem pana starosty radomskiego Dobrogosta Czarnego z Odrzywoła, Mikuła ozwie się:

— Dziwno mi to barzo¹⁾ o tych tam miemieckich ostrzegaczach, bo mogą to oni chodzić po puszczy i kąty przeglądać, kiej całe gromady wilczy-sków się włóczą. Nie pożarliby to ich już w boru?

— Hm! — ozwie się na to Warchoł — i to prawda. Wczoraj na odwieczerz to ich cała kupa przy-leciała tutaj pod moją chałupę i wyły niecnoty, aż Sławek z parobkami ledwo ich kamieniami i też smolnemi łuczywami odegnał.

— A widziła! — zapiszczał Mikuła Rojek.

Ale na to Mateusz Sekuła z Ostrownicy ozwie się:

— Wy ta Rojku zawdy sprzeczny być musita. Czy

¹⁾ Bardzo.

ta wilki jedzą ostrzegaczy, czy nie, ja nie wiem, ale przykaz pana starosty jest i spełnić go należy.

— I to prawda — rzeknie Warchol — i po próżnicy niema co gadać. Przykaz jest i koniec. Pilnujta się więc gospodarze, a jak tkórego ostrzegacza chycita, zara z nim do grodu radomskiego, to wam srodze przykazuję, jako mam nad wami przełożęństwo. A tera gadajmy o onem polowaniu królewskim.

Zatrząsł się cały od zimnicy, otulił się kożuchem, czapkę z łbem wilczym nacisnął na czoło i mówił swym dygocącym głosem:

— Po sprawiedliwości, jakom to wasz starszy, powinienem ja sam wszyćko, jak należy zarządzić do onego polowania, jak mię na to ustanowił tutaj miłościwy Król Jegomość. Mogę li ja to robić, kiej mię choróbsko zmogło i zimnica mię trzęsie nikię osiką wiatr?

— Po sprawiedliwości nie, bo nie możecie kumie Pietrze — ozwie się na to Mateusz Sekuła z Ostrownicy — jeszcze bysta się większej niemocy nabawili włócząc się po boru na mrozie i śniegu.

— Ano... widzita... tedy ja tak sobie myślę, że potrza coś na to poradzić i oto cō wymyśliłem. Wam kumie Mateuszu zdaję moje przełożęństwo nad leśnikami i przykazuję im srodze, coby was jako mnie samego słuchali, i wy już zaradzicie kaj tkóry ma stać i tkóry ma się wywiedzieć, kaj są legowiska niedźwiedzi, kaj rysie chadzają, kaj kozy i też inny zwierz przesiaduje. Dobrze?

— Kiej taki jest przykaz kumie Pietrze, to dobrze — odrzekł Mateusz.

— A wy, gospodarze — mówił dalej Warchoł, — macie słuchać Mateusza, jako mnie samego, przykazuję wam! Sławek! hej Sławek!

Wołał i oglądał się na wszystkie strony i mówił:

— Kaj ten wartogłów się zapodział? Sławek! Sławek!

Gdy ów Sławek się nie pokazywał, poczęli też i inni wołać, aż od sieni drzwi się rozwarły i ukazała się w nich młoda dziewczyna, może z piętnaście lat licząca, w zapaskę ubrana, ale czysto i świeżo, i cała zarumieniona rzekła:

— Tatulu, Sławko poszedł z parobkami do boru, bo od strony Kosieńca jakieś krzyki słyszać.

Mówiła to stojąc we drzwiach, a na jej złote włosy, ognisko rzucało blaski złociste; zawstydzona widokiem tyłu gospodarzy, rumieniła się jak wiśnia.

— Co za krzyki? — spytał Warchoł.

— Wiem ja to? pewno wilki się żrą...

— Przynieś no mi kulę ¹⁾ Jewka.

Jewka skoczyła do sieni, a stary dygoczący Warchoł wiódł za nią spojrzeniem z wielką miłością, bo dziewczucha była jedynaczką i oczkiem w głowie u niego.

Tymczasem Mikula Rojek z Mąkos, Przekorą zwan, znowu się ozwie swym piskliwym głosem:

— Dziwno mi barzo, kumie Warchole, że wy swoje przełożństwo oddajecie Mateuszowi, jakby

¹⁾ Kulą nazywano w Jedlni łaskę zakrzywioną, która była oznaką starszeństwa. W razie zwoływania gminiaków na wiec, kulę tę posyłano od gospodarza do gospodarza.

innych gospodarzy sprawiedliwych w puszczy naszej nie było.

Tedy Warchoł wyprostował się na ławie i groźnie krzyknął:

— A la czego ja nie mam oddać przełożenstwa Mateuszowi?

— La tego, kumie Warchole, co Mateusz jest z Ostrownicy, a wiadomo, że Ostrownica leży nie w boru, i tamtejsi kmiecie i gospodarze cale wszelakich skrytości puszczy nie znają!

— Ej nie pletlibyście Mikulo — rozległy się na to głosy — Mateusz nie znają skrytości puszczy! Prawdziwa z was przekora, Mikulo!

Warchoł już gniewnie wołał:

— Ja mam od samego Króla Jegomości moc czynienia. La czego ja nie mam zdać mego przełożenstwa Mateuszowi, kiej mnie się tak podoba? He, la czego? Ja za to odpowiadam przed Królem Jegomością i panem starostą, a nie ty, Mateuszu Rojku. Jest przykaz, co masz mnie słuchać, a 'nie, to sąd!

— Sprawiedliwie mówią Warchoł! — ozwały się głosy.

W tejże chwili wbiegła żwawo do izby Jewka niosąc kulę, którą wręczyła ojcu, a on oddając Mateuszowi Sekule, rzekł:

— Naści Mateuszu, zdaję wam moje przełożenstwo, a tkoby ośmielił się was nie posłuchać tego macie sądzić, jako jest zakon i prawo. Tedy pilnujcie się, żeby zarządzić jako należy wszystko, żeby Król Jegomość, pan nasz miłościwy, nie mierził sobie, jeno żeby zwierza wszelakiego było poddostatkiem. Jak będzie potrzea zwołać wszystkich gospo-

darzy i komorników z całej puszczy, ze wszystkich wsiów, to zwołajcie. Macie na to kulę...

— Nie bójta się kumie Pietrze — odrzekł Mateusz — wszystko będzie jak należy i wstydu nijakiego nie będzie.

Jewka wsunęła się tymczasem w kąt ciemny izby i przysłuchiwała się pilnie rozmowie gospodarzy, a Warchoł stękał i gadał:

— Miałem cosik jeszcze rzec... zabaczyłem.

— Kogóż, kumie Pietrze chcecie przystawić do Króla Jegomości? — spytał Mateusz.

— A właśnie... dobrze, żeście mi przypomnieli Mateuszu. Moją to jest powinnością stać przy Królu Jegomości, ale mogę ja to z mojem chorobskim? Wy też Mateuszu będziecie mieli niemało turbacji, to gdzie wam tam być przy królu! Prawda?

— Prawda, sprawiedliwie mówicie kumie Pietrze... gdzie mnie tam stawać przy takiej jasności pana królewskiej! Mało to ja będę miał roboty?

— Widzita..., tedy ja postanowiłem, co przy Królu Jegomości, jako przystaw nasz puszczański, będzie mój synaczek Sławek, tkóry też jest chłopak rozgarnięty i nauczny, ile że i na piśmie się zna, bo był bez cały rok w szkole u fary w Radomiu, a w puszczy obraca się jako we własnej chalupie.

— Dziwno mi barzo — zapiszczał nagle Mikołaj Rojek — dziwno mi barzo, że na przystawę pana królewskiego, kum Pietrz przeznacza takiego pędziwiatra i młokosa, jakim jest synaczek jego Sławek. Niema li to w naszej puszczy gospodarzy statecznych, kmieci sprawiedliwych, żeby aż przy królewskiej jasności przystawiać gołowasów?

Pietr Warchoł zatrząsł się, niewiadomo, czy z gniewu, czy też z gorącości swojej choroby i chciał coś odrzec, gdy mu przerwał Mateusz.

— Możebyśta chcieli, kumie Mikuło, ażeby was wyznaczył Pietrz na przystawa pana królewskiego? Dopiero byłoby śmiechu!

Mikuła na to zapiszczał gniewliwie:

— Śmiechu? a la czego śmiechu?

— Boście gruby nikiej pień, a nożyska macie popuchnięte.

— Sprawiedliwie mówią kum Mateusz! — rozległy się głosy.

A kum Mateusz nie zważając na gniewliwe pomruki Mikuły, prawił dalej:

— Wiadomo, co przy Królu Jegomości potrzeba być jak fryga, biegać kaj każą, strzec poświęconej jego osoby jako żrenicy w głowie, na zwierza iść z oszczepem, wszelakiego przezpieczeństwa pilnować. Moglibyście to zrobić, kumie Mikuło, kiej jesteście starzy i nożyska was bolą?

— Sprawiedliwie mówią Mateusz! — ten i ów zawołał.

— Ja też o sobie cale nie gadam — tłumaczył się Mikuła.

— A o kimże gadacie?

— Ano... czy to kromia Sławka niema innych śwarnych chłopów, gospodarzy i kmieci, coby godnie mogli być przystawami przy osobie pana królewskiej. Nie szukając daleko, czy to przystawem nie może być Wojciech Zaciek z Pacyny, tkóry jest gospodem, a zwinny nikiej wiewiórka, albo Jadam Kania, albo Szymon Piskorz i inni? Nie! wy musita

zawdy swego jeno wyznaczyć na przystawa pana królewskiego, bo wiadomo, że taki przystaw przez nagrody od Króla Jegomości nie ostanie. Chytry z was naród i tylo!

— Przy Pietrze jest rząd i on ze swego starszeństwa wyznacza przystawa. Takie jest prawo i gadać po próżnicy niema co! — odrzekł na to Mateusz. — Sławek jest chłopak śwarny i nauczny, a nie taki chłop i gamajda, jak Wojciech Zaciek, jak Jadam Kania albo Szymon Piskorz, tkóry trzech zliczyć nie umie, a gdy się do niego gada, to jeno gębę rozdziawi i huka: hm... niby tak... i tylo. Można to takich niezdarów przy Królu Jegomości przystawami robić? Pytam się was kmiecie i gospodarze, coście się tu na naradę zebrali?

— Pewnikiem, że nie można! — rozległy się głosy kmieci i gospodarzy.

— Więc zgoda na Sławka?

— Zgoda! zgoda!

— No, to nie mawa ju tu co robić, wszystko po należytości ułożone i czas wracać do chałupy, bo noc za pasem, a wilczyśka po puszczy się włóczą. Ostańta z Bogiem, kumie Pietrze, a niech was kowalka wysmaruje niedźwiedziem sadłem, a pewnikiem choróbsko pójdzie na bory, na lasy. Ostańta z Bogiem. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

— Na wieki wieków kumie Mateuszu. A pamiętajcie chłopcy o przykazaniu pana starosty Dobrogosta i chytajcie onych miemieckich ostrzegaczy! — mówił Piotr Warchoł.

— Będziewa pamiętali, bądźcie spokojni, Pietrze.
Ostańta z Bogiem!

Powoli wszyscy wyszli z izby, a niebawem sły-
chać było jeno skrzypienie sanek, któremi ten i ów
z dalszej wsi przyjechał, i głośnie rozmowy tych,
którzy piechotą przyszli. Świetlica opustoszała i ci-
sza była w niej teraz wielka, jeno smolne skarpy
na ogniu przyskały głośnie, a Mateusz, otulając się
kożuchem, rozmyślał nad czemś, gdy z ciemnego
kąta wysunęła się Jewka i lękliwie zawołała:

— Tatulu!

— A ty co tu robisz? Skądś się tu wzięła?

— Stałam sobie w kącie i wszystko słyszałam.
To Sławek będzie przy królu przystawem?

Piotr popatrzał na kraśną dziewczuchę i rzekł:

— A no, tak!

— O laboga, tatulu, i z samym królem będzie
gadał?

— A juści, jakżeby było, jak go się Król Jegomość
o coś spyta, to gadać musi.

Dziewczyna się zamyśliła, brodę na ręce wsparła
i po chwili spytała znowu:

— Tatulu!

— Co?

— Widzieliście wy kiedy króla?

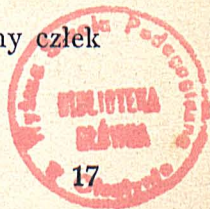
— Albo to raz!

— I gadaliście z nim?

— A jakże.

— O laboga! laboga! to musi być straszny człek
ten król?

— Co ma być straszny! dobry pan i tyło.



— I w złocie chadza?

— Kajby ta po puszczy w złocie chadzał! Ma jeno na sobie piękny kożuch kuni i kołpak takiż na głowie.

— A korony nie ma?

— Gdzieby zaś w koronie chadzał. Korona jest w Krakowie schowana na zamku.

— O laboga! laboga! Tatu, a jak król tu do nas do puszczy przyjedzie, obaczę ja go?

— La czego nie? obaczysz.

— A nie będzie on srogi na mnie?

— Za cóżby miał być srogi. Ale idź do izby cze-ladnej, niech wieszczę dają; ja se też legnę, bo mię słabość nęka.

— Ju lecę.

Jewka wyskoczyła, a Piotr Warchol otulił się kożuchem i patrzył jak iskry pryskają ze smolnych drew i słuchał jak puszcza szumiała.

—————

ROZDZIAŁ II.

*W którym parobek, Gamajdą zwan, nic nie mówi,
jeno bobiem się karmi.*

Sławek Warchol był chłopcem liczącym koło 18 lat, żwawym, czynnym, energicznym, a nade-wszystko na swój wiek niezwykle uczonym, bo

umiał czytać i pisać, a nawet liźnął trochę łaciny. Pochodziło to stąd, że ojciec przeznaczał go pierwotnie na księdza, ale potem zmienił co do tego zdanie, zwłaszcza, że i Sławek chętniej porał się rzemiosłem rycerskim i myśliwskim, niż księgami. Z łukiem i oszczepem nieraz całe dni a nawet tygodnie przepędzał w puszczy. Był wtedy najwesołszy i najszcześliwszy. Stąd też znał puszcę począwszy od Jedlni i Kozienic, aż po Gniewoszków i Zwolen z jednej strony, a po Głowaczów, Ryczywół i Jedlińsk — z drugiej strony. Nie było ostępu, nie było najbardziej zarosłej lub ukrytej miejscowości w puszczy, gdzieby nie chadzał i własnymi nogami nie zbrodził. Ciekaw był przytem bardzo, wszędzie zajrzał, wszystko musiał widzieć, wszystkich znał w okolicy, w rzadko wśród puszczy rozrzuconych siedzibach ludzkich, lub w takich dworach pańskich, jak pana Żelysława herbu Gryf z Brzózy. Słusznie go też stary Piotr Warchoł wybrał na przystawę do Króla Jegomości, bo nikt lepiej i zwawiej nie mógłby tego obowiązku wykonać.

To też skoro Sławek dowiedział się o swem przeznaczeniu i o tem, że należy pilno strzec, aby Niemieccy ostrzegacze nie włóczyli się po puszczy i kątów nie przeglądali, a czego Boże broń, jakiej nieciernej zasadzki zasię na Króla Jegomości nie uczynili, już ani chwili nie usiadł doma, jeno dobrawszy sobie jeszcze trzech parobków, takich zuchów jak sam, przewiskiem Stańko, Jacek i Dobek, ciągle przesiadywał w puszczy. Żywności to niewiele wziął, jeno parę bochenków chleba i króbkę lubia-

na soli, bo czy to w puszczy mało zwierza, żeby zasię ze sobą karmię nosić.

Kiedy się wyprawiał do boru i wysłuchał pokornie a bacznie przykazania ojcowskiego, to Jewka w sieni przyskoczyła do niego i mówiła:

— Sławku, weź mnie z sobą!

— Kaj cię mam wziąć?

— A w puszcę.

— Po co?

— A no, bo to (tu się zmieszała) jabym chciała króla obaczyć. Jeszczem też nigdy króla nie widziała.

— Żali król jest w puszczy?

— Mówili wczora gospodarze co przyjadzie.

— Jak przyjadzie, to go obaczysz, a tera siedź doma i pilnuj ojca, bo jest stary i choróbsko go nawiedziło. Cieee! co jej się zachciewa, do puszczy... chodzą to dziewczki do puszczy?

— Czemuby nie miały chodzić? — mówiła Jewka — nie byłam to ja w puszczy?

— A zwierz dziki?

— Boję to ja się zwierza? Z łuku nie ustrzele go, czy co?

— Siedź doma i ojca pilnuj! — zakończył Sławek rozmowę i poszedł do parobków Stańka, Jacka i Dobka, którzy już nań czekali.

Byli to chłopaki jak dęby wyrosłe a krzepkie, aż miło było patrzeć. Ubrani w kożuchy i czapy wilcze, z łukami na plecach zawieszonemi i oszczepami w rękach, a każdy inaczej patrzył. Stańko z czupryną jako len białą śmiał się jeno ciągle i krot-

chwile różne wyprawiał i podskakiwał, bo był wesół i we wszystkim radość i wesele widział. Rzeźki był i zwinny a przemyślny. Wdrapać się, choćby na najwyższą jodłę, wnyki na zwierza nastawić, podejść znienacka a cichaczem niedźwiedzia i oszczepem go zdzielić, było dla niego tak łatwo, jakby chleba z miodem zjeść. Jacek znowu, z czupryną zawsze rozczochraną, jakby mu jakieś wichry po głowie chadzały, był powolny i zdawało się, że trzech zliczyć nie potrafi, zwano go też Gamajdą, ile że się jąkał szpetnie. Ale niesłuszne to było przezwisko, bo był on nie mniej od Stańka przemyślny. Już kto jak kto, ale Jacek Gamajda, najpierwszy zwąchał gdzie jest barć z pszczołami, a miód wybierać umiał tak zręcznie, że go żadna pszczoła nie ucieła, i nikt tak nie potrafił wytropić śladów zwierza, czy człowieka w puszczy, jak Jacek. Łada gałęź złamana, łada trawka zgięta, łada znak dla innych niewidzialny, był dla Jacka dostatecznym i szedł na pewno, a zawsze znalazł to czego szukał.

Cale innym był Dobek. Chudy, wysoki, czarny, miał siłę okrutną. Jak się oparł plecami, to drzewa łamał i rękami wyrывał dziesięcioletnie sosny, dzika na miejscu osadzał. Mówił mało i niechętnie. Mrukiem go też zwano, a był strasznie zawzięty. Jak sobie co postanowił, to musiał wykonać, choćby nie wiem jakie były przeszkody. Zżymał się zawsze na śmiechy i wesołość Stańka i zwał go Pędziwiatrem, choć w skrytości lubiał go bardzo, ile że to był jakiś krewniak jego.

Taką była ta trójka parobków, którą wziął so-

bie do pomocy przystaw królewski, Sławek Warchoł. Stary ojciec dając przykazanie i rady synowi, zalecał mu najpilniej, aby strzegł, iżby żadne baby ani też dziady po puszczy się nie włóczyły, żeby miał pilne oko na ów most, co go w Kozienicach z rozkazania królewskiego budują.

— Bo to, — gadał stękając i dygocząc z zimna, — bo to pewnikiem one Miemcy, na które Król Jegomość z wojną się wybiera, wiedzą ju o tym moście i gotowe są wysłać jakiego łotra i zbója, żeby przeszkodność uczynić w onem budowaniu. Pilnujże mi chłopcze tego i miej oko należyte, żeby się tam koło Kozienic żadne dziady i inne obce ludzie nie włóczyły...

— Bądźcie spokojni tatulu, już my tam dopilnujemy.

— No! no! jak się dobrze sprawita, to będzie nagroda królewska dla was, a dla mnie pociecha na starość. Bierzesz ze sobą jakich parobków?

— A jakże. Idą ze mną Stańko Pędziwiatr, Jacek Gamajda i Dobek Mruk.

—Hm! chłopcy jak się patrzy, niema co rzec, ino słyszałem, że ten Jacek, co go Gamajdą zowią, straszenie dużo lubi jeść. Starczy to wam czasu na to, żeby jego żywot napelnić? Zamiast pilnować puszczy, będzieta musieli uganiać się za zwierzem, żeby Jacek miał co jeść.

— Nie bójta się, tatulu — zaśmiał się Sławek — będzie on musiał pasa ścisnąć, bo my o jego żywocie myśleć nie będziemy...

— No, to idźta z Bogiem!

— Ostańta tu z Bogiem!

Ruszyli tedy wszyscy czterej do boru, który czerniał i szumiał, jakby drzewa ze sobą jaką rozmowę tajemniczą wiodły. Ranek był jasny, słoneczny, choć mróz ostry trzymał. Śnieg jeno skrzypiał pod lipowemi postołami chłopaków, a świecił się pod słońce ognistemi iskrami. Na gałęziach jodeł i sosen i świerków leżały całe warstwy białego śniegu i szedł po boru jakiś wesoły, świeży, zdrowy oddech życia. Stańko Pędziwiatr podskakiwał i hukał głośno, aż echo się po puszczy rozlegało i przyspiewywał sobie, a Dobek jeno spoglądał na niego z pod oka i mruczał coś niechętnie pod nosem. Na końcu włókł się leniwie Jacek Gamajda i wzdychał czegoś żałośliwie a co chwila sięgał do kobiałki lubianej i dobywał z niej garść bobiu gotowanego i chciwie połykał.

Sławek, gdy się już w puszcze zagłębili, przystanął i rzekł:

— Słuchajta chłopoki!

— Bo co? — zapytał Stańko i przytupując po śniegu zaśpiewał:

W Krakowie na rynku

Grają na bynbyнку

Czarna kura gdacze,

Krakowianka skacze. Hu! ha!

Mruk zżymnął ramionami i syknął:

— Głupi!

A Stańko śpiewał:

Na kamieniu kamień,

A na tym kamieniu

Jeszcze jeden kamień. Hu! ha!

Gamajda tymczasem jadł ciągle bób i wzdychał żałośliwie.

Naraz Sławek rzekł do Stańka:

— Cichaj i słuchajta chłopoki!

— Słuchawa! — krzyknął Stańko — a ty Dobku nie patrz na mnie, jakobyś mię chciał zjeść. La czego nie mam być wesów, kiedym se jest rad? Albo mi to bieda jaka? słonko świeci, mróz szczypie, a bór się jeno śmieje. Żle mi to czy co?

— Cichaj mówię! — zawołał Sławek — bo mam wam coś rzec.

— Słuchawa.

— Przykaz jest taki, cobyśwa poszli ku Kozienicom.

— Kiej ku Kozienicom, to ku Kozienicom! — zawołał Stańko.

— Cichaj mówię, bo nijak nie skończę.

— Ano... już pary z gęby nie puszcze.

To mówiąc zakręcił się jak fryga, strzepnął rękami niby kogut, kiej skoczy na płot i chce zapiać, i tupiąc postołami po śniegu, krzyczał:

— Hu! ha!

Sławek zaś mówił:

— W Kozienicach, żebyśta wiedzieli, z rozka-

zania królewskiego, pan starosta Dobrogost Czarny z Odrzywołu, buduje most.

— Most? nie słyszałem! — zawołał Stańko.

— Głupi! — mruknął Dobek — niby to ty masz wszystko słyhać.

— Ale Miemcy, na które król z wojną chce iść, pewnikiem będą chcieli ów most zepsować, jako to jest chytry naród.

— To będzie wojna? — spytał Dobek.

— Tak gadają gospodarze i tatulo też mówili, co będzie wojna z Miemcami.

— O laboga! — zawołał Stańko — będę też prał Miemców. Jezu! Jezusieńku!

Jacek Gamajda nic się nie odzywał, bo miał usta zapakowane bobiem gotowanym i co przelknął garść, zaraz wzdychał żałośliwie niewiadomo dlaczego.

— Tedy — ciągnął dalej Sławek — pójdziwa ku Kozienicom i będziwa pilnowali, coby żaden psu-brat miemiecki nie włóczył się po puszczy i onego budowania nie popsował. Rozumieta chłopoki?

— O laboga, rozumiewa, co nie mawa rozumieć. Niechno chyćę jakiego Miemca, to go hycła rozdzienę do naga i w mrowisko wsadzę! — wołał Stańko.

Jacek Gamajda, przelknawszy bób, znów westchnął i jākając się zapiszczał:

Miły Boże, daj pokój, mir,

A k'temu pokrętkę¹⁾ chleba i czeski syr!

Stańko zaśmiał się w głos.

¹⁾ Bochenek.

— Gamajda to jeno o pokrętce chleba i czeskim serku myśli! Chciałoby ci się serka, co? a może gomółkę z kminkiem? Przednia rzecz gomółka z kmin-kiem! a to ci rzekę, Gamajdo, że mi Jewka do ko-białki wsunęła taką gomółkę z kminkiem, a jak się będziesz dobrze sprawował, to ci połowicę dam.

— Cichajta żarłoki! — krzyknął gniewnie Sławek — bez to gadanie, to nic nie można rzec i ni-jakiej rady wziąć. Słuchać i gęby stulić!

Na ten groźny okrzyk tak Stańko jak i Jacek, któ-rzy przywykli słuchać Sławka, uważając go za swe-go zwierzchnika, umilkli i Stańko, choć mu się oczy śmiały a dusza rwała do jakiego figla, już ani sło-wa nie rzekł. Sławek zaś mówił:

— Potrzeba więc pilnie baczyć na wsze strony, że-byśwa jakiego, czego Boże broń, zdradźce niemiec-kiego nie przesłепili. Wytrzeszczać więc dobrze oczy. Zaraz będzie gościniec ku Kozienicom i trza nam się cicho zachowywać. Jak przejdziewa gości-niec, pójdziewa bokami bez bór; Jacek jako naj-lepszy przepatrywacz pójdzie przodem i baczyć bę-dzie na wszystkie ślady, a my za nim gęsiego. Na-dziewam się¹⁾, że każdy z was swą powinność na-leżycie spełni. Rozumieta?

— Rozumiewa.

— A więc w drogę. Mie Otca i Syna i Ducha świę-tego, ament.

— Ament! — zakończył Stańko.

Gamajda wyruszył się przodkiem, powłócząc le-

¹⁾ Spodziewam się.

niwie nogami, zajądając ciągiem bób i niby na nic nie zważał, a jednak niktby się nie domyślił, że ten niemrawy z pozoru chłopak na wszystko baczy. Weszli teraz w czarny bór, z samych sosen i świerków złożony, miejscami gęsto podszyty, ale przeważnie nagi, bo olbrzymie, odwieczne drzewa, strzelające w górę niby jakieś kolumny ogromne, nie dopuszczały rozwinać się innym roślinom. Śniegu nawet niewiele tu było na ziemi, bo rozłożyste gałęzie świerków i sosen okrywały ziemię niby dachem, dźwigając tylko na sobie, niby pióropusze rycerskie, całe warstwy białego i suchego śniegu, który za najmniejszym wiatrem sypał się z nich drobny i zmarznięty. Nieba przez te gałęzie ogromne nie było widać, ani też słońca, choć ono świeciło jasno tam wgórze, tu zaś panował mrok posępny i całości nadawał ponury widok. Jacek włókł się powoli, otrząsał się z pyłu śnieżnego, a za nim postępowali inni w milczeniu nadsluchując pilnie.

Szli tak już może ze trzy pacierze głuchym bo-rem, gdy nagle Jacek zatrzymał się i wskazując na ziemię syknął jękając się:

— Wilczyska tu szły. Cała ich łaja kajś pognąła.

Wszyscy zwrócili oczy na ziemię i w rzeczy samej dostrzegli na śniegu liczne ślady nóg wilczych.

— Żebyśwa jeno ich nie napotkali — szepnął Stańko.

— Boisz się ich w dzień?

— Co mam się bojać? Pierwszyczna mi to, czy co, wilki?

Już nic inni nie mówili i szli dalej za Jackiem,

który ciągiem zajadał swój bób i coraz wzdychał a stękał, mając wlepione oczy w ziemię, bo taki był zawsze jego obyczaj, że jeno badał ślady rozmaite w boru. A bór mimo ciszy, szumiał nieustannie, chociaż wiatru nijakiego nie było. Od czasu do czasu gdzieś tam w głębi puszczy dał się słyszeć łomot, jakby ktoś czy coś łamało gałęzie.

— To łosie! — szepnął Jacek.

I znowu była cisza, tylko bór gwarzył po dawnemu. Czasem znowu, tuż nad głową idących parobków zerwała się z wysokiej jodły cała gromada kruczków czy gawronów i ze złowieszczym krakaniem, którego echo rozlegało się po boru, poleciała dalej. Zresztą była cisza, jeno puszcza szumiała tęskliwie.

Zasłuchani w ten jej rozgwar szli parobcy śladem Jacka nic nie mówiąc, gdy nagle ten ostatni zatrzymał się, zwrócił bokiem do swych towarzyszków i kładąc palec na ustach, zdawał się bacznie czegoś słuchać. Wszyscy trzej stanęli jak wryci, rozglądając się dokoła i nateżając słuch, ale nic nie dostrzegli i żaden podejrzany odgłos nie doszedł ich uszów. Jacek jednak ciągle stał i zdawał się chwytac jakieś szmery w boru.

— Co takiego? — spytał szeptem Sławek.

Jacek zrazu nic nie odpowiedział, potem zbliżył się na palcach do pytającego i głosem stłumionym, jaskając się i wybaluszając swe wypukłe, szare oczy, rzekł:

— Ju niedaleczko jesteśwa gościńca.

— Więc cóż?

— A gościńcem ktoś jadzie.

— Wielga mi rzecl niech se jadzie...

— Wozem czy na kóniu ten ktoś jadzie? — spytał Sławek.

— Kajby to kto jachał wozem po takich korzeniach! — mruknął Dobek.

A Jacek krzywiąc się i ciągiem nadsluchując, wyjąkał:

— Samowtór jada, na kóniach... dwa jeno kónie slysze... kute są, bo dzwonią po grudzie...

— Kute mówisz?

— Tak.

— Boga mi, tkoby tu kutemi kónmi jachał?

— Pewnikiem jakiś obcy — zauważył Stańko.

— Hm... niema co — ozwał się Sławek — potra się podsunąć za gościniec, ukryć się za krzami i obaczyć, tko to taki po puszczy kutemi kónmi jadzie.

— A nuż to miemieckie ostrzegacze? — szepnął Stańko.

— Może być, może być! — mówił Sławek — nasi gospodarze kutemi kónmi po boru nie jeżdżą. Ani chybi, to tkoś obcy. No, chłopoki! miejta łuki w gotowości wszelakiej i tyż oszczepy, bo nuż to miemieckie prześpiegi!

Dobek mruknął coś pod nosem, ogromny łuk, który on jeden tylko potrafił naciągać, zdjął z pleców i stał tak patrząc groźnie w głąb puszczy.

— Jacku — rozkazywał Sławek — wiedz nas ku gościńcowi w takie miejsce, kaj są krzaki, żeby nas nijak nikto obaczyć nie mógł.

Jacek zamyślił się, nosem pociągnął, jakby wąchał, garść bobiu wsunął w szerokie usta, podrapał

się po skołtunowanej czuprynie i milcząc ruszył na-
przód, przyczem podniósł palec do góry i po chwili
szepnął:

— Jeno cicho! nie nie gadać i patrzeć pod nogi,
żeby jaka gałąź nie trzasła.

W głębokiem milczeniu, skradając się bardzo
ostrożnie, nadsluchując pilnie, ruszyli wszyscy trzej
za Jackiem Gamajdą i niebawem znaleźli się przy
gościńcu. Nie był on szeroki, raczej wyglądał na
ścieżkę, pełną korzeni i wybojów, i wił się zygzak-
owato po boru. Śnieg, iskrzący się pod słońce, po-
krywał go całkowicie, śnieg nienaruszony, bo nikt
nim dawno już nie szedł, tylko tu i owdzie znać by-
ło ślady zwierza, wilków, lisów i rapci jelenich,
a także łap ptasich. Zdawało się nawet widać było kilka-
naście wron i kruków, jak podskakując niezgrabnie,
łaziły po gościńcu szukając żeru, co chwila podno-
sząc czarne łby i pilnie bacząc, czy nie grozi im ja-
kie niebezpieczeństwo.

Jacek zaprowadził swych kamratów w dobre
miejsce. Sączyl się tu maleńki strumyk, teraz za-
marznięty i dokoła otoczony krzakami olszyny, two-
rzącemi gęstwinę nieprzebytą. A choć krzaki były
pozbawione liści i sterczały jeno suchemi gałęziami,
wszelako można się było za nimi ukryć dobrze,
zwłaszcza, że Jacek przykazał się wszystkim poło-
żyć na ziemi. Legli tedy i każdy starał się tak umie-
ścić, żeby mógł widzieć gościniec, sam nie będąc
widzianym. Gamajda siadł sobie pod starą olchą,
oparł się o nią plecami i zajał bób z takim spoko-

jem, jakby nie był w boru, ale w chalupie na przy-
piecku.

— Nic jakoś nie słyhać! — szepnął Stańko, zwracając się do Gamajdy, na co ten nic nie odrzekł, ile że miał gębę zapchaną bobiem.

— Jacku, musi tobie się jeno zdawało — ciągnął dalej Stańko, kręcąc się, bo leżał niewygodnie na ostrym kożeniu i radby się podnieść jak najprędzej.

Jacek przełknął swój bób, sięgnął ręką do torby i wydobył z niej tym razem nie ziarna bobiu, ale rzepę pieczoną i począł ją gryźć.

— La czego Jacku nic nie gadasz? — niecierpliwił się Stańko — mnie się widzi, że ci się coś przywidziało z ónymi kónmi kutemi.

A Jacek podniósł palec, zasmolony czemś mocno, do góry i piszczał:

— Cichaj! ju jadą... ju niedaleško... o! widzita, wrony się zerwały.

W rzeczy samej wrony dotąd spokojnie przechadzające się po gościńcu, z powagą kiwające czarnymi łbami i twardym dziobem usiłujące wydobyć żer z pod zmarzniętego śniegu, nagle wszystkie zatrzymały się na miejscu, niespokojnie popodnosiły łby, przez jakiś czas nadsluchiwały, a potem wszystkie naraz podskoczyły i poleciały na pobliskie sosny, na których usiadły.

Parobcy z natężeniem wlepili oczy w gościniec, w to miejsce, z którego wrony się zerwały, oczekując niespokojnie pojawienia się jeźdźców. Gościniec właśnie tam się zakręcał i obrosły był po obu bokach gęstemi krzakami olszyny, która zakrywała je-

go dalszy widok. Ale niedługo czekali. Nagle na drodze ukazał się jeździec, siedzący na rosłym karym koniu, odziany w karmazynową delję, podbitą kunami. Z pod tej delji widać było czarno szmelcowaną zbroję, napół pokrytą modrym jakim¹⁾, na którym złocistemi nićmi wyszyty był jakiś zwierz, ni to lew, ni to gryf, z łapami podniesionemi do góry, z paszczą rozwartą, z której wysuwał się długi ostry język. U boku onego rycerza, siedzącego na wysokiem siodle, wisiał prosty miecz niemiecki, a w jego pochwie żelaznej, słońce oślepiające zapalało blaski. Rycerz miasto hełmu miał na głowie mykę czerwoną, futrem podszytą. Jechał wolno, oglądając się dokoła i widać było wyraźnie, że miał dużą, czarną brodę, spadającą na piersi.

Za rycerzem na mniejszym koniu gniadym, jechał młody pacholek w długiej pół modrej, pół żółtej sukni, z wyszytym na piersiach wizerunkiem takiegoż samego jak na rycerzu zwierza. Pacholek trzymał w jednej ręce hełm rycerza, przyozdobiony mnóstwem piór pawich, wachlarzowato rozwiniętych, a w drugiej kopję z proporczykiem żółto-czerwonym.

Czterej parobcy wpatrzyli się w to widowisko nie śmiejąc ze zdziwienia głośniejsz oddychać. A gdy jeźdźcy zbliżli się do nich podjechali, mogli się im lepiej przypatrzeć i to co ujrzeli, było czemś tak niebywalem, że poprostu skamienieli.

1) Rodzaj krótkiego kaftana, bez rękawów.

ROZDZIAŁ III.

W którym Stańko dowiaduje się o karle czarowniku.

Ukrytych w olszynie parobków nie tyle zadziwiła zbroja piękna, czarno szmelcowana, ani wyszyty na niej misternie zwierz okrutny, ani długi miecz niemiecki, wiszący u boku rycerza, bo wszystko to widzieli oni nieraz, zwłaszcza Sławek, ile to, że rycerz ów, posuwający się wolno na swym ogromnym karym koniu przez bór, miał jedno oko zakryte przewiązką z czarnej kitajki, a lewą rękę i lewą nogę złączoną długim złotym łańcuchem, jakby zbrodniarz jaki.

To pierwszy raz w swem życiu ujrzeli i to ich niezmiernie zdziwiło.

Mniejsza nawet o lewe oko zawiązane czarną przepaską kitajkową; mógł być on rycerz chory na oko, a może je stracił w jakiej bitwie lub turnieju rycerskim, ale czemu ma on rękę i nogę skutą łańcuchem? — tego młodzi parobcy zrozumieć nie mogli i przypatrywali się temu ciekawie, a Jacek Gamajda rozdziawiwszy szeroko ze zdumienia usta, zapomniał nawet na chwilę o smakowitej rzebie, którą nadgryzioną trzymał w ręce.

Rycerz tymczasem jechał wolno, rozglądając się baczenie jednym swoim okiem i widno czterej parobcy niedobrze byli ukryci poza bezlistnymi krzakami olszyny, bo nadjechawszy wprost nich zatrzymał konia, spiął się na strzemionach i głosem grubym a gromkim zawołał:

— Hej! kto tam stoi za krzami? Wychodź, jeżeli nie chcesz doznać dzielności mego miecza obosiecznego!

Czterej parobcy, widząc, że są dostrzeżeni, powstali, a Dobek mruknął:

— To nie Miemieć, to nasz, bo po ludzku gada. Tymczasem rycerz wciąż stojąc na strzemionach wołał:

— Jeżeli jesteś przekłety karzeł-czarownik, którego szukam od dwu lat, to ukaż się i w rycerskim boju zmierz się ze mną! Jeżeli jesteś zbójcą leśnym, to pójdź, niech twoje potworne cielsko mieczem moim posiekam na dwanaście części, jakem to ślub uczynił damie mego serca pięknej Elwirze, kasztelance z Koziego Rogu, przysięgając, że dopóki wszystkich borów nie oczyszczę ze zbójców, dopóty tej przepaski z lewego oka nie zdejmę i tych więzów oto nie rozerwę.

To rzekłszy, podniósł do góry lewą rękę i lewą nogę, potrząsając spinającym je złotym łańcuchem.

Ale przemowa ta ogłoszona tonem podniesionym, zamiast wzbudzić w parobkach podziw i uwielbienie dla ślubu uczynionego przez rycerza kasztelance Elwirze z Koziego Rogu, wywołała w krotchwilnym Stańku Pędziwiatrze niepohamowany śmiech. Wśród ciszy, jaka na chwilę zapanowała po przemowie rycerza, rozległo się głośnie, cienie:

— Hi! hi! hi! a to ci dopiero! hi! hi! hi!

A wtem Jacek Gamajda, który wciąż z rozwartymi szeroko ustami, dzierżąc w ręku nadgryzioną rzepe, pilnie przypatrywał się rycerzowi i jego pa-

chołkowi, zawołał wskazując palcem na tego ostatniego:

— A dyc to Pakosz z Brzózy!

Pacholek też zaraz zawołał:

— Jacek Jakała, jak się masz?

I Stańko, ciągle chwytając się za brzuch, brzmiał swoim cieniem: hi! hi! hi! aż rycerz zdumiony tem, zapytał zwracając się do swego pacholka:

— Czego ten kiep się śmieje? co to za chłopcy i co oni tu robią w boru? Znasz li ich?

Wtedy pacholek, nazwany przez Jacka Pakoszem, zbliżył się do rycerza i mówił:

— Miłościwy panie baronie Żeliszławie z Brzózy, znać ich wszystkich nie znam, jeno jednego z nich, oto tego, zwanego Jackiem Gamajdą, który jest synem kmiecia z Jedlni. I Bogu podziękować należy, żeśmy ich spotkali, bo w tej puszczy zaklętej błakalibyśmy się Bóg wie jak długo, nie mogąc z niej wyleźć, i chybaby nam z głodu w niej zamrzeć przyszło, lub od dzikiego zwierza śmierć ponieść męczeńską.

Ale rycerz, nazwany przez pacholka baronem Żeliszławem z Brzózy, spał się znowu na strzemionach i podnosząc jedno oko ku niebu, zawołał głosem żałosliwym:

— O małoduszny giernku! żali nigdy w twojej chamskiej duszy nie zaginie pozioma, nিকেzenna troska o brzuch? żali nie powiadałem ci tysiąc razy, że rzeczą rycerza i jego rycerskiego giernka jest nie dbać o to, co się będzie jadło i gdzie się na noc rycerską głowę złożyć?

— To prawda, miłościwy panie, żeście mi to nieraz gadali, ale szkapy nasze już ledwo nogami powłóczą, a jam też pasa musiał przykrócić, bo mi po żywocie głód szpetne harce wyprawia, a zwierz dziki...

— Zamilcz! zamilcz! niegodny giermku najwaleczniejszego z rycerzy. Zwierz dziki! Oby wszystkie lwy, tygrysy, gryfy i smoki tej puszczy zjawily się przede mną, a ja nadziawszy hełm na rycerską mą głowę i wzięwszy kopję w rękę, rzucę się na nich w imię damy mego serca, nadobnej Elwiry, kasztelanki z Koziego Rogu, i pokonam nawet bramy piekielne, a cóż dopiero straszliwego, ogień ziejącego smoka tej puszczy, tak mi Boże dopomóż i ślubie mój rycerski!

— Hi! hi! hi! — rozległ się śmiech Stańka — albo to tu w naszej puszczy są jakie smoki ogniem ziejące? nijakich smoków tu niema, jeno wilki, rysie, a tyż niedźwiedzie, ale te teraz śpią w legowiskach pod sosnami. Hi! hi! hi!

— Cóż to za puszczyk tam się odzywa? — zapytał rycerz — gadaj chłopie, kto jesteś? a możesz ty przekłety kárzeł-czarownik, który przybrawszy na się figurę chłopą, chcesz mię na walkę rycerską wyzwać? Znam twój śmiech, słyszałem go nieraz, ale teraz ukarzę cię, niegodne życie ci odbiorę i ciało twoje cuchnące posiekam mieczem na dwanaście części, jakem to ślub uczynił damie mego serca, szlachetnej kasztelance Elwirze z Koziego Rogu.

I zwracając się do swego pacholka rozkazywał:

— Giermku, podaj mi hełm i kopję! Strzaskam

ją o żelazną pierś tego karła-czarownika i uwolnić ziemię od jego niegodziwości.

Ale pacholek, giermkiem zwany, nie śpieszył się z wykonaniem rozkazu swego pana. Podrapał się po jasnych jak len i długich włosach i rzekł:

— Kiedy miłościwy panie baronie, to nie żaden karzeł-czarownik, ale parobek z Jedlni. Godzi się to rycerzowi z chłopem walczyć?

— Mówisz, że to chłop, a nie karzeł-czarownik?

— Tak panie, nie inaczej. I oto podziękujmy Bogu, miłościwy baronie, żeśmy tych chłopaków spotkali, bo oni nas z tego przekłętego boru wyprowadzą i wskażą drogę do Brzózy.

Tedy rycerz jednym okiem począł bacznie przypatrywać się czterem chłopakom i wkońcu zapytał:

— Kto wy jesteście?

Więc Sławek wysunął się naprzód i opierając się na oszczepie rzekł:

— Jam jest przystaw Króla Jegomości Władysława, Sławek Warchoł, syn gospodarski z Jedlni, a to są moi drużkowie.

Rycerz przez chwilę przypatrywał się ciekawie Sławkowi, wreszcie spytał:

— Hm! a cóż ty w boru robisz przystawie Króla Jegomości!

— Pilnuję, żeby się po nim nie włóczyli różni ostrzegacze miemieccy i na zdradzie nie stali, bo wojna będzie z miemieckimi rycerzami, co ich Krzyżakami zowią.

— Słyszałem o tem — rzekł baron Żelisław z Brzózy — ale nie jest to rzeczą chłopską potykać

się z takimi rycerzami jak Krzyżacy. Wiem ja o tej wojnie, ale nie Polakom wojować z rycerstwem krzyżackiem... powiem ja to królowi krakowskiemu, jeno sobie w Brzózcy na moim rycerskim zamku odpocznę.

— Królowi krakowskiemu! — mruknął Dobek — a co to znaczy?

I zbliżywszy się do Sławka mruknął mu do ucha:

— Potrzeba wziąć tego żelazistego wojaka, bo mi się widzi, że to postrzegacz miemiecki. Źle mu ze ślepiej patrzy...

Były to zapewne najdłuższe słowa, jakie ten mruk w swym życiu wygłosił, zrobiły też silne wrażenie na Sławku. Rzekł tedy do rycerza:

— To wasza miłość jest dziedzic z Brzózcy?

— A tobie co chłopie do tego, ktom ja jest! — oburknął się rycerz.

Tedy Sławek, w którym na te pogardliwe słowa, krew junacka zawrzała, rzekł:

— Wielu mi do tego, bom ja jest przystaw pana królewskiego i mam przykaz, żeby żadne ludzisko po puszczy się nie włóczyło. Pojedzieta panie z nami do Ostrownicy, do starszego nad leśnikami i nad puszcza, gospodarza Mateusza Sekuły i tam wszystko się obaczy, ażali to prawda, co gadacie.

Rycerzowi zabłysło iskrami gniewu jedno oko i chciał coś odrzec, gdy uprzedził go pacholek jego Pakosz:

— Nam wszystko jedno dokąd nas zaprowadzita chłopaki, byleśwa ciepłą izbę naleźli, jedzenie dla nas i paszę dla kóni, bo są strasznie głodne. Znam

ja Ostrownicę... bywałem tam nieraz. Z Ostrownicy, miłościwy panie, to chyba niedaleko do Brzozy?

— A niedaleko, ale... co ten głupi chłop gada o jakichś ludziach włóczących się po puszczy? Żali on chce bym go srodze pokarał za jego zuchwałą mowę?

Pacholek oczami począł dawać jakieś znaki parobkom, a głośno mówił:

— Zwyczajnie głupie chłopy. Nie godzi się takiemu walecznemu rycerzowi, jak wy miłościwy panie, zważać na to, co głupie chłopy gadają. No! chłopaki prowadźta nas do Ostrownicy, a żwawo, bo skórę z was zedrę i na kolku powieszę.

Mówił to głośno uśmiechając się i mrugając ciągle na parobków. Ponieważ tym ostatnim szło o to, by rycerza odprowadzić do Ostrownicy, do starszego, Mateusza Sekuły, więc już nic nie rzekli, jeno Sławek szepnął do ucha Dobkowi:

— Ja pójdę przodkiem, ty na tyle, a Stańko i Jacek niech strzegą boków.

Jakoż w takim porządku ruszono. Sławek prowadził cały ten orszak naprzelaj przez puszcę. Stańko i Jacek szli po obu bokach rycerza, a mrukliwy Dobek dzierżąc łuk postępował z tyłu i miał oko na wszystko. Pacholek rycerza wdał się zaraz w rozmowę z Gamajdą, chociaż ten się jękał szpetnie, a przytem rzepę przygryzał, Pakosz sam prawie gadał, Dobek zaś przysłuchiwał się temu, co mówili, bo był bardzo ciekaw.

— Słuchajno Jacku — mówił Pakosz — widzę, że ty rzepę zajadasz?

— A rzepe.

— Godzi się to samemu jeść, kiej obok ciebie postępuje twój pobratymiec, głodny jak mysz kościelna. Dajno tej rzepy, niech ja jej skosztuję, bo inaczej spadnę z konia i nieść mię będzieta musieli.

Jacek, który dawno już postrzegł jak Pakosz pożławiem okiem pogląda na jego rzepe, co żywo począł ją polykać, nie chcąc się nią z nikim dzielić, odrzekł:

— Kiedym już ją zjadł, jakże ci dam?

— Siegnijno do torby i okaż co tam masz.

— Ej, cobym ta zaś miał mieć — usprawiedliwiał się Jacek.

Widząc to Dobek wydobyl z torby kukielkę chleba i kawałek twardego sera i rzekł do Pakosza:

— Jeść ci się chce?

— A chce.

— Naści!

I dał mu kukielkę i serek. Pakosz chwycił zaraz i chciwie zaczął zajadać.

Tymczasem Stańko, idący z drugiej strony obok Pakosza, patrząc na to wszystko, ozwał się do niego:

— Dziwno mi, że służąc za pacholka u takiego rycerza jako twój jest, głodu przymierasz...

— Jakże nie przymierać głodu, skoro po tej puszczu przekłetej włóczymy się od wczoraj nic nie jedząc. Gdybym wczoraj nie ustrzelił z luku wrony i nie przypiekl jej na ogniu, tobyśmy z moim panem chyba pomarli. Ale co to znaczy jedna wrona na nas dwóch, to tyle co psu mucha. Bóg dał, żeśmy przecie na gościniec natrafili i was spotkali, bo

inaczej tobym z głodu całkiem omdlał. Przedni ser-
rek, ani słowa.

— A skądże wy jedzieta? — pytał Stańko.

— Ho! ho! zdaleka, z obcych krajów, z za wiel-
kich gór, z Węgier. Mój pan, baron Żelisław z Brzó-
zy, znamienia Gryf, jest wielki rycerz i na dworze
króla węgierskiego w szrankach na turnieju się po-
tykał i dank wziął z rąk samej Królowej Jejmości,
pani węgierskiej, i drugiej niewiasty, pięknej ka-
sztelanki Elwiry, co ma srogi zamek w górach, Ko-
zim Rogiem zwany. Tak, tak! mój pan jest znako-
mity rycerz.

— I dobrze wam tam było u tego zamorskiego
króla? — pytał Stańko.

— Nie zamorskiego jeno zagórskiego. Pewnie, że
było dobrze. Jadła w bród, a samych przysmaków,
o jakich ty żadnego rozumienia nie masz. I to ci
potrzeba wiedzieć, co ja nie jestem żaden pacholek,
jeno giermek rycerski, a jestem ci taki śwarny, że
na pokojach królewskich, przy ucztach okrągłego
stołu, bażanty ci w powietrzu rozbieram. Rozu-
miesz ty to? bażanty w powietrzu rozbieram! Ale
bo ty wiesz, co to jest bażant?

— Cóż to jest ten bażant?

— A widzisz, że nie wiesz! Bażant, to ci jest taki
ptak, jak kura, jeno ma pióra piękniejsze, a upie-
czony smakuje jak miód najlepszy. Ho! ho! dobrze
nam tam było na zamku króla węgierskiego, jak
w niebie.

— To kiej wam było tak dobrze, to la czegośta
go odjechali?

— La czego, la czego? Wiadomo la czego. La tego, co przyszedł nakaz od króla polskiego, żeby wszyscy rycerze i panowie polscy stawili się na wielką wojnę z panami niemieckimi, a to pod utratą czci, majątności i gardła. Cóżeswa mieli czynić z moim panem, potrzeba było wracać z wielkim żalem, tam u króla węgierskiego było tak dobrze, że jeno krotochwile, zabawy, turnieje rycerskie, a jedzenia w bród i cześć wszelaka.

Westchnął żałośliwie, wspominając zapewne owe bażanty przesmaczne, które w powietrzu rozbierał.

Tymczasem Stańko po chwilowem milczeniu znowu spytał:

— Rzeknij no mi panie giermku, la czego to twój pan ma na oku tę czarną zawiązkę? żali mu w jakiej bójce oko wybito?

— Głupis chłopie jako mój but nieprzymierzając. W bójce memu panu baronowi oko wybito! Bodajże cię! Czy ty myślisz, że rycerze to jak chłopcy kłonicami się biją? i oczy sobie wydłubują pazurami? Wiedźże zatem, o! głupi chłopie, że rycerze jeno kopy, oto takie, jak ta, którą dzierzę z pięknym porczykiem, trzaskają o szczyty swoje, lub mieczami walczą w szrankach rycerskich wobec królewien, księżniczek i baroness i dank z ich rąk otrzymują.

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się głośno Stańko — to ci dziwy! Ale i takeś mi nie powiedział la czego twój pan ślepie sobie zalepił czarną szmatą i rękę też ma z nogą skutą łańcuchem. Pytam się la czego? U nas jeno złodziei i zbójników w łańcuchy oku-

wają. Żali twój pan kogo zabił, albo może co komu ukradł, he?

— O! niecnoto chłopie, gruby a sprośny! Żeby nie to, iż głodny jestem i też strasznie zmarzłem, to bym twój łeb rozczochrany mieczem uciął i psom rzucił na pożarcie. Jak ty śmiesz gadać, że mój pan, rycerz sławny na cały świat, baron Żelisław zawołania Gryf z Brzozy, ukradł komu coś lub kogo zabił? Pytam się ciebie, jak ty śmiesz takie szpetne gadać słowa?

— Ja ta żadnych szpetnych słów nie gadam, jedno się pytam. Żali pytać się nie wolno?

— Owszem, pytać się wolno, i żebyś ty takich głupich gadań nie powtarzał, to ci powiem gruby a sprośny chłopie, że oną czarną przepaskę, nie zaś szmatę, jak ty mówisz, gwoli tego umieścił sobie na lewem oku mój pan, baron Żelisław z Brzozy, że uczynił ślub rycerski przed damą swego serca, piękną Elwirą baronessą z Koziego Rogu, że póty owej przepaski z oka nie zdejmie, póki czarownika-karła, Merlina przezwiskiem, nie odnajdzie i mieczem swym na dwanaście części nie posieka. A ów łańcuch złoty na lewej ręce i lewej nodze la tego nosi, że uczynił drugi ślub przed piękną baronessą Elwirą z Koziego Rogu, iż pójdzie ze mną, swoim giermkim, samowtór do Ziemi Świętej i tam cesarza pogańskiego, Wielkim Mongołem zwanego, mieczem zetnie na cześć i chwałę Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Rzekłszy to, giermek uchylił pobożnie mycki, a za jego przykładem poszedł Stańko i Jacek i Dobek.

— Dziwy! dziwy! jeszcze też nie słyszał nigdy o żadnym czarowniku... jak to on się zowie?

— Merlin.

— Nie słyszałem. U nas to takiego niema. Są je-
no baby czarownice, jak na ten przykład stara ko-
walka Jakubowa, ale ją jeno pławią w stawie, nie
zaś siekają na dwanaście części. I kajże to ten cza-
rownik, co go ma twój pan posiekać, siedzi?

— Ba! żebyśmy to wiedzieli, toby już dawno mój
pan, baron Żelisław z Brzozy posiekał go mieczem
na dwanaście części i sprośny leb jego rzucił pod
nogi pięknej baronessy Elwiry z Koziego Rogu, a co
zatem idzie i oną przepaskę zdjął z oka. Ale cóż,
kiej nie wiemy kaj on siedzi, chocia szukamy go już
od łońskiego roku.

— A jak nie najdziecie, to co będzie?

— Należć, najdziemy, bo wiadomo przecie, że ów
karzeł-czarownik Merlin, mieszka w pięknym zam-
ku ze złota i rubinów zbudowanym, w okrutnych
górach, co je Karpatami zowią. I byłoby go łąco
znaleźć, żeby on różnych czarów nie rzucał. Już
raz ujrzelśmy ów zamek, ale nagle Merlin zacza-
rował nas i chocia przez dwa dni i dwie noce czu-
waliśmy na miejscu, zamku onego więcej ujrzyć nie
mogliśmy. Ale jeno owa wojna króla polskiego
z panami niemieckimi się skończy, zara wypoczą-
wszy sobie na zamku w Brzozie, ruszymy w góry
i wtedy pewnikiem najdziemy złocisty zamek karla
Merlina, bo mój pan zdobędzie na tej wojnie taki
talizman, że żadne czary sprośnego karla nie po-
moga.

— Co to jest talizman? — pytał Stańko.

— To jest taki znak, taka świętość, że wszelkie czary przed nią przepadają, wszelkie czartowskie sztuki nic nie znaczą.

— A kajże twój pan dostanie takiej świętości?

— Jest w kraju panów niemieckich miasto, które się zwie Malbork. Tam mieszka pewien zbożny mnich, imieniem ojciec Rodrygus i od niego mój pan tej świętości dostanie. A wtedy biada karłowi, sprośnemu czarownikowi.

— Dziwy to wszystko, wielkie dziwy! — mówił Stańko i już się więcej nie odzywał, rozmyślając tylko nad tem, co usłyszał od giermka. Jacek przez ten czas nic nie gadał, jeno zajadał ciągiem nowe przysmaki, które z torby wydobywał, to rzepę, to krajanek chleba, to serek, to jajko gotowane. Solą posypywał i jadł, jadł nieustannie, nie dbając o nic innego i słuchając jednym uchem tego wszystkiego, o czem giermek Pakosz opowiadał. Dobek też nic się nie odzywał, choć słuchał pilnie opowieści giermka, czasem jeno mruknął i z pod oka spoglądał na jego strój pstry, na kopję i hełm rycerski, który w ręku dzierzył.

Kiedy tak tutaj się bawiono, sam rycerz, baron Żelisław na Brzozie, jechał na przodzie na swym ogromnym koniu, mając przed sobą jako przewodnika Sławka Warchoła. Przez jakiś czas rycerz nic nie mówił, jeno co chwila jedno oko wznosił ku niebu, wzdychał żałośliwie i szeptał:

— O damo mego serca, nadobna kasztelanko Elwiro z Koziego Rogu!

Sławek słuchając tych westchnień zrazu się zdziwił, a potem śmiać mu się chciało, bo jakże to może być, żeby taki rycerz, taki człek mądry, który tyle obcych ziem zwiedził i tyle ludów widział, ciągle wzdychał i modlił się do jakiejś tam białogłowy, jak do świętej. Nie polski to, ale jakiś cudzoziemski, albo raczej djabelski obyczaj. Ale nie się nie odzywał na to, bo nie śmiał.

Tymczasem rycerz nawzdychawszy się żałośliwie, poprawił się na swem wysokiem siodle i zawołał:

— Hej, chłopie, daleko to jeszcze do Ostrownicy?

— Niedaleko miłościwy panie. Jeno miniemy dąbrowę zara będzie Ostrownica.

Dąbrową nazywano część lasu zarosłą samemi dębami, wiązami i buczyną. A już ją było widać, po nagich, bezlistnych drzewach, różniącą się wyraźnie od ciemnej zieleni sosnowego boru.

— Chłopie! — wołał dalej rycerz — a znasz ty Brzózę?

— Znam panie.

— I mój zamek?

— Widziałem go wielmożny panie.

— Daleko to z Ostrownicy do Brzózy?

— Co ma być daleko! Będzie ze trzy milki bez puszcze.

— A nie wiesz chłopie, czy mój burgrabia, stary Domarat żyw jeszcze?

— Nie wiem, wielmożny panie, ale pewnie żyw, bo gdyby pomarł, toby ludzie o tem gadali, a jam nie nie słyszał.

Rycerz umilkł i jechał jakiś czas spokojnie, ale

niebawem znowu zaczął przewracać jednym okiem, wzdychać żałośliwie i co chwila powtarzać:

— O! damo mego serca, nadobna kasztelanko Elwiro z Koziego Rogu!

Tak przebyli dąbrowę i ujrzeni przed sobą wieś Ostrownicę, czarne chaty, strzechą kryte, pokryte śniegiem. Z pod strzech dym się kłębammi wydobywał i leniwie rozlaźił się po polach. Psy poczuły obcych ludzi i ujadać głośno zaczęły. Mróz brał coraz ostrzejszy, ile że słońce miało się już ku zachodowi, kiedy podróżni zmęczeni stanęli przed chałupą Mateusza Sekuły.

ROZDZIAŁ IV.

*Jako kowalka widziała króla w koronie jaśniejszej
od słońca.*

W kilka dni po spotkaniu przez czterech parobków rycerza Żelysława z Brzozy o jednym zakrytem oku i łańcuchu na ręce i nodze, na cześć kasztelanki Elwiry z Koziego Rogu, do Jedlni, do starszego nad kmieciami królewskimi, Piotra Warchoła, przypadł goniec od starosty z Kozienic, że Król Jegomość Władysław zjechał już z mnóstwem panów i baronów do zameczku w Kozienicach i że jutro wyrusza do puszczy Jedlniańskiej. Zatem polecano, aby wszyscy obławiacze i gminiacy byli gotowi

pod srogiem przykazaniem. Goniec też przywiózł nakaz, ażeby zara przystaw, mający przewodniczyć królowi w puszczy, stawił się w Kozienicach dla wysłuchania rozkazów pańskich.

Co prędzej więc stary Warchoł kazał przygotować sanie, bo mróz ciągiem trzymał i sanna była wyborna i Sławek gotował się do drogi. Straśnicie mu biło serce, że ma stanąć przed majestatem królewskim, ile, że stary Piotr Warchoł gadał mu i dawał nauki, jako się ma zachowywać i jak wielkie czekają go obowiązki.

— Żebyś mi króla, pana naszego, strzegł jak oka w głowie od zwierza i od złego człeka. Słyszałeś, jako gospodarze gadali, że wyszedł nakaz, iżby po puszczy nie włóczyli się żadni ostrzegacze miemieccy; nóż tkóry z nich, gdzie w jakim ostępie leśnym napadnie na osobę pana jegomością i, czego Boże broń, szkodę poświęcanej osobie królewskiej uczyni? Wtedy tobie nie pokazywać się na oczy, bo jako mnie widzisz twego rodzica, śmierciąbym cię pokarał.

— Bądźcie tatulu spokojni, nimby taki ostrzegacz zbliżył się do osoby pana jegomości, mnieby przódy uśmiercić musiał, a ja się też łatwo ubić nie dam. A zwierz!... iii, czy mi to pierwszyna z niedźwiedziem, albo dzikiem wziąć się za bary?...

— Pamiętajże! a też pilnuj, żeby Król Jegomość nie zbłądził w puszczy, ile że rad on jest sam gonić zwierza i sam chadzać po puszczy. Mało to razy, ja z nim, oddaliwszy się od innych, gdy późno ju było i daleko od obozu Króla Jegomości, nocowa-

liśwa gdzie pod jaką jodłą albo dębem. Nocowali-
śwa!... to niby tak się mówi, bo Król Jegomość spał,
a ja czuwałem caluteńką nockę ze strzałą na cięci-
wie luku i z oszczepem w garści od zwierza dzikie-
go i złej przygody wszelakiej, pilnując poświęcanej
osoby królewskiej. Pamiętajże chłopcze, że gdyby
Król Jegomość oddalił się od swego obozu i gdyby
was nocka zaskoczyła, uściel królowi posłanie, choć-
by ci przyszło własny kożuch z pleców zdjąć, gdzie
w osłoniętem od wiatru miejscu, a sam oka nie
zmrzuj, niech cię Bóg broni i czuwaj jako żoraw,
bo na twojej głowie jest osoba poświęcana jegomo-
ścina i los całej Polski. Rozumiesz!?

— Rozumiem już to dobrze i nie bójta się tatulu,
wszycko ja to uczynię i włos z głowy pana jegomo-
ścinej nie spadnie, chyba bym nie żył.

— Pamiętaj tak czynić, to ci przykazuję srodze.
Jedno mię tyło niepokoi, że ty puszczy dobrze nie
znasz.

— Ej! kaj ta nie znam... znam przecie...

— Znasz tutaj kole Jedlni, Kozienic, ale nuż Król
Jegomość, jako to jest jego zwyczajem, bo pan to
gorączka wielki, i za jeleniem, albo łosiem gotów
gnać Bóg wie gdzie, nuż się zapędzi pod Głowaczów,
albo Ryczywół... znasz to tamtą puszcę?

— Juścić coprawda, to dobrze nie znam tamtych
borów, ale przecie zabiorę ze sobą Jacka, Dobka
i Stańka... Już to Jacek we wszelakiej puszczy, choć-
by pierwszy raz w niej był, jest jakby u siebie doma.

— Prawda i to, jeno niech oni zdaleka się trzy-

mają od osoby pana jegomościnej, bo król srodze jest gniewny, gdy tko kole niego, kromia ¹⁾ przystawa się kręci. Niech oni chodzą kole króla, ale zdaleka i czuwają...

— Ju ja im to srodze zapowiem... nie bójta się tatulu, wszyćko będzie dobrze.

— Jedźże tedy i niech cię Pan Jezus strzeże.

To rzekłszy stary Warchoł ciągle chory i trzęsący się od zimnicy, podniósł w górę wychudłą rękę i uczynił nad chłopcem, obejmującym rodzica za nogi, znak krzyża świętego i gadał:

— Mie Oćca i Syna i Ducha świętego, ament... niech cię Pan Jezus prowadzi, a czyn tak, żeby nie-szczęścia i wstydu nijakiego nie było. Bądź czujny i sromięźliwy ²⁾ przy osobie pana jegomościnej, a oczy wytrzeszczaj. Mie Oćca i Syna i Ducha świętego...

Całej tej rozmowie starego Warchoła przysłuchiwała się Jewka, stojąc podłe komina, na którym gorzały wielkie polana żywicznych drew. Kiedy Warchoł zaczął błogosławić Sławka i ostatnie mu nauki dawać, jako się ma zachowywać przy poświęcanej osobie pana jegomościnej, skoczyła z izby do sieni i gdy Sławek tam wyszedł, ujrzał ją przybraną w kozuszek odświętny, w piękne skórnie ³⁾ uczernione, z łukiem na plecach i toporkiem za pasem.

¹⁾ oprócz.

²⁾ skromny, pokorny, wstydlivy.

³⁾ Buty, wysokie trzewiki.

— A ty kaj się tak przystroiłaś, jakoby na ło-
wy? — spytał zdziwiony Sławek.

— Braciszku — szepnęła dziewczyna, cała zapło-
niona jak wiśnia — weź mnie z sobą.

— Kaj cię mam wziąć? — zapytał zdziwiony i nie
rozumiejąc o co idzie.

— Do Kozienic.

— Po co?

— Abym Króla Jegomością uźrała... jeszcze też
nigdy króla nie widziała...

— Zgłupiałaś chyba... co ci się po głowie troił...

— Sławku, koraliczku — rzuciła się chłopcu na
szyję — weź mnie z sobą! Ja też rada będę strzegła
króla, a wiadomo, że moje oczy i w nocy widzą, jak
kocur, a i lepiej od kocura.

— Słyszał to tko, żeby dziewczki strzegły króla?

— A la czego nie? czy to ja gorzej od chłopca z lu-
ku strzelam, albo z oszczepem chadzam. Nie ubi-
łam to łośńskiego roku miśka, co mię napadł w bo-
ru? A ju niechno ino jaki zdradźca kole króla się
pokaże, ju ja go dojrzę i z łuku go ustrzelę.

— Hm... chutliwie¹⁾ bym cię wziął, ale przyka-
zania od oćca nie mam na to, a przytem, tko bę-
dzie rodzica strzec, tko mu warzy nagotuje, tko
łoży uściele, tko w chałupie wszelaki obrządek uczy-
ni, kole krów i świniaków i też kur chadzać będzie...
Nie! nie! to nie może nijak być. Wracaj do izby
i siedź kole oćca.

— Ju ty się o obrządek kole chałupy i też gadzi-
ny nie turbuj, ni też o to, tko panu oćcowi warzy
nagotuje i łożnice uściele. Ju ja dzisiok, jakem się

¹⁾ chętnie.

tyło dowiedziała, że król przyjechał do Kozienic, tom zarusieńko skoczyła do starej kowalki i uprosiła jej i kuraka obiecałam jej dać, żeby przeniosła się do naszej chałupy i kole obrządku chadzała.

— I co? zgodziła się na to?

— A zgodziła się, la czego by zgodzić się nie miała, kiej jej, przyrzekłam dać kurę czubatą? Ju nie bój się, kowalka wszyćkiem zarządzi jako należy, śwarna i mądra to baba, a przecie będzie miała do pomocy Jagnę, co chocia je leniwa i dużo gada, ale pod kowalką, tkóra jej lba narwie jak potrza będzie, skakać będzie jako młoda sarna. No namilszy¹⁾ braciszku weź mnie z sobą...

— Nie może to być przez pozwolenstwa oćca. Jak oćciec pozwolenstwo dadzą, to dobrze, inaczej za nic cię nie wezmę. Jeszcze by mnie rodzic wyprali, albo co gorszego uczynili. Wiadomo ci, jako oćciec są sro-dzy...

Jewka spuściła oczy żałośliwie i dwie lzy potoczyły się po jej rumianych jako jabłuszek policzkach, i rzekła:

— Kiej oćciec nie pozwolą, ja to wiem...

— Pewnikiem nie pozwolą, No! mnie już czas. Bądź zdrowa!

— Braciszku namilszy! Sławku! — zawołała głosem rozpaczliwym dziewczyna, widząc, że Sławek rusza ku saniom, które już czekały na podwórzu, powożone przez Jacka Gamajdę.

Sławkowi żal się zrobiło siostrzyczki, znacznie

¹⁾ najmilszy.

młodszej od niego i kochanej mocno, zatrzymał się więc i rzekł:

— No! no, Jewuś, nie becz! kiej nie można, to nie można.

— Ja chcę obaczyć króla! — dziewczyna szlochając szepnęła z uporem rozkapryszonego dziecka.

Jacek Gamajda, który siedział na przodzie sań i jak zawsze zajadał coś łakomie, usłyszawszy to zapiszczał jakając się szpetnie:

— Jewuś obaczy klóra... (nie mówił króla jeno „klóra“).

— Jakże go obaczę, kiej mię Sławek do Kozienic wziąć nie chce.

— I dobrze robi... ale Jewuś obaczy klóra.

— Kajże go obaczę?

— A tu w Jedlni.

— A bo to król będą w Jedlni?

— A będą.

— Skądże ty Jacek wiesz o tem? — spytał Sławek.

— A wiem, bo mi gadał o tem goniec pana starościński z Kozienic, że naprzód klór polować będą w boru Jedlniańskim.

— To i cóż? w samej Jedlni król mogą nie być.

— A kajże będą nocowali, jak nie w Jedlni? — zrobił uwagę Jacek.

— Laboga! — plasnęła w ręce Jewka — to pewnikiem król zanocują w naszej chałupie.

— A juści, kajżeby gdzie indziej?

— Jewka! — zawołał Sławek — leć do izby i oćcu o tem powiedz. Potrzeba chałupę wykadzić jałowcem,

świniaka zarznąć, kuraków i chleba białego napiec. Przecież to król!

— Laboga! laboga! — wołała dziewczyna rozpromieniona — o Chryste! leczę... leczę... zara Jagnę posyłam do kowalki... o laboga! kiedy ja to wszystko uczynię.. izbę potrza wykadzić — Jagna! Jagna! leć po jałowiec do boru... Jagna! Jagna!

Na ten krzyk wysunęła się z chlewka dziewczyna gruba jak pień, w kożuch zasmolony i podarty przybrana, boso, choć mróz był i śnieg pod nogami skrzypiał, ze łbem rozczochranym, brudną płachtą nakrytym i głosem chrapliwym zapytała:

— Czegój się Jewuś drą? przecież jest!

— Leć do boru po jałowiec!

— Po jałowiec? a na co?

— Ty się nie pytaj, jeno leć a żywo!

A wtem Jacek Gamajda pocznie się jakać:

— Czegój się Jewuś tak śpieszy? przecie nie ma nijakiej nagłości. Klór wczora ledwo przyjechali, dzisiok se wypoczną po takiej dalekiej podróży, bo słyszę, że aż od Krakowa jadą, a jutro dopiero polować będą w naszym boru, i na nockę przybędą do Jedlni. Ma przeto Jewuś całe dwa dni, by wszystko przygotować jak potrza.

— A skądże ty wiesz, że Król Jegomość od Krakowa jadą? — spytał Sławek.

— Jakto skąd wiem? wiem od gońca pana starościńskiego. O wszystkim go się wypytał i też rzepe pieczoną mu dałem, żeby gadał. Jewuś!

— Co?

— Należałaby mi się też za to, żem Jewuś ostrzegł

o królewskim przybyciu, chociaż maluśka pokrętka białego chleba i serek czeski.

— Dostaniesz jak upiekę. Jagna, czegoś stoisz i wybałuszasz ślepie? leć mi do boru po jałowiec, a ja sama skiknę do kowalki, bo przez niej nijkiej rady sobie nie dam. O laboga! król u nas w chłupie nocować będą!

— Król! — zawołała Jagna.

— A król.

— Jako żywo nie widziałam nigdy króla. O laboga, musi straszny człek — odezwała się grubym, zachrypłym głosem Jagna — jeszcze nas porzezać każe!

— Hi! hi! hi! — zapiszczał Jacek — to ci głupia dzieucha! No, jadziemy czy nie, bo ju rękami zdzierzyć lejcy nie mogę, takem zmarzł.

Ślawek skoczył na sanie i wołał do rozradowanej siostry:

— Jewuś, naprzód oćcu o tem rzeknij!

— Lecę!

Sanie rażno ruszyły, a Jewka skoczyła jak sarenka do izby, Jagna zaś stała z rozdziawioną gębą, patrząc na odjeżdżające sanie i szeptała:

— Poszaleli czy co?

A potem ruszyła do chlewka do świniaków, szepcząc:

— A niechta! co mi ta! Król nie król, wszycko mi ta jedno... Król mi jeść ani też przyodziewku nie da, a gospodarz mię spierze, kiej świniaków nie nakarmię.

Weszła do chlewka, gdzie ją otoczyła z głośnem

chrząkaniem gromada prosiąt i wieprzków, a ona usiadła na ziemi, uśmiechała się do nich, chwytając ich pieszczotliwie za zakręcone ogonki, głaskała miłośnie po szczerinowatych grzbietach i szeptała:

— Moje robaczki namilejsze... moje złotka najśladzkie. Luś! luś! luś!

Tymczasem Jewka rozpromieniona, rozradowana, wpadła jak wichur do izby, w której na przymurku przy kominiarce i piecu, siedział stary Warchoł, tuląc się w kożuch i stękając głośno.

— Tatulu! — krzyknęła Jewka — król u nas nocować będzie.

Stary Warchoł leniwie podniósł przymknięte oczy i widno nie zrozumiał, co do niego dziewczyna mówiła, bo zapytał gniewnie:

— Czegój się drzesz po próżnicy? Sławek pojechał już?

— Pojechał tatulu.

Teraz Warchoł baczniej spojrzał na dziewczynę i zauważył na niej kożuszek i luk i strzały i skórznice na nogach. Popatrzył, popatrzył i spytał:

— A ty coś się tak przystroiła?

Jewka zmieszała się i po chwili odrzekła:

— Nie słyszeliście tatulu com powiedziała?

— A cóżes ty powiedziała?

— A to, że król w naszej chałupie nocować będzie.

— Co?

— A tak! tak!; król u nas nocować będzie. Zara skiknę do kowalki, żeby maki rozczylniła i kołaczy napiekła, bo ja sama z Jagną nijak rady sobie nie dam. O laboga! laboga! król u nas nocować będzie!

Warchoł podniósł głowę, wyprostował się i zawołał:

— Co ty pleciesz dziewczucho?

— Prawdę mówię tatulu, król u nas nocować będą. Okrutniem ciekawa króla!

— Jakiego króla? skąd króla? co ty mi tu pleciesz?

— Nijak nie plecę, jeno prawdę gadam. Nic wam to nie powiedział goniec pana starościński, że król polować będą w naszej puszczy Jedlniańskiej? nie powiedział to wam tego?

— Nie powiedział.

— Ano, gadał on z Jackiem, co go Gamajdą przezywają, że jutro świtaniem król w naszą puszcę wyruszają i całusieńki dzień polować w niej będą, a na noc to pewnikiem do chałupy zajadą, bo gdzieby indziej? Sławek przykazał mi na wsiadaniu, bym to wszystko wam powiedziała.

Warchoł siedział chwilę nieruchomy, zdziwiony widno tą nowiną i rozmyślał nad czemś mocno, bo łysą głowę tarł ręką i kołpak wilczy to spychał na czoło, to znów na tył głowy, jak to zawždy zwykł był czynić, ilekroć go jakaś ciężka myśl zaprzętała. Wreszcie rzekł:

— Jako powiadasz, że goniec pana starościński gadał o onych łowach w naszej puszczy?

— Tak.

— Hm! głupi to jakiś goniec. La czegoż on mnie jako starszemu nad leśnikami pana królewskiemu, tego nie powiedział?

— Wiem ja to, tatulu, la czego on wam nie powiedział?

— Hm! może to być, że Król Jegomość do naszej chałupy na noc zajadą, a może i nie być. Jak się zapędzą za zwierzem kaj w bór głęboki, to gdzie im tam wracać do Jedlni! Znaczny to poczet panów musi być przy osobie pana królewskiej; gdzie my ich pomieścimy? Kóni też siła być musi, skąd wziąć obroku? Wolejby w puszczy nocowali. Ot, głupi goniec... Jewuś!

— Co tatulu?

— Wołaj ty mi parobków, Stańka i Dobka. To Jacek ze Sławkiem pojechał do Kozieniec?

— Tak.

— Wołaj mi Stańka i Dobka.

— Dobrze tatulu, ale jak skiknę do kowalki.

— Po co?

— Żeby przyszli, ciasta namięsili, kołacze piekli, kuraków narzezali.

— Co tam kuraki! Potrzeba świniaka zarznąć, cieląt też parę. Wołaj parobków, niech mi przychodzą zaraz.

— Duchem lecę, a Jagnę w bór pošlę po jałowiec, żeby w izbie nakadzić... jużem jej przykazywała, ale widzi mi się, że ona do chlewa poszła i ze świniakami się cacka. Ju lecę...

Wyskoczyła z izby i słyhać było jako na podwórzu cienkim swoim głosikiem wołała:

— Stańko! Dobek! do tatula! a duchem! Jagna! a kajżeś ty dziwko zatracona?

Zaraz też w chałupie Piotra Warchoła i w całym

obejściu ruch się uczynił wielki. Stary Warchoł przykazał parobkom, którzy zwolani przez Jewkę stawili się przed nim w izbie, aby nie mieszkając do boru skoczyli i ze stogów tam ułożonych siana przynieśli; żeby jeden z nich do wsi poszedł i od gospodarzy jedlniańskich, jako to była ich powinność, wszelakiego obroku dla pocztu pana królewskiego dostawili. Zjawiła się też, sprowadzona przez Jewkę, kowalka, baba wygadana, w kożuchu i łapciach, ale okrutnie ostra, bo gdy Jagna swoim zwyczajem leniwie i ospale się krzątała, to ją zara za łeb chyciła i wyprąła tego.

Okrutny ruch i rejuwach się zrobił w chałupie Warchołowej. Kowalka zaraz w dzieżach rozczyniła pięknej białej mąki, w piecu chlebowym gorzał ogień; Jewka zakasała rękawy i mięsiła ciasto na podpłomyki i kołacze; Jagna uwijała się jak mucha w ukropie, bo się strasznie bała kowalki, która podparła się pod boki i głosem krzykliwym wołała:
— A żywo! a rażno! bo prać będę, jak mi Pan Jezus miły!

A Jewka w dużej izbie z drugiej strony sieni, gdzie i cyganek był ogromny i piec też chlebowy i statki wszelakie, mięsiąc ogniście ciasto, pytała:

— Kowalko, moiściwy, widzieliśta wy kiedy króla?

— Boga mi nie widziałam! albo raz? Jeszcze nieboszezyk mój żył, kiejem z królem tak gadała jako z tobą.

— Gadaliście? prawdę mówicie?

— Cóż to, lgałbym miała? kiej mówię, żem ga-
dała, tom gadała.

— Jakże to było, opowiedzcie no, bom okrutnie
ciekawą.

— Ano, to tak było. Mój sobie przed kuźnią sie-
dział, chocia robotę miał, ale chłop był leniwy, aż
strach, jeno wylegiwać się a ziewać. Krzyż Pański,
pedam tobie Jewuś, miałam z tym chłopem. Com
się nagadała, naprosiła, na miły Bóg zaklinała,
wszycko na nic. Jeno leżeć, z drugimi chłopami
gadać po próznicy, niech Pan Jezus broni!

— Ale cóż ten król? — przerwała te utyskiwania
Jewka.

— A król, cóż król? Siedzi sobie mój przed
kuźnią, a ziewa i przeciąga się, jakby się narobił
ciężko, a hycel od świtania nawet młota w ręce nie
wziął. Taki to już był prózniczyszko. Krzyż Pański,
pedam ci Jewuś, miałam z tym moim chłopem, bo to
nic nie robi, a dzieciaków kupa w izbie...

— Ale gadajcie kowalko o królu.

— Przecie gadam. Siedzi sobie tedy mój przed
kuźnią i ziewa a przeciąga się, jako to u niego był
zwyczaj.

— Tom ju słyszała, gadajcie no o królu.

— O królu? ano to tak było. Siedzi sobie, co ro-
biący, mój przed kuźnią...

— I ziewa... jużście to powiedzieli.

— A tak, ziewa, a wtem jadzie na okrutnym ko-
niu król. Miał ci szatę czerwoną, koronę złocistą na
głowie i miecz srogi przy boku, a brodę czarną jako
u smoka, jeno wiatr ją rozwichrza, a kole niego siła

strasznych rycerzy. Jada, jada, a mój się zerwał na nogi, głę rozdziawił i dygocze ci od wielkiego boja, a ręce mu się trzęsą jak osika. Rzeknę ja tedy, zdej m ze łba kołpak, bo to ani chybi sam król jadzie. Tedy, co robiący, mój zdjął kołpak, a na głowie króla korona ci się lśkni, nikiej słonko jasne...

— Nikiej słonko, powiadacie?

— Tak, nikiej słonko. Wielki to był król, a głos ci miał taki, co jak się ozwał, to aż w boru wszystkie sosny zadygotały.

— O laboga! — jęknęła Jagna, która stała dzierżąc w ręku łopatę od wsadzania w piec chleba i słuchając tego opowiadania kowalki, z wielkiego strachu łopatę z trzaskiem upuściła na ziemię.

Na ten trzask kowalka obróciła się i spostrzegłszy zasluchaną Jagnę, krzyknęła:

— La czego stoisz i nic nie robisz? Chcesz li, bym ci znowu łba nadarła, niecnoto!

Tedy Jagna przerażona chwyciła ożóg, ale nim w żaden sposób trafić do pieca nie mogła, tak jej z wielkiego strachu ręce drżały. A kowalka opowiadała dalej, jako król kazał jej chłopu konia podkuć złotemi podkowami, jako za to podarował kowalowi strasną kupę złotych pieniędzy, jako jej się pytał ile ma dziecków i srogo jej przykazywał, ażeby nikomu nie gadała o tem, że był w kuźni jej chłopca i konia złocistemi podkowami kuć kazał.

Jewka i Jagna słuchały tego z okrutną ciekawością, a Jewka wołała:

— O laboga! laboga! co to będzie, jak król do nas zjadzie? O Panie Jezu, ja chyba zamrę ze strachu!

Ale nie miała zamrzeć ze strachu, owszem wielka radość i uciecha ją czekała.

ROZDZIAŁ V.

Jako król począł ścigać zwierza i co z tego wynikło.

W rzeczy samej Król Jegomość pierwsze łowy postanowił odbyć w ogromnej puszczy Jedlniańskiej. Towarzyszyło mu grono dostojników wszelakich, panów i baronów, i młody Sławek Warchoń i jego trzech towarzysze, bo wszyscy, i Dobek i Stańko i Jacek stawili się w Kozienicach do pomocy Sławkowi, nie mogli się napatrzeć wspaniałości pocztu królewskiego.

Widzieli tam tedy poważną postać księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja z Kurowa, jako ciągle był przy boku króla i coś z nim nieustannie gadał. Sam król był miernego wzrostu, chuderlawy, ale silny i rzeźki w poruszeniach. Twarz miał starannie wygoloną, jakoby u księdza albo niewia-
sty, oczy czarne, surowe, przenikliwe, głos gruby, donośny i prędki. Kiedy świtaniem, po mszy świętej, którą odprawił w kaplicy zamkowej kozienickiej ks. biskup poznański Wojciech Jastrzębiec, król wyszedł na rynek, by się na koń i ruszyć na

owe łowy, to zaraz zawołał swym grubym głosem, śpiewając z litewska:

— A gdzie jest mój przystaw?

Skoczył Sławek i pokłonił się panu do kolan, mówiąc:

— Otom jest!

Tedy król spojrział na niego i zaraz zapytał:

— A gdzie stary Warchoł?

— Zachorzeli miłościwy królu i mnie, syna swego, na przystawa przysłali.

— Znasz li puszcę chłopie?

— Znam, miłościwy królu.

— Siadaj na koń i jedź przy mnie.

Sławek w jednej chwili był na koniu i wzrokiem dał znak swym družbom Dobkowi, Jackowi i Stańkowi, by zdala szli i nie spuszczały króla z oczów, jako już uprzednio z nimi się umówił. Król ubrany był w krótki kożuszek, przedniem futrem kunie, podbity i skórznie wysokie miał na nogach i kołpak także kuni na głowie i swym głosem grubym wydawał rozkazy i nalegał na pośpiech, bo słońce już od wschodu ukazywało swe wielkie lice czerwone. Mróz był ostry i śnieg skrzypiał pod nogami ludzi i koni.

Panowie i baronowie siadali jedni na koń, drudzy na sanie, konie rżały, psy szczekały i wyły i rozgwar był ogromny na rynku kozienickim a mieszczki i rozczochrane głowy dzieciaków wyglądały z domów i przypatrywały się ciekawie temu widowisku.

A było na co patrzeć. Oto pan Krystyn Ostrowski, kasztelan krakowski, mąż wielkiego wzrostu, z dużą siwiejącą brodą, ciężko gramolił się na konia, przy pomocy swych służebników; dalej pan Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, niski, krępy, barczysty, o karku lwim i głowie ogromnej, wołał by mu konia podawano; pan Jan Ligeza z Bobrka, wojewoda łęczycki, wysoki, chudy, w delji futrzanej sadził w szczupakach na ognistym rumaku, mówiąc coś do pana Piotra Szafrąca z Pieskowej Skąły, który podparłszy się pod boki, ziewał głośno, bo widno nie wyspał się dobrze. Przez tłum panów i dworzan przeciskał się żwawo ku królowi pan Zbigniew z Oleśnicy, młodziutki o rumianem obliczu, a pan Gniewosz z Dalewic złemi i gniewnymi oczami obrzucał cały ten tłum ruchliwy.

Któżby ich tam zliczył tych panów! Zresztą Sławek ich nie znał wszystkich i stał tuż przy królu, patrząc na to widowisko ciekawie, i na swoje zdziwienie ujrzał między panami w poczcie królewskim pana Żelysława z Brzozy, którego przed paru dniami spotkał był w puszczy Kozienickiej. Jak zawsze tak i teraz miał czarny plaster na lewem oku i rękę lewą skutą z nogą złotym łańcuchem na cześć damy, kasztelanki Elwiry z Koziego Rogu. Taki sam był jak wtedy, wysoki, chudy, wyprostowany na swym ogromnym koniu, jeno teraz nie był w zbroi, ale miał na sobie kubrak modry, „jakiem“ zwany, futrem lisiem podbity, a na głowie kapicę brunatną, z pod której widniał kołpak wilczy. Stał

nieruchomy i patrzył groźnie jednym okiem na pana Mikołaja Kmity z Wiśnicza, który coś doń gadał i śmiał się głośno, aż mu się żywot trząsał niby galareta, a na żywocie tym podskakiwała trąbka myśliwska, lśknąca pod słońce jak złoto. Gdy na chwilę wrzawa, głośząca dotąd wszystko, ucichła, Sławek usłyszał, jak rycerz Żeliszław z Brzózy, mówił do pana Kmity.

— Odpowie mi wasza miłość za te drwiny. W rycerskiej gonitwie skruszę z waszą miłością kopję o cześć szlachetnej baronessy, kasztelanki Elwiry z Kozięgo Rogu.

Co na to odpowiedział pan Kmity, nie mógł usłyszeć Sławek, bo psiarkowie poczęli długimi biczami smagać psy, które się pogryzły ze sobą i rozległo się głośne wycie i skowyczenie, a sokołnicy, z sokołami na rękach przedzierali się ku królowi przez tłum, krzycząc:

— Z drogi! z drogi!

A przytem Sławek dojrzał poza rycerzem Żeliszławem z Brzózy, jego pacholka, giermkim zwanego, Pakosza, który dostrzegłszy także Sławka ręką i oczami dawał mu jakieś znaki i wrzeszczał:

— Bywaj chłopie!

Mówiąc to skrzywił się, język wywiesił i tak zabawną maszkarę ze swego lica uczynił, że Sławek nie mógł zdzierżyć i głośno się roześmiał. Ale niedługo mógł młody chłopiec patrzeć na błazeńskie miny Pakosza, bo na rynek wjechało z trzaskiem i krzykiem kilkanaście sań, a na nich ogromne beczki, które jadąc i uderzając o siebie, głośny huk wy-

dawały. Sławek nie mógł zrozumieć na co te beczki, żelaznemi obręczami spojone, mogą być potrzebne, ile że król obaczywszy je, rzekł do pana Zakliki z Korzkwi, który właśnie owe sanie z beczkami prowadził i zbliżył się był do króla:

— Są beczki, a mocne?

— Mocne, miłościwy panie.

— To dobrze. Niech jadą za nami.

Sławek był wielce zaciekawiony na co te beczki pan Zaklika z Korzkwi przyprowadził i gwoli czego mają one za królem jechać, ale nie śmiał się nikogo o to spytać. Wtem młody Zbyszek z Oleśnicy zrównawszy się z królem, obejrzał się dokoła i spostrzegłszy Sławka spytał:

— Tyś przystaw?

— Tak, wasza miłości.

Zbyszek obejrzał go bacznie od stóp do głów i rzekł:

— To dobrze, że leśnikowie jedlniańscy młodego wysłali, bo staryby nie nadażył Królowi Jegomości.

Rzekłszy to, uśmiechnął się do Sławka, a ten ośmielony tem, zapytał:

— Żali mogę waszej miłości zapytać się, bo nie mogę nijak zrozumieć...

— Czegóż to nie możesz zrozumieć? — spytał dobrotliwie rycerz Zbyszko.

— A to tego, proszę waszej miłości, na co tyle beczek zwieziono?

— Nato, że ubitą zwierzynę będą solić i w te beczki pakować, żeby wojsko czasu wojny z Krzyżakami miało co jeść. Rozumiesz teraz chłopie?

— Rozumiem.

Usłyszawszy to Sławek nie mógł wyjść z podziwu dla mądrości królewskiej, która o wszystkim, nawet o żywności na wojnę, pomyślała. I teraz widział dobrze, że owe łowy w puszczech Jedlniańskich nie dla zabawy i rozrywki Król Jegomość zarządził, ale dlatego, żeby żywność przygotować dla wojska. Tedy wielka cześć dla króla, który przed nim stał na koniu, ogarnęła Sławka, wielka miłość i uwielbienie, i w głębi duszy przyrzekał sobie, że go nie opuści aż do śmierci i wierny mu będzie, i strzec go będzie, jak pies u nóg mu się położy, a biada Miemcom, którzy śmieli rękę na króla podnieść. Sławek pójdzie na wojnę z królem, uprosi go o to, i miły Boże, jakże prac będzie Miemców!

Tak sobie myślał Sławek, a tymczasem król ruszył już, a za nim cały poczet panów, łowczych, psiarków i sokolników zbitą, krzykliwą gromadą, z hukiem, wrzaskiem, ujadaniem i skomleniem psów, puścił się naprzód. Sławek spiał się na koniu szukając oczami swych drużków, Jacka, Dobka i Stańka i dostrzegłszy ich w tłumie, dał im umówiony znak, by się blisko trzymali, i popędził za królem.

Król siedział na pięknym, cisawym koniu, bo się w takiej maści kochał, i zaraz z rynku puścił się rysią, a za nim zadudniała ziemia od cwałujących koni i sani, i wszystko to wywaliło się na pola koło Kozienic, pokryte twardym śniegiem, iskrzącym się niby gwiazdy od słońca, które już weszło ogromne, czerwone jak krew i łamało swe promienie

w oszczepach, łukach i toporach orszaku królewskiego. Jechano żwawo, gwarno, a śmiechy wesołe brzmiały dokoła, a mróz czerwienił twarze, konie parskwały, z nozdrzy im mgła biała przyskała i nad całą tą gromadą unosiło się jakieś wesele, jakieś radosne i rzeźkie życie. Bokiem przesuwały się długie szeregi leśników z kijami, sieciami, oszczepami i kiścieniami, w kozuchy, w szare świtki przybranych i co chwila grzmiał okrzyk pana łowczego królewskiego, Jana Mężyka z Dąbrowy:

— Bywaj! Na prawo! na lewo! kupą chłopy! i t. p.

Niebawem znalaziono się w puszczy. Na ogromnych sosnach i jodłach leżał śnieg srebrzysty, ustroiwszy je pięknie w biel lśniąca, a wrzawę całego tłumu tysiącznem echem bór powtórzył. Ale skoro coraz bardziej zagłębiano się w puszcę, pan łowczy królewski, Jan Mężyk z Dąbrowy, dzierżąc w ręku buławę, pędem poczał przebiegać łańcuch leśników i pocztu królewskiego i wołał:

— Cichaj! kto mi piśnie, łeb mu rozwalę tą oto pałą!

I odrazu uciszyło się, jeno psy czasem zaskomlały, lub koń parsknął, a bór szumiał i śnieg trzeszczał pod nogami ludzi i koni. Po boru szedł rzeźki powiew, a z sosen zrywały się całe gromady wron i kawekek i kracząc żałośliwie uciekały w głąb boru. Król jechał przodem milczący, gdy przed nim nagle sfrunęła sikorka i machając ogonkiem wesoło świergotała i podskakując zabawnie zdawała się prowadzić króla. Zauważył to król i rzeknie do pana Zbyszka z Oleśnicy.

— Widzisz tę sikorę?

— Widzę, miłościwy panie.

— To dobry znak, łowy nam się powiodą.

I uderzył wesoło ręką w swoje kolano i w szyję konia, który parsknął, jakby pana rozumiał. Wiatr szumiał po boru i strącał pył śnieżny na króla, który niebawem cały był biały od tego śniegu i błada, szczupła jego twarz zarumieniła się od mrozu. Sławek jechał tuż za królem, zapatrzony w niego, jak w święty obraz i ani się spostrzegł, jak ktoś do niego podjechał i głosem słumionym rzekł:

— Jak się masz chłopie?

Obrócił się żwawo Sławek i ujrzał tuż przy sobie Pakosza, pacholka rycerza Żelysława z Brzózy. Giermek czerwony był od mrozu, rękami bił o boki, krzywił się zabawnie i gadał:

— Cóż to? żali prawda, żeś ostał przystawem pana królewskim?

— A prawda. Tkóż wam to powiedział?

— Któżby, jak nie ten głupi chłop, Jacek Gamajdą zwan.

— Widzieliście go?

— Widziałem. Brr! a to mróz. Słuchajno chłopie, ty będziesz miał jako przystaw wielkie łaski u króla.

— Łaski! jakie łaski?

— No, już ja wiem, bo tak zawsze bywa. Każdy, co jest przy boku pana królewskim, ma łaski. Słuchajno, bo to widzisz chłopie, mnie się już przykrzy służyć temu zatraconemu rycerzowi Żelysławowi z Brzózy. Chłodno i głodno. Kiedyśmy onegdaj pod

wieczerz przyjechali do zameczku, to zastaliśmy straszne pustki, a bieda ci taka, że aż piszczy. Ani to drew, żeby w piecu napalić, ani drzwi, ani okien, jeno wrony się drą, a na wieczerzę, to ci nam burgrabia Domarat, dał rzepy gotowanej i wody do picia. Słyszysz? Rzepy gotowanej mnie, com jadał na dworze króla węgierskiego bażanty i języki skowroncze i jaskółcze, i pijał wino złociste, co je Węgry tokajem zowią... Żeby to wciurności!...

Sławek się śmiał i pytał:

— Cóż tedy chcecie?

— Chcę, byś rzekł słówko Królowi Jegomości, aby mię wzięli na służbę do siebie.

— Mogę ja to rzec?

— A możesz, la czego nie? Bo jak będziesz z osobą pana królewską...

Nie skończył, bo właśnie ni stąd ni zowąd zerwał się z krzów, niedaleko rosnących, ogromny łos i z trzaskiem swych rosochatych rogów pędzić począł w głąb puszczy. Jednocześnie z drugiej strony ujrzano gromadę dzików, ku którym puszczone zaraz psy i z ogromną wrzawą, zeskakując z koni, rzucili się panowie z oszczepami, dzidami i kiścieniami w rękach. Nawet poważny i milczący dotąd rycerz Żelisław z Brzózy, nie zważając na to, że ma jedno oko zasłonięte czarną szmatą i lewą rękę skutą łańcuszkiem, zeskoczył z konia i począł się oglądać za swoim giermkim, wołając:

— Pakosz! Pakosz! gdzieś się zapodział giermku niecnoto!

Więc nawoływanie to przerwało rozmowę Pako-

sza ze Sławkiem, ile, że ten ostatni nie słuchał tego, co mówił giermek, ale całą swą uwagę zwrócił na króla. Król bowiem rzuciwszy okiem na stado dzików i na rwący się ku nim swój poczet, nagle skrzył konia w prawo i cwałem puścił się za łosiem, który pędził jak szalony po boru, łamiąc swemi rozłożystemi rogami gałęzie i deptając młode sosenki potężnemi swemi racicami. W chłodnych, surowych oczach pana królewskich, nagle zajaśniał blask potężny, znamionujący, jak król Jagiello był zapalonym myśliwym. Podniósł w rękę krótką dzidę i cwałując na koniu, mierzył nią w uciekające zwierzę i głosem grubym coś wykrzykiwał. Sławek tedy nie czekając na dalszy ciąg mowy Pakosza, puścił się za królem, ściągając w biegu łuk z pleców, by strzałą ugodzić łosia, jeżeli to okaże się możliwem.

Ale zrazu nie zanosilo się na to. Zwierz wystraszony wrzawą pędził jak szalony, a za nim król z dzidą w rękę i Sławek z łukiem, na którego cięciwę, nie był nawet w stanie strzały nasadzić z powodu gwałtownego biegu konia. Szczęście jeszcze całe, że ta część puszczy składała się z samych odwiecznych jodeł, które głuszac sobą drobną roślinność przedstawiały gładką i nagą powierzchnię, gdyby bowiem las był młodszy, stąd podszyty drobnemi krzakami, ściganie zwierza konno byłoby zgoła niemożliwem.

Ale za to, jakże wspaniale przedstawiał się ten bór olbrzymi, zarosły jeno strzelistemi kolumnami jodeł, o korze gładkiej, srebrzystej, pozbawionej zupełnie gałęzi, tylko u szczytu szerokimi konarami

wiecznej zieleni, przedzierający się do powietrza i słońca. Śniegu na ziemi, zasłanej gęsto iglicami, zgoła nie było, bo gęste górne korony, nie przepuszczały go wcale i była tu wielka cisza i półmrok senny, tylko tam gdzieś u szczytu stuletnie drzewa szemrały zwykły swój pacierz, a od czasu do czasu spadał z nich, niby pył przejrzysty, szron biały i rozsypywał się jak mgła wokoło. Powietrze tu było zduszone, a na odgłos cwałującego łosia i ściągających go jeźdźców, dudniących po zmarzłej ziemi, zrywały się z wierzchołków drzew, gromady wron i kruków i posępnem krakaniem napępniały ciszę boru. Czasem, tuż prawie z pod nóg końskich zrywał się wystraszony zając i zmykał stuliwszy uszy na grzbiecie, przerażony nagłym pojawieniem się jeźdźców; wiewiórki przebiegały w potężnych skokach z jednej jodły na drugą i usiadłszy na tylnych łapkach i puszystym ogonie przypatrywały się zdziwione pędzącym myśliwcom. Niekiedy rosomak lub ryś, ukryty w kotlinie, gdzie czyhał na zdobycz, zrywał się przerażony rozgłośnym tętentem łosia i koni, i w jednym skoku, ze zręcznością nadzwyczajną wdzierał się na jodłę i tam przytuliwszy się do jakiej gałęzi, nastroszył do góry swe małe uszy i złemi, dzikimi oczami, patrzył na niezwykle w tym odwiecznym boru widowisko. Gdzieś z boku spoczywające na ziemi całe gromady sarn i kozłów, zbudzone ze słodkiej drzemki hukami i trzaskami łosia i myśliwców, popodnosiły długie szyje, i łagodnymi, wiecznie załzawionymi oczami patrzyły przerażone strzygąc małąkami uszami, a potem na-

gle zrywały się i w ogromnych skokach ginęły w czarnej ciemni boru.

Ale Król Jegomość na to wszystko nie zważał, jedno pędził dzierżąc ciągle w rękę dzidę i upatrując chwili, w którejby mógł nią dosięgnąć uciekającego łosia. Za królem pędził Sławek, napróżno usiłujący nasadzić strzałę na cięciwę łuku, a z pysków końskich tryskała długimi strumieniami para.

Gonitwa ta trwała już jakiś czas, łos ciągle trzymał się w znacznej odległości, tak, że niepodobna go było dosięgnąć i gnał dalej jak szalony. Już wrzawa myśliwców, walczących ze stadem odyńców cichła coraz bardziej, aż ucichła zupełnie i tylko po boru szumiały korony jodeł i rozlegał się tętent koni i racie uciekającego zwierza.

Sławek począł się niepokoić trochę tem oddaleniem się od pocztu królewskiego i oglądał się co chwila, by zobaczyć w jakiej stronie puszczy się znajduje, i chocia radby zatrzymać króla, bo przypuszczał nie bez słuszności, że ten pościg Bóg wie jak daleko może zaprowadzić, ale nie śmiał. Wiedział, że z tej strony gołobórz puszczy rozciągał się daleko i zwierz mógł bezpiecznie uciekać, bo żadne krze lub niskie gałęzie nie zatrzymają go w biegu. Przemyślał tylko nad tem, jakby zwierza skierować nieco na prawo, gdyż w tamtej stronie puszczy, płynęła rzeczka, Jedlonką zwana, która tu i owdzie rozlewała się w szerokie stawiska, niechybnie teraz zamarzłe. Gdyby się udało zwierza napędzić na lód tych stawisk, to kromia tego, że nad niemi rosły gęste krzaki olszyny i wikliny, które już same przez

się przeszkadaby były w szybkiej ucieczce łosia, to zwierz wpadłszy na lód, łączną stałby się zdobyczą myśliwców. Sławek rad był barzo, że mógł poznać, w której stronie puszczy się znajduje, boć przecie szło mu przedewszystkiem o to, żeby nie pobłądzić i króla wyprowadzić na dobrą drogę.

Nagle zdało mu się, że słyszy gdzieś z boku jakiś tupot głuchy i naszczekiwanie krótkie i urywane. Odrazu poznał, że to wilki i niebawem spiąwszy się na strzemionach, dojrzał ich po iskrzących się w ciemności ślepiach, jak biegły, z kitami podniesionemi do góry. Nie było ich dużo, czterech czy pięciu. Chytry i przemyślny ten zwierz, towarzyszył myśliwcom w tej zapewne nadziei, że jeżeli ubiją łosia, to zawsze jemu jakieś ochłapy się dostaną, jeżeli zaś zwierz zdoła się ocalić od strzał i pocisków człecznych, to jednak będzie tak zmęczony, że łatwo stanie się ich zdobyczą. Sławek wiedział, że wilki tak będą zachodziły łosiowi z boku, żeby go wpędzić na stawiska, zwane Wilczemi dołami, nie przeszkadzał im tedy, ani ich nie odpędzał, wiedząc, że w tej porze, w grudniu wilki nie są straszne. Jakoż przewidywania jego się sprawdziły. Łoś poczuł wilki i coraz bardziej, pragnąc od nich się odsunąć, skręcał na prawo, aż wkońcu całkiem w tym kierunku ruszył.

— Mamy go! — zawołał Sławek.

Król teraz dopiero obrócił się i spojrzawszy na chłopca rzekł nieco zdyszany głosem:

— A to ty, przystaw!

— Tak, miłościwy panie.

— Rzekłeś, że mamy zwierza, dlaczego?

— Bo niedaleko są stawiska i krze gęste, tam się rogami zaplata, a na lodzie padnie pewnikiem.

Jakoż bór jodłowy rzedniał i widać już było czarną, bezlistną gęstwinę krzaków olszowych, a za nimi lśkniącą się pod słońce tafłę lodową stawisk i jasny blask dzienny, miłe czyniący wrażenie, po posępnym mroku, panującym w boru. Łoś, zwierz stary, bo poznać to można było po jego ogromnych rosochatych rogach, stąd doświadczony, widocznie uważał grożące mu niebezpieczeństwo, zawahał się, chwilę zatrzymał i nagle skierował się w bok, niechybnie w zamiarze zawrócenia do boru. Ale już Sławek nałożył strzałę na cięciwę i ta krótką, jak mgnienie oka chwila wahania się zwierza, zgubiła go. Strzała z głuchym świstem przerznęła powietrze i utkwiała w szyi zwierza, z taką siłą, że zagłębiła się w niej po pióra i głośno z pędu warczała. Krew strumieniem trysła, zwierz zachwiał się i padł na przednie nogi, zerwał się jednak zaraz i skoczył, ale już król był przy nim i krótką, ostrą dzidę wbił mu w bok. Łoś skoczył i padł jak długi; drżał jeszcze chwilę, wreszcie leżał nieruchomy. Dzida przebiła mu serce.

Król uradowany bardzo, zeskoczył z konia i począł oglądać ubitego łosia, pomrukując wesoło i mówiąc z ruska:

— Krasny zwierz, wielmi krasny!

Oglądawszy starannie zdobycz myśliwską, król spojrzał się dokoła, chwilę stał jakby słuchał, wreszcie rzekł:

- A gdzie mój poczet?
 - Ostawiliśmy go daleko, miłościwy królu.
 - Tedy, gdzież my jesteśmy?
 - Kole Wilczych dołów, miłościwy królu.
 - Hm! odpocznę se nieco i potra wracać do swoich, jeno co z łosiem uczynić? Trzeba ludzi wołać. Są tu gdzie ludzie?
 - Kajby zaś byli miłościwy panie. Tu największa puszcza...
 - Więc co będzie?
 - Ha! huknę ja po boru, może moi družkowie się znajdą.
 - Hukaj tedy.
- To rzekłszy król siadł na obalonej sośnie i obcierał pot z czoła, bo choć mróz był siarczysty, ale w pogoni, w dostatnim kunim kożuchu zgrzał się nieco, a Sławek zawrócił do boru i odszedłszy parę kroków, przyłożył do ust obie dłonie i począł huknąć:
- Bywaj! bywaj!

ROZDZIAŁ VI.

*Jako się Jewka przekonała, że króle niezawsze
w koronie chadzają.*

Sławek hukając ciągle na swych družków, oddalał się coraz bardziej od króla, odpoczywającego na zwalonej sośnie, i spostrzegł wilki, które od niejakiego czasu towarzyszyły uciekającemu łosiovi. Przysiadły one na tylnych łapach w postawach pełnych skromności, pyski wyciągnęły, wachając łakomie zapach świeżej krwi, ale nie śmiały się zbliżyć, łuskając tylko zpodelba ślepiami. Sławek nie cierpiał wilków, bo wielokrotnie porywały one rodzicowi jego to owcę, to cielę, a nawet raz rozdarły ulubionego psa Sławkowego. Mścił się też na nich gdzie tylko mógł.

Więc też teraz obaczywszy je, jak siedziały sromięźliwie i czekały cierpliwie aż im się jaki ochłap z zabitego łosia dostanie, niewiele myśląc naciągnął luk, zmierzył i strzała wypadając ze świstem, zagłębiła się w jednym z wilków. Rażony skoczył w górę jakby z procy wyrzucony i z głośnem a żałośliwem skomleniem padł, brocząc śnieg posoką. Inne, zdziwione tym wypadkiem, podniosły się na nogi, ale nie opuściły swego stanowiska, dopiero gdy nowy pocisk powalił drugiego wilka, ruszyły się wolno, ze spuszczonei ogonami, zatrzymując się i oglądając co chwila. Sławek mówiąc do siebie „będzie zacna wilczura“, zamierzał jeszcze jednego

domiu, wszelako tacy ludzie oddawszy się rzemieniu zbójckiemu na wszystko są gotowi. Nuż ich jest kilku i kilku pewnikiem być musi, a on, Sławek tylko jeden, jakże obronić króla? Niespokojny więc był barzo, a serce mu biło jak młotem, jednakże w duszy przysięgał sobie, że trupem przódy legnie, nim zbójników do poświęcanej osoby królewskiej dopuści. Na łuk nasadził strzałę, spróbował czy topór łącno z za pasa się dobywa i począł pilnie oglądać się na wsze strony i nadśłuchiwać.

Ale już król usłyszał także ów śpiew i ową wrzawę, bo wstał i szedł ku Sławkowi wołając swym grubym głosem:

— Hej, przystaw, a co to takiego?

— Wiem ja to miłościwy królu? cosik się niedobrego w boru dzieje.

— Idź obacz, a ja na koń siądę. Trza ludzi moich zwołać. Oto masz róg, zadmij weń a hromada zaraz przybieży.

Sławek niechętnie podniósł róg do ust, bo lękał się, że tym sposobem da znać zbójnikom o obecności pana królewskiej i swojej w boru, ale nie śmiał się opierać rozkazowi i począł grać. W ciszy leśnej donośny, chrapliwy głos rogu grzmiał potężnie, przez tysiączne echo porywany, roznoszony i powtarzany. Wszelako zaledwie przerwał, by nowego tchu nabrać w piersi, gdy nagle z głębi boru dał się słyszeć dobrze znany Sławkowi, piskliwy głos Jacka Gamajdy:

— Bywaj! a tko tam gra?

Kiedy to Sławek usłyszał, ogarnęła go taka ra-



Chwycił ręką za uzdę rumaka Żeliszławowego. Str. 136.

dość, jakby mu kto sto koni podarował i ciężki ciężar spadł mu z serca. Podskoczył z uciechy, roześmiał się głośno i obracając się do króla zawołał:

— Nie bojąc się niczego miłościwy królu, to nasi! I biegl w puszcę krzyczac:

— Jacek! bywaj! — a żywo! tu Król Jegomość je! bywaj a żywo! o laboga jakim się uweselił. Bywaj! bywaj Jacek.

Zaraz też ujrzał wylaniających się z mroku leśnego, Jacka i Dobka i Stańka, uzbrojonych w łuki, topory i oszczepy, jak prowadzili jakiegoś dziada w podartym szpetnie kozuchu, w łapciach na nogach, słomą owiązanych, z torbą przez ramię przewieszoną i z kosturem w ręku. Dziad był mocno wystraszony, a po twarzy i siwiejącej, długiej brodzie krew mu ciekła, szedł opierając się, stękając, krzyczac, ale Dobek popychał go, bijac od czasu do czasu pięścią w kark i mruczac:

— Ruszaj zatracony zdraźco, bo na miły Bóg, uśmiercę cię na śmierć!

Sławek zdziwiony tem co ujrzał, podbiegl do swych, jak ich zwał, družków i zapytał:

— Co to? co się stało? gadajcie mi wraz!

— Ostrzegacząmy miemieckiego chycili! — zapiszczał Jacek.

— Ostrzegacza?

— A tak ostrzegacza — ozwał się wesolo Stańko — ale ma hycel krzepę, żeby nie Dobek nijakbyśmy mu rady nie dali.

Stańko krzyczal swoim zwyczajem i śmiał się gło-

śno, a nawet z uciechy począł trzepać rękami i zapiał głośno jak kur:

— Ki ki ry ki!

— Cichaj! — syknął Sławek — tu je sam król!

— Klór tu je? — zapytał Jacek — o laboga, to wielmi dobrze, bo pewnikiem da nam jeść. Takem ci osłabił w tej bitwie z tym niecnotą dziadem, zem ledwie żyw.

Ale dziad, który stękał i jęczał i do Dobka gadał:

— Puść mię, czego mię dzierzysz? nie ucieknę ci, zbój! — usłyszawszy, że tu jest król, zawołał radośnie:

— Król Jegomość tu jest? Niech będą dzięki Najświętszej Pannie Marzy! ¹⁾ Prowadźcie mię do króla.

— Czegój się cieszysz zdradźco? — rzekł Stańko — król cię pewnikiem obwiesić przykaże na tej oto sośnie.

— Obaczymy kogo przykaże obwiesić, mnie czy was zbój! — odparł dziad.

— Stul gębę! — mruknął Dobek — bo na miły Bóg zdziele cię tak, że ani zipniesz!

Ale już król sam, zaciekawiony głosami, rozlegającymi się po boru, szedł krokiem ciężkim, a za nim stapał koń cisawy, tak przywiązany do swego pana, że bez uździenicy sam postępował za królem. Zbliżywszy się Jagiello i obaczywszy gromadę zbrojnych parobków i pokrwawionego między nimi dziada, zapytał ostro:

— Co to? co to jest? kto ten człowiek?

—————

¹⁾ Marji.

Tedy wszyscy parobcy kornie zdjeli z głowy kołpaki i pokłonili się nisko majestatowi pańskiemu do kolan, a Sławek rzekł:

— Miłościwy królu, oto drużkowie moi chycili w boru ostrzegacza miemieckiego.

— Ostrzegacza?—powtórzył król i zwracając się do dziada zapytał:

— Kto ty?

Dziad upadł na kolana i składając ręce jak do modlitwy, jęknął żałościwie:

— Twój sługa miłościwy panie, idę do Waszej Miłości od pana biskupa kujawskiego, Jana...

— Aaa! od biskupa... od biskupa... a masz hramotę?

— Mam miłościwy panie, ale przykażcie mię puścić temu chłopu, bo mnie zdusi swemi niedźwiedziami łapami. Ledwiem żyw...

— Puść go! — przykazał król Dobkowi, i mówił do dziada swym prędkim, grubym głosem:

— Pokaż hramotę.

Więc Dobek, acz niechętnie puścił dziada, bo jakże nie słuchać przykazania pana królewskiego, ale uważał, że to co dziad mówił, jest jeno wybiegiem i łgarstwem, i choć zdjął swe, prawdziwie niedźwiedzie łapy, z karku schwytanego śpiewaka, stał tuż przy nim, gotów za najmniejszym podejrzanym ruchem, rzucić się na niego i zdusić jak warchlaka. Dziad wyswobodzony z ciężkich uścisków Dobka, otrząsł się jak pies, kiedy z wody wyjdzie, odetchnął głęboko i począł ściągać siermięgę, a zdjawszy ją pomacał palcami kole kołnierza, poczem z torby

dobył kozika i szybko a sprawnie prul on kołnierz. Niewiele to ta było zachodu, bo stare, zleżale kołnierzysko rozłaziło się jak próchno, i niebawem wydobył z niego owinięty w szmatę, w kilkoro złożony gruby, szary papier i podał go na klęczkach królowi.

Król, który jak każdy Litwin, był wielce zabobny, nie zaraz wziął podawany mu papier, na który patrzył podejrzliwie, dopiero gdy dobywszy z kieszeni swej futrzanej delji, słomkę, rzucił ją za siebie i splunął podwakroć na psa urok, schwycił ostrożnie dwoma palcami pismo, rozwinął je, popatrzył na nie i spytał Sławka:

— Daleko stąd do Jedlni?

— Co ma być daleko, będzie ze dwie milki.

— Gotujta się do drogi! zaraz jedziemy! a ty,
— zwrócił się do dziada — chodź za mną!

Król ruszył tam, kędy leżał ubity łoś, usiadł znowu na zwalonej sośnie i pewnym będąc, że rozmowy jego z dziadem czterej parobcy nie usłyszą, rzekł do dziada:

— Byłeś w krzyżackiej ziemi?

— Byłem, miłościwy panie.

— Gadaj, coś tam widział!

— O miłościwy panie, dziwy, dziwy jam tam widział.

— W Malborku byłeś?

— Byłem panie i długo, bom to był przebrany za gęslarza i samemu wielkiemu mistrzowi przy uczlach z komturami i rycerstwem pieśni śpiewa-

lem, tedy mogłem się napatrzeć na wszystko dosyta i nasłuchać, co oni gadali.

— Cóż tedy gadali?

— Że na wojnę na Waszą Królewską Miłość wyruszą i mieczem was ścigać będą aż do Krakowa, że wolą najechać kraj ludny i uprawny, niż pusty, Polskę niż Litwę. Sam słyszałem, jak wielki mistrz graf Ulryk von Jungingen, gadał podczas biesiady do rycerzy zamorskich, których moc okrutna zjeżdża się do Malborka, że ma całą wieżę złota, którem nie takie królestwo jak Polska, zawojuje...

Król słuchał tego, a duże ciemne oczy błyszczały mu złowrogim ogniem i co chwila chwytał za rękamięć miecza, ale milczał i słuchał, a dziad gadał:

— W Malborku, w zamku panowie niemieccy nagromadzili siła żywności wszelakiej, całe wieże zboża, żyta i pszenicy, mąki i krup, tysiąc owiec i mięsiwa solonego, kilkadziesiąt beczek soli, ogromne kufy wina i gorzalki, że już nie wiem ile rozmaitych słodkości. A co rynsztunku Panie Jezu Chryste! któżby to zliczył? Ulano też ognionośną harmatę, sam ją miłościwy panie oglądałem, i jeden komtur, którego przezwiska zabaczyłem, gadał mi, że takiej harmaty nie widziano dotąd w żadnym kraju niemieckim, ani w Polsce, ani w ziemi węgierskiej. Wszystkie kuźnie kują oręż, leją kule, wiercą strzały ogniste. W zamku zamurowano większą część okien, uczyniono obronnemi nawet najskrytsze schody. O! miłościwy królu, mocni są ci panowie niemieccy!

— I my też nie słabi — mruknął król i rozkazywał: gadaj dalej!

— Przyjechał tam do wielkiego mistrza, będzie temu z pięć niedziel, jakiś ksiądz polski i sam sly-szałem, jak graf Ulryk von Jungingen pytał go: co wy tam za most budujecie w powietrzu? i śmiał się i gadał; dobrze, jeno niewiadomo kto po nim przejdzie.

— Wiedzą już o tym moście?

— A wiedzą. Wszyscy krawcy w całej ziemi pruskiej szyją chorągwie, proporce, płachty wojenne różnej wielkości, a wszystko z jedwabiu, złotym haftem zdobne, pisane znakami a zawsze z czarnym krzyżem, który jest herbem panów niemieckich. Moc rycerstwa z ziemi niemieckiej, francuskiej, nawet Angielczyków w zbrojach i blachach żelaznych zjeżdża się, a wielki mistrz wita ich graniem na trąbach, piszczałkach, lutniach i litaurach. Gadali tam nawet, że książę pomorski Swantebor własnego syna z okrutnem wojskiem posyła na pomoc Krzyżakom, że z inflanckiej, kilońskiej ziemi, z wyspy Ezel co jest na morzu, mają przybyć posiłki. Na zamku malborskim jeno muzyka wesola gra. Wielki mistrz uczyty dla rycerstwa wyprawia i gada, że wojsko polskie i litewskie, to motłoch, w którym więcej jest łyżek jak broni!

Król aż podskoczył na te słowa, ale pohamował się zaraz, jeno mruknął:

— Obaczą oni ten motłoch i te łyżki. Gadaj dalej!

— Ano... chyba już wszystko rzekłem. Com wi-

dział i słyszał tam wam wiernie miłościwy panie powtórzył. Pycha to tam okrutna jest u tych panów pruskich, ale powiadał mi jeden mnich w Toruniu, że jest proroctwo św. Brygidy, że przyjdzie czas, kiedy Krzyżakom będą wyłamane zęby i będzie ucięta im ręka prawa i prawa noga ochromieje, i gadał on mnich, że czas ten nadchodzi. Prawda li to, nie wiem, bo gdzie mi tam, pacholkowi Bożemu, mądrość i drogi Pańskie rozpoznawać. Jenó kiedym już miał odejść z Malborka, natknąłem się na komtura tucholskiego, Henryk przezwiskiem, który uczynił ślub rycerski, że giermek dopóty nosić będzie przed nim dwa gołe miecze, dopóki ich w krwi polskiej nie umoczy. Tedy już zdzierżyć nie mogłem i rzekłem onemu komturowi tucholskiemu, że Bóg upokarza pysznych i niewiadomo jeszcze w czyjej krwi one miecze pławić się będą.

— Toś dobrze rzekł — odezwał się król — i nie minie cię za to nagroda.

Skłonił się pokornie postrzegacz do nóg pańskich i wdzięczny był za tę obietnicę, a gdy już wszystko co wiedział oznajmił, dodawszy jeno, że ksiądz biskup kujawski pewno tam w piśmie, Królowi Jegości wręczonem, opisał to, czego on prosty śpiewak nie dostrzegł, król powstał i huknął:

— Przystaw, sam tu do mnie!

Skoczył tedy Sławek na rozkazanie pańskie i dzierżąc kołpak w ręku słuchał słów pańskich.

— Jadziemy do Jedlni — mówił król — ty postrzegaczu pójdziesz ze mną, a ty przystawie...

Tu król przerwał, chwilkę pomyślał i spytał:

— Jak to ciebie zowią?

— Sławek.

— Aa! poprowadź mię do Jedlni. Twoi druzkowie niech moich ludzi odszukają i tego losia ubiego zabiorą. Krasny zwierz!

To rzekłszy król dosiadł swego cisawego rumaka i ruszył w towarzystwie Sławka, ukazującego drogę, i postrzegacza. Jacek, Dobek i Stańko pozostali, by spełnić przykazanie pańskie.

Król przez całą drogę nie już nie mówił, jeno jechał srodze zamyślony, pewnikiem rozbierając w głowie to wszystko, co od postrzegacza usłyszał. Milczenia też królewskiego nie śmieli przerywać ani Sławek ani dziad, i tak ten malutki poczet, samotrzeć posuwający się głuchym borem, w cichości i milczeniu, niby mnichy jakieś, jechał. Ale powoli w drodze poczęli się przylączać do króla różni panowie i komesi, i opowiadali o swych łowach pomyslnych. Pan Piotr Szafraniec z Pieskowej Skały gadał głośno i rękami wymachiwał, że ubił ogromnego łura, a pan Kmita z Wiśnicza śmiał się z komesa Żelysława z Brzózy, że goniąc za jeleniem spadł przez łeb konia i guza sobie nabił, a jeleni mu uciekł.

— Takich to myśliwych, — dodawał, — poleruje ziemia węgierska!

I śmiał się, aż mu się długa czarna broda trzęsła, jak wiecha, kiedy nią wiatr miota. Na szczęście w poczcie, gromadzącym się powoli kole poświęcanej osoby królewskiej, nie było komesa Żelysława z Brzózy, boby z pewnością przyszło do zwady,

ile że pan z Wiśnicza drwił sobie wyraźnie z rycerza i z baronessy Elwiry z Koziego Rogu.

— Tera — prawil Kmity — i drugie ślepie szmatą sobie zakryje, a jak jutro niedźwiedzia ruszę z legowiska, to mu podaruję sadła miśkowego, żeby sobie szpetnie potłuczone boki wysmarował. Cha! cha! cha!

Król słuchał tych krotchwili pana Kmity, ale nie się nie odzywał, jeno czasem się uśmiechał, i słońce miało się już ku zachodowi, gdy zbliżono się do Jedlni. Całe niebo za borami gorzało czerwienią i złotem, a w tym blasku strzechy chłopskie szkarłatne barwy przybierały. Na gościńcu, przed kołowrotem stała całusienka gromada gospodarzy jedlniańskich i innych wsi leśnych, z Siczek, z Mąkos, Ostrowicy, Zabrodni, Osowia i wszelakich przysiółków starostwa jedlniańskiego, wszyscy ubrani w szaty odświętne i mając na czele starego Piotra Warchoła, który mimo choróbska zwlókł się z chałupy, i witał osobę pańską chlebem i solą. Król dziękował mówiąc z ruska:

— Sława Bohu! — sława Bohu — i pytał się czy przyjechał już do Jedlni ksiądz biskup poznański Wojciech Jastrzębiec i pan podkanclerzy koronny Mikołaj Trąba, a dowiedziawszy się, że już są, kazał się prowadzić do chałupy starego Warchoła, gdzie wyznaczony był nocleg królewski. Król tedy jechał przez wieś, a ze wszystkich chałup wyglądały głowy niewiast i dzieci, ciekawie przypatrujący się wspaniałemu pocztowi królewskiemu.

Kiedy już król wjechał w podwórze chałupy

Warchołowej, Jewka przybrana pięknie w modry spencerek, w krasną spódnicę, w trzewiki czerwone, z kosą splecioną we wstążki, z koralami na szyi, mając obok siebie starą kowalkę w chustce czerwonej na głowie, przecisnęła się do Sławka i chwytając go za rękę szepnęła:

— Sławku, mój kochany, pokaż no mi który to król, bo ja jeszcze nigdy króla nie widziała.

A gdy go Sławek pokazał, na jej różowej twarzy wyraziło się zdziwienie.

— To król?

— A król.

— Przecie je bez korony.

— O głupia! albo to król na łowy w koronie chadza?

Tedy Jewka przyczepiła się do kowalki:

— Gadaliście co król w złocistej, nikiej słonko jasnej, chadza koronie, a tu je w kunim jeno kołpaku i cale na króla nie patrzy. Coście wy pletli kowalko!

— Nie pletlam, nie! jeno tera inny je obyczaj. Drzewiej to króle zawdy w koronach chadzali. Albo to tera są króle? tera jeno same chudziaki a nie króle.

A Jagna wyglądała z chlewka i gwałtem za zakręcone ogonki przytrzymywała świniaki, które też także chciały wyskoczyć na podworec, i szeptała:

— Cyt! cyt! małuśki! luś! luś! luś!

I głaskała je pieściwie po szczecinowatych grzbietach, a świniaki jeno chrząkały z lubości.

ROZDZIAŁ VII.

Jako starszy nad pachotkami pana marszałkowskimi, przy pieśni o nadobnej Elwirze z Koziego Rogu zasnął, i brzydko chrapał.

Od owego polowania w lasach Jedlniańskich i Kozienickich, polowania, które znakomicie się powiodło, bo ubito tyle zwierzyny, że kilkadziesiąt ogromnych beczek mięsiwa zasolonego zwieziono do Kozienic i splawiać miano Wisłą do Płocka, upłynęło kilka miesięcy. W chałupie starego Piotra Warchoła, w której gościł król przez trzy dni, zaszły wielkie zmiany. Naprzód tedy, chocia Warchoł miał zawždy wśród swych gminiaków nielada powagę, teraz ona wzrosła jeszcze bardziej. Bo to w jego chałupie król nocował, a na odjezdnem podarował mu całą kiesę złota i od wszelakich powinności, od stróży, podwód, narzezu¹⁾ uwolnił, co go wyróżniło znacznie od innych. Gadał też Warchoł, podparłszy się pod boki dumnie:

— Jestem teraz sobie pan!

I tak często powtarzał te słowa, że go zwać począto Sobiepanem i powoli zapomniano dawnego jego przezwiska, jeno wszyscy mówili: Pietrz Sobiepan.

¹⁾ Podatek obowiązujący kmieci do dostarczania żywności na dwór królewski w czasie jego pobytu lub przejazdu przez jakie miejsce.

Jewka też zhardziała mocno, bo sam Król Jegomość pogłaskał ją po jasnej, jak len głowie, i podarował jej śliczności bicz korali i kraśną chustę jedwabistą i kieskę pieniędzy, mówiąc:

— Naści dziewczko na posag!

Kiedy się teraz w niedzielę, albo święto ustroiła w ową chustę kraśną, a śliczności korale zadziała na szyję i w piękne skórnie czerwone nogi przybrała, to błyszczała jako słońce pośrodku innych dziewczuch wiejskich. Wszystkie jej zazdrościły, a ona stapała jak księżniczka jaka i wszędy rozpowiadała, jak Król Jegomość głaskał ją po głowie, jak ona mu do nóg padła, jak ją obdarzył koralami, jak mu raz, kiej przybył zmęczony z łowów, mleka kubek dała, a on pił i mówił:

— Bóg ci zapłać, a czyjaś ty?

I skoro się dowiedział, że ona jest Warchołówna, to ilekroć pić mu się mleka zachciało, bo był łasy na mleko, to zawsze wołał:

— Gdzie jest Jewka? mleka niech mi przyniesie!

A ona mu zawsze w czyściuteńkim kubku ten ulubiony napój królewski podawała, i teraz ten kubek dzierży w skrzyni zamknięty jako jaką świętość, bo nie godzi się, by po poświęcanych ustach królewskich, kto inny go się dotykał.

Takem się Królowi Jegomości spodobała — mówiła Jewka dumnie wydymając usta, — że chciał mię na służbę do Królowej Jejmości do Krakowa zabrać. I miałabym tam piękny przyodziewek, w złocie, bisiorze i karmazynie bym chadzała, jadłabym codnia kluski pszeniczne ze sperką, ale cóż, kiej

rodzić się uparli i pozwolić nie chcieli, bo gadali, żeby tam na dworze pana królewskim sponiewierała.

Żałowała tego mocno, ale trudno — rodzic sobie ani gadać nie dali, a król też miał tyle na głowie, ciągiem z panami zamykał się w świetlicy, wołali onego dziada, co go parobcy chycili w boru Jedlniańskim i długie z nim rozmowy prowadzili, tak że całkiem ostatniego dnia o Jewce zabaczył.

I tak minęła ją służba u Królowej Jejmości w grodzie krakowskim, ominał ją bisior i karmazyn i smaczne kluski pszeniczne ze skwarkami, ale zawždy miała piękne podarki i namilsze ¹⁾ wspomnienia z czasu owego pobytu królewskiego w Jedlni.

Jedna tylko Jagna i kowalka nie były zadowolone z pobytu króla i panów w Jedlni. Jagna dlatego, że ulubione jej prosiątko, bieluchne, czyściuchne, a utuczone jak oselka masła, wyrwało się raz z chlewka i wpadło między konie pocztu królewskiego i legło tam bohaterską śmiercią strątowne kopytami. Kiej się rozległ żałośliwy kwik biedactwa, i kiej ten kwik Jagna usłyszała, to jakby ją kto nożem w samo serce dźgnął, wypadła jak szalona i nie zważając, że sama mogła szwank jaki ponieść, pośrodku rwących się rumaków i psiarni pańskiej, porwała oblane posoką i ledwie dyszące stworzenie i tuląc je do piersi, a zawodząc żałośliwie, poniosła na to tylko, by na jej rękach ostatni dech wypuściło. Co się nabeczała, co naprzeklinała one konie, tego

¹⁾ Najmilsze.

by na wołowej skórze nie spisał i zawdy, ilekroć sobie przypomniła ten okrutny wypadek, lzy jej jak groch po licu spływały.

Kowalka zasie z tego była gniewna, że ani król, ani panowie cale na nią nie zwrócili uwagi, choć zapaskę miała nową i piękną chustę na głowie, kupioną na jarmarku przed pięciu laty w Radomiu za sześć czeskich od kupca ormiańskiego. A przytem Jewka naśmiewała się z niej, że to powiedziała, iż król zawdy w koronie, jaśniejszej od słońca chadza, a tymczasem król jeno w kołpaku kunim się pokazywał.

— Albo to tera są króle jak się patrzy — mówiła kowalka pogardliwie usta wydymając — tera są same chudziaki nie króle. Dawniej, kiej mój nieboszczyk konia kuł złocistą podkową królowi, to ten miał koronę na głowie i cały mieszek czerwonych złotych nam podarował. A teraz mogą to te króle złoto podarowywać, kiej sami nic nie mają? Wszyci na świecie na gorsze idzie i króle na psa zesзли. Gorze, gorze, pedam wam! jeno patrzeć jak będzie koniec świata i antychryst na wozie ognistym przyjadzie i spali wszystko i wszystko szcecznie, jak oto ten popiół.

I brała z komina na dłoń garść popiołu i dmuchnąwszy mocno, rozsypywała go w pył niewidzialny, i mruczała:

— Tak będzie ze światem, który się popsował, jak mi to gadał jeden pielgrzym, co był w Ziemi Świętej i widział te miejsca, kędy Pan Jezus nauczał. I gadał, że jeno patrzeć jak będą znaki na niebie, i woj-

na sroga i powietrze. Tak! tak! tera niema królów prawdziwych, jeno same chudziaki.

Zato Sławek był rad wielce i uszczęśliwiony z pobytu Króla Jegomości, który tak sobie upodobał chłopca, że wziął go do swej służby, by pilnował ci-sawego konia królewskiego, i na łowach, jakie potem Jagiello odprawował w puszczy Białowieskiej i na Kunpiach w Zielonej puszczy, zawždy Sławek był przy nim. Raz nawet w ogromnych borach litewskich ocalił życie królowi, kiedy rozsrożony niedźwiedź rzucił się na poświęcany majestat pański. Sławek ujrzawszy to, tak trafnie pchnął miśka w samo serce, że na miejscu go położył, a choć niedźwiedzisko szpetnie pazurami podrapało mu lewą barękę, to jednak przy pomocy medyka królewskiego, prędko się wylizał, a król tem większą miłość powziął do chłopca.

I już Sławek nie odstępował króla na krok jeden, pojechał z nim do Krakowa, chodził teraz w pięknym, modrym jaku i mieczyk przy boku nosił, a u mycki sokole pióro dumnie powiewało i lyczkom krakowskim, z którymi się zapoznał, gadał, że będzie, jeno patrzeć wojna z panami pruskimi, bo on to wie dobrze, ile że król wszycko mu gada, jako swemu poufnikowi, a z panami, wojewodami, komesami jest za pan brat, i nieraz go proszą, by się wstawił za nimi do łaski pańskiej. Gadając tak, podpierał się dumnie pod boki, oczy wytrzeszczał groźnie i dodawał:

— Kiej będzie wojna, to będę prał Miemców, że Chryste Panie!

I potrząsał i brząkał mieczykiem przy boku.

Tak upłynęło kilka miesięcy roku Pańskiego 1410-go i po ostrej, mroźnej a śnieżnej zimie, nastąpiła wiosna. Rzeki puściły, śnieg prędko znikał pod ciepłymi promieniami Bożego słońca, dąbrowy zazieleniały, czeremchy kwitły, a ptastwo swiergotem napełniało rzeźkie, wiosniane powietrze. Czas był piękny i król wyjechał był do Starego Sącza, gdzie przybył także książę litewski Witold i siła panów się zjechało i narady długie odbywano, bo wojna była już wypowiedziana i gadali ludzie, że Krzyżacy zamek królewski Złotoryę zdobyli.

Sławek jak zawsze towarzyszył królowi i dziwował się wielce, że król całe wieczory majowe przepędzał w pięknym wirydarzu zamku sądeckiego i zasluchiwał się w śpiewie słowika, jak baronessa niemiecka, o której gęślarze nucili na gospodach pańskich w Krakowie. Nieraz do późnej nocy król siedział pod krzem kwitnącego bzu lub czeremchy i radował się owymi cudnymi śpiewami ptaszka, i zorza poranna rumieniła już niebo, gdy szedł do swej izby, by leć na krótki sen. Sławek dziwował się temu bardzo i chociaż sam chutliwie słuchał owego śpiewania, przecie kuczyło ¹⁾ mu się siedzieć w gaju zamkowym długo w noc i strzec królewskiej osoby, jako to był jego obowiązek.

Ale już miało być niedługo tych czasów sądeckich, bo król wybierać się zaczął na wielką wojnę z panami niemieckimi. Książę litewski Witold na

¹⁾ Przykrzyło się.

podwodach, przygotowanych aż do Grodna odjechał na Litwę, a Sławek miał teraz wiele do czynienia z wybieraniem najlepszych koni dla króla, które miano rozstawić wzdłuż drogi do ziemi pruskiej, by nie daj Boże jakiego nieszczęścia, ocalić poświęconą osobę pańską.

Król miał naprzód odbyć pobożną pielgrzymkę do klasztoru Świętokrzyskiego na Łysej Górze w ziemi sandomirskiej, gdzie drzewo krzyża świętego w wielkiej czci było chowane i strzeżone przez czarnych mnichów, Benedyktynami zwanych. Król wielmi sobie cenił ów klejnot nad klejnotami od czasu, gdy porzuciwszy szpetne pogaństwo, przybył po raz pierwszy do Polski i tu pokłonił się cudownym szczątkom, krwią świętą Pana Jezusa zlanym. I teraz, kiedy miał wyruszyć na wojnę ciężką z panami pruskiemi, których straszną potęgę znał, szedł bić czołem świętym relikwiom i wymodlić sobie pomoc niebieską na cudownem miejscu.

Był już czerwiec, w tym pamiętnym na zawsze roku, niezwyčajnie suchy i gorący, gdy z sądeckiego grodu wyruszyły wozy i konie królewskie i znaczny poczet panów i rycerstwa, towarzyszących królowi w jego pobożnej pielgrzymce. W poczcie tym, zawsze wpobliżu osoby pańskiej jechał Sławek, teraz z ubrania i zbroi cale niepodobny do onego siermiężnego parobka, tropiącego zwierza w puszczy Jedlniańskiej. Na głowie miał myckę rycerską z sokolem piórkim, a piękny hełm żelazny ze znakiem królewskim, rycerza pędzącego na koniu przedstawiającym, wisiał mu na łeku u terlicy,

i mieczyk też miał przy boku, i patrzył na wojaka, a nie na chłopca. Jechano na Sędomierz, Opatów, a król wszędzie, gdzie tylko był kościół, zatrzymywał się, mszy świętej słuchał, jałmużny rozdawał i nabożeństwo gorliwie odprawiał.

Wjechało na koniec w one srogie góry Świętokrzyskie, odwiecznym borem porośnięte, gdzie, jak gadali ludzie, dawnymi czasy pogaństwo swe bezecne obrządki odprawiało. Młody grabia z Oleśnicy, Zbyszko, który był uczony, księgi czytał i siła wszelakich mądrości posiadał, i który upodobał sobie wielce Sławka i rad z nim w tej długiej pielgrzymce przebywał, opowiadał, jako na tych górach szpetne pogaństwo miało bożnice, bałwanom poświęcone, które się zwały Świst i Poświst. Jako król polski Bolesław Chrobry one bałwany obalić i zniszczyć przykazał, a na tem miejscu kościół zbudował i czarnych mnichów, Benedyktynami zwanych, z ziemi włoskiej sprowadził; jako królewicz węgierski, Emeryk imieniem, polując z królem Bolesławem w tych lasach zapędziwszy się za jeleniem, ujrzał anioła, który mu przykazał złożyć relikwie krzyża świętego, co je zawsze ze sobą nosił, w kościele na Łysej Górze.

Przysłuchiwał się tej opowieści z okrutną ciekawością Sławek, i z wielką czcią i bojaźnią spoglądał na wysoką wieżę, bielejącą z pośrodku boru, a którą już od Opatowa widać było, jeżeli czasami mgła jej nie zasłaniała. Jechał też zawsze z nimi, to jest ze Sławkiem i panem Zbyszkim z Oleśnicy, młody rycerz z ziemi chełmskiej, Hanko Ostojczyk i także

pilnie słuchał powiadania pana grabi z Oleśnicy, a gdy ten skończył swoją historję o królu Bolesławie, królewiczu Emeryku i relikwji krzyża świętego, westchnąwszy sobie, rzeknie:

— Wielmi to szczęśliwie, że na onej górze okrutnej znajduje się taka przeznacna relikwja, bo inaczej, to złe moce, które, jako ludzie gadają, mają też tam swoje siedlisko, mogłyby osobie pana królewskiej i nam jakie przeprowadzić ¹⁾ uczynić.

— Żadne złe moce nie mogą ani osobie pana królewskiej, ani nam żadnego przeprowadzić na tak świętem miejscu uczynić — odezwał się na to pan Zbyszko z Oleśnicy — i o jakichże to złych mocach Hanku mówisz?

— Ano, gadają ludzie, że tam na Łysą Górę w każdy sabat, a osobiwie tera, kiedy noc świętojańska jest bliska, zlatują się z całej Polski czarownice na ożogach i łopatach i gzy czynią z piekielnymi mieszkańcami.

— Bajki to są gminu pospolitego — rzeknie na to grabia Zbyszek — bo jakże to może być, żeby na takim miejscu, gdzie jest kościół krześcijański, a w nim najświętsza relikwja i kapłani Bogu poświęceni, mogły mieć jaką siłę moce piekielne i schadzki sprośne odbywały z czarownikami i czarownicami na ożogach na sabat djabelski się zjeżdżającymi? Nie może to być! Drzewiej ²⁾ za onych pogańskich czasów, kiedy bezecnym bożkom Świ-

¹⁾ krzywdę.

²⁾ Dawniej.

stom i Poświstom ludzie ofiary czynili, to pewno, że mogły zjeżdżać się na łopatach i ożogach czarownicy i gzy bezecne odprawiać z mieszkańcami piekieł, ale teraz to całe być nie może, i ty Hanku bojąc się nie masz czego.

Rzekłszy to grabia Zbyszek, uśmiechnął się i dodał:

— I nie rycerską to jest rzeczą, bojąc się mocy piekielnych. Na to ci Król Jegomość pas rycerski i ostrogi dał, i mieczem cię po ramieniu uderzył pasując na rynku krakowskim na rycerza krześcijańskiego, byś miał się bojąc mocy piekielnych? Prawy rycerz krześcijański, gdyby nawet całe królestwo piekielne z jej królem Antychrystem, kancle-rzem Lucyperem i wojewodą Belzebubem, ujrzał przed sobą, to powinien, wezwawszy na pomoc patrona rycerzów, świętego Jerzego, uderzyć na nich śmiało i mężnie i napowrót to bezceństwo niegodne do piekieł wpędzić. Taki jest zakon rycerski.

Sławek słuchał tej mądrej mowy pana grabi z Oleśnicy pilnie i mówił sobie, że żadnych mocy piekielnych nie ulęknie się i mężnie im w razie potrzeby stawi czoło; ale zawsze, patrząc na one sro-gie góry, czuł pewną obawę, bo to dziwne było miejsce, pełne tajemniczości i grozy, obrosłe czarnym borem, stromemi skałami najeżone.

Nakoniec wieczorem przybyło pod samą górę Świętokrzyską, do miasteczka Słupi, gdzie wysłany przodem komornik królewski, przygotował był dla króla mieszkanie w jednym z domków mieszczańskich. Mieścina była nędzna, dokoła lasami i góra-

mi otoczona, a trudno było o lepsze dla króla pomieszczenie. Komornik wysłany przodem wypożyczył od opata klasztorne kobierców kilka i sprzętów co przedniejszych, izby wykadzono jałowcem, i jakie takie dla osoby pańskiej urządzono schronisko. Ale zato towarzyszący Królowi Jegomości poczet panów i służby musiał się mieścić jak można było po brudnych izbach, stołach i stajniach, stękając i krzywiąc się, bo już zniewieściałość wielka zakradła się była między rycerstwo, miękkie łoża, strojne szaty, wonie różne zamorskie, któremi się skrapiano, a włosy trefiono w różne jakieś loki i pukle. Gdzież tu stroić się, na miękkich łóżach spoczywać w izbach nawet niebielonych, obok których a często i w nich samych mieściły się kury i kaczki a nawet i nierogaczyna.

Wieczór już zapadał, gdy poczet królewski wstępował do Szupli. Mieszczanie wystąpili gromadnie z zapalonemi lucywami, bo noc robiła się ciemna, niebo było pochmurne, a wypędzone bożki pogańskie, jak gadał pan Hanko Ostojczyk, Świst i Poświst, piekielne swoje harce wyprawiali na górze, jakgdyby mścić się chcieli, że ich odwieczną dziedzinę zabrano. Szumiał tedy wichur po boru, giał olbrzymie jodły, wył i szalał, miotał lucywami mieszczan, które migotliwe, to rozpalające się, to niknące blaski i cienie rzucały na twarze pocztu królewskiego. Uderzono w dzwony na wieży klasztornej i na sygnaturce kaplicy szupskiej i dzwony te jękliwie plakały wśród wycia wichru. Opat klasztorny Janko, zwany Katarzynką, mąż, jako opo-

wiadano wielmi w piśmie uczony, bo podobno mówił czterema językami, łacińskim, włoskim, czeskim i polskim, na czele braci zakonnej, niosącej krzyż benedyktyński, witał Króla Jegomości piękną mową łacińską, jak powiadał pan grabia Zbyszek z Oleśnicy, który się znał na tem, taką, że nawet sam jakiś tam wojewoda rzymski, Cicero, nie powstydziliby się jej cale. Mowę tę miał opat Janko na rynku miejskim, gdzie wichher szalał, cale kupy suchego piasku porywał, a opat gadał i gadał, a za nim stali mnichowie, w kapicach na głowach, czarni i smutni w tej smutnej nocy.

Potem mieszczono się jak można było po domkach, stodołach i stajniach mieszczańskich. Pachol-kowie królewscy i pańscy, chcieli rozniecić ogień na rynku, ale że wiatr był bardzo gwałtowny, więc w obawie przed pożarem, ile że drewniane domostwa miasteczka wysuszone były upałami, od miesiaca panującemi, jak szczapy, mogły łatwo zapalić się, więc Król Jegomość srogo zakazał palić ogni. Włóczono się więc w ciemnościach, czasem jeno z jakąś latarką, po mieście szukając gospód, kłócono się, a nawet tu i owdzie do bójkii przyszło.

Sławek z rycerzem Hankiem chcieli pomieścić się przy gospodzie królewskiej, ale tam panowie tak wszystkie kąty zajęli, że palca nawet nie było gdzie wetknąć. Ruszyli więc na miasteczko szukać na noc schronienia, bo na tych wysokościach noc poczynąła być bardzo chłodna, a wietrzyisko dokuczało mocno. Ale nigdzie kąta chociażby najmniejszego naleźć nie mogli i byliby może mu-

sieli spoczywać na rynku, na gołym piasku, gdyby nie jakiś mieszczanin, który ulitowawszy się ich utrapieniu, rzekł:

— Niechno wasze miłości idą do chałupy Mikołaja Cyranki, tam jest piękna świetlica, a w niej jeno jeden rycerz ze swym pacholkiem, samowtór gospodą stanęli. Tam nie tylko wasze miłości, ale jeszcze z pięciu innych łącno by się pomieścić mogło.

— A gdzież jest ta chałupa Mikołaja Cyranki? Mieszczanin wskazał palcem jakiś ciemny zaułek, mówiąc:

— Tam na samym końcu miasta. Jeżeli wasze miłości chcą, to mogą zaprowadzić.

— Prowadźcie tedy gospodarzu.

Ruszyli więc pod przewodem grzecznego mieszczanina w jakiś ciemny zaułek, potykając się o kamienie, których tu było pełno, wpadając w jakieś doły, witani ujadaniem psów z poza parkanów i płotów, uliczkę tę otaczających, i dobili się nakoniec do owej chałupy Mikołaja Cyranki. Stała ona już w czystym polu za miastem, płotem chrześcianym ogrodzona, a przez okiennice widać było, że światło w niej się pali, i co większa, nosy obu podróżników poczuły mile lehcący zgłodniałe ich podniebienie, zapach pieczeni baraniej z czosnkiem, zapach napełniający całe obejście chałupy. Cicho tu było zupełnie, jeno zdala od rynku wiatr przynosił wrzawę, spory i swary pocztu królewskiego, szukającego na noc schronienia.

Gdy Sławek i Hanko weszli na podwórze przez

bramę w płocie, rzucił się na nich duży pies owczarski i zawzięcie ujadać zaczął, a zaraz też w chałupie drzwi się otworzyły, buchnęło z niej światło jarzące i ów zapach pieczenia baraniej, a na tle tego czerwonego światła zarysowała się jakaś postać ciemna i głos młody zawołał:

— A kto tam u paralusza włóczy się po nocy?

Sławkowi się zdało, że głos ten już gdzieś słyszał, ale że w ciemności osoby mówiącego rozpoznać nie mógł, więc rzekł:

— Szukamy gospody.

— A któż wy tacy?

— Słudzy osoby pana królewskiej.

— Tu niema miejsca, izba zajęta. Idźcie sobie gdzie indziej!

Na to rycerz Hanko, który był gorączka wielki, rzeknie:

— Otóż łiesz, kto tam jesteś, bo powiadano nam, że jeno samowtór zajęliście tę izbę.

— A któż ty jesteś, co mi łgarstwo zadajesz?

— Ktom jest, to jest, a ty łiesz szpetnie.

— Idź ty sobie, pókiś cały, po dobrej woli ci radzę.

— Czekajże, nauczę ja ciebie, jako należy z rycerzem gadać! — wołał Hanko i dobywszy z za pasa czekanika biegł już ku owej postaci ciemnej, gdy nagle poślknął się o jakąś przeszkodę i z trzaskiem padł jak długi na ziemię, wołając:

— O laboga!

— Hi! hi! hi! — rozległ się śmiech ciemnej postaci.

A wtem obok niej ukazała się druga, wysoka, cienka figura i zaraz ozwała się:

— Co to takiego? Co się tu dzieje Pakoszu?

Sławek, który dotąd w milczeniu przysлуchiwał się rozmowie Hanka z ciemną postacią, dowiedziawszy się, że owa ciemna postać zowie się Pakoszem, zawołał:

— Boga mi! widzi mi się, że to gada sławny rycerz, pan Żelisław z Brzózy.

Tedy wysoka, cienka figura wysunęła się nieco naprzód i rzekła:

— Jam nim jest, kto gada?

— Sławek z Jedlni, przystaw pana królewski, z czasu łowów w puszczy Jedlniańskiej.

— Aaa! — zawołał graf Żelisław z Brzózy — coś mi się ochapia...

Miał jeszcze dalej mówić, gdy nagle Pakosz zawołał:

— Sławek! to ty, a cóż ty tu u paralusza robisz? Hi! hi! hi!

Ale już Hanka podniósł się ze swego ciężkiego upadku i ryczał gniewnie, bo się potłukł szpetnie i głodny jego żołądek podrażniony był lubym zapachem pieczeni baraniej z czosnkiem, a krew rycerska drwinami Pakosza. Podniósł się i wołał:

— Czekajże poganinie, wepchnę ja ci te śmieszki w gardziel, że się udławisz!

I biegł, a w czekaniku, podniesionym do góry, światło, padające z otwartych drzwi izby, iskry złowieszcze zapalało.

Ale Sławek, który wiedział, że jeszcze w Krako-

wie pan marszałek królewski Zbigniew z Brzezia, otrąbywał na rynku i po wszystkich ulicach, że kto pod bokiem królewskim miecza dobędzie lub bitwę krwawą zawiedzie, ten da gardło, a przytem mówiono, że pan marszałek jest człowiek srogi, i kto się w jego ręce dostanie, ten lepiej, żeby się nie rodził, więc widząc Hanka, biegnącego z czekanikiem, skoczył, chwycił go wpół i zawołał:

— Miłościwy panie, pohamujcie się przez Bóg żywy! Dobyc miecza pod bokiem pana królewskim to gardłem przyplacić możecie. Jego miłość pan marszałek nie żartuje, i oto słyszę jak jego pachol-kowie rond czynią... słyszy wasza miłość?

I w rzeczy samej po twardej wyschniętej ulicze dały się słyszeć liczne ciężkie kroki, brzęk dzid i mieczów i chrapliwy głos starszego pacholków pana marszałkowskich, Włostka przezwiskiem, który gadał:

— Bodaj tych łyżeków słupskich ze skóry obdarto. Człek w tych dziurach nogi połamać może.

Widno pachol-kowie marszałkowscy już na rynku porządek zaprowadzili, bo cisza w mieście za-legła zupełna, jakby makiem zasiał, a teraz Włostek zbliżywszy się do chałupy Cyranki, i ujrza-wszy światło, krzyczał swym ochrypłym głosem:

— A co to? kto tu pali ogień! nie słyszeliście, co otrąbiono na rynku, żeby gasić ogień? Kto tu stoi?

I pchnąwszy furkę w ogrodzeniu wszedł na podwórze i pytał:

— Kto tu? czemu ogień gorzeje? Król Jegomość legł już na spoczynek, a wy się tu kotłujecie.

— Jam jest Sławek, przystaw pana królewski. Znacie mnie przecie panie Włostku.

Ale pan Włostek swym ogromnym nosem, czerwonym jako burak, poczuł miły zapach pieczeni baraniej z czosnkiem, i nie już nie gadał, tylko wachał, a wachał, wreszcie rzekł:

— Hm! widzę, co tu biesiadę sobie gotujecie, co? Barana czuję, jako żywo, tłustego barana. Godzi się podzielić nim ze starszym nad pacholkami marszałkowskimi, co? godzi się?

Więc ozwie się komes Żelisław z Brzozy:

— Proszę waszej miłości, czem chata bogata tem rada. I wasze miłości proszę do izby. Niewiele to tam tego, ale jakoś będzie. Pakosz, dobądźno ze skrzyni tej gorzałki przedniej, co mi ją podarował Król Jegomość węgierski. Proszę wasze miłości do izby.

— Ho! ho! — mruknął Włostek — i gorzałka jest! Hej — obrócił się do swych pacholków — ruszajcie na rynek i niech was Pan Jezus broni, żebym usłyszał jaki hałas, skórę z was obwiesie zedrę. Precz!

Pacholcowie w mig prysnęli, a Włostek ze Sławkiem i Hankiem weszli do izby, w której na cyganku gorzał wielki ogień, a przy nim na rożnie piekła się ogromna ćwierć barana i rozkoszny zapach napełniał świetlicę. Widok ten uspokoił rannego rycerza Hankę Ostojczyka i wszystkich w radosne wprowadził usposobienie. Pomieszczono się jak

można było na ławach kole dużego stołu, a gdy na nim dobyta ze skrzyni Pakosza, ukazała się butla złocistej gorzalki, Włostek aż sobie odetchnął i istny suszykufel, pił jak gąbka, pieczeń połykał i dziwował się plastrowi na lewem oku komesa Żelysława z Brzózy i pytał się, gdzie on oko postradał.

— Nie postradałem go cale, jeno ślub rycerski uczynilem na cześć najpiękniejszej damy Elwiry, baronessy z Koziego Rogu, że dopóty będę miał to oko zakrytem, dopóki zamieszkałego w górach Karpackich wielkiego czarownika Merlina, mieczem moim nie zgładzę. Ale teraz, przybywszy tu gwoli nabożeństwa do cudownej relikwii krzyża świętego, za radą ojca opata postanowiłem zmienić ten ślub i dopóty przepaskę na mem lewem oku nosić będę, dopóki nie usieknę jednym cięciem mojego miecza, głowy komtura krzyżackiego z Tucholi, Henrykiem przezwanego. A ślub ten uczynilem tego dla¹⁾, że jak mi ksiądz opat powiedział, on komtur także ślub rycerski zaprzysiągł, że dopóty jego giermek dwa nagie miecze przed nim nosić będzie, dopóki tych mieczów komtur w krwi polskiej nie splawi. Nie splawi ich, bo ja, komes Żelysław Gryf z Brzózy głowę mu usieknę, tak mi Boże dopomóż i niewinna krwi jego!

Tedy wszyscy wielmi chwalili taki ślub rycerski i już wesoło bawili się przy jadłach i napoju, a Pakosz wydobył ze skrzyni misterną lutnię i miłym

¹⁾ Starożytny sposób mówienia, zamiast: dlatego.

glosem śpiewał rycerską pieśń, ułożoną przez jego pana na cześć nadobnej baronessy Elwiry. A gdy przy pieśni tej, moczygęba Włostek, uraczywszy się gorzałką króla węgierskiego, zasnął i szpetnie chrapać zaczął, więc Pakosz na rozkaz swego pana przerwał gędźbę i że już noc późna była, wszyscy legli na ławach i słodkiego wczasu zażywali.

ROZDZIAŁ VIII.

W którym Zbyszek, grabia z Oleśnicy, mówi trochę o Ojcu św., o wielkoludach i o zwichniętej ręce królewskiej.

Nazajutrz Król Jegomość, ledwie niebo na wschodzie poza borami i górami różowie się zaczęło, wyruszył piechotą do kościoła Świętokrzyskiego na nabożeństwo. W miasteczku zawrzało zaraz jak w garnku i wszyscy panowie baronowie i komesowie poszli pieszo za panem na oną srogą górę, towarzysząc Królowi Jegomości; do nich też przyłączyli się pacholki i mieszcianie słupscy; i wszystko to ogromną gromadą, w różnobarwne stroje przybraną, ciągnęło w milczeniu wielkiem, szepcząc jeno pacierze. Był tam więc i uczony w księgach Zbyszek, grabia z Oleśnicy, i ze szmatą na lewem oku komes Żelisław z Brzózy, i ryccerz Hanko Ostojczyk, i Mikołaj z Michałowa wo-

jewoda sędomierski, który jako w swem województwie gospodarzył tutaj i przewodził wszystkim.

W nocy zjechała się moc wielka szlachty okolicznej, by powitać na swej ziemi pana i króla, i razem z nim nabożeństwa zażyć; zeszło się siła ludu prostego i wszelakiego rodzaju żebractwa, bab i dziadów na kulach i bez kul, którzy rzędem, ni by wojsko jakie ustawili się wzdłuż drogi i pieśni nabożne śpiewali i ręce wyciągali po jałmużnę. To też szedł zaraz za królem podskarbi królewski, pan Gniewosz z Dalewic, a za nim pacholek niósł wielki worek z pieniędzmi, z których pan Gniewosz całe garście wydobywał i onym dziadom i babom rozdawał, mówiąc z gniewem, bo był to pan bardzo gniewny i ostry:

— Naści niecnoto, a zmów pacierz za powodzenie pańskich zamysłów.

Ale wszystkich oczy zwracał na siebie pan Zyndram z Maszkowic, o którym gadano, że nikt inny, jeno on będzie hetmanił wojsku królewskiemu w wojnie z Krzyżakami. Przypatrywał mu się też z wielką ciekawością Sławek i dziwił się, że w tak małym czleku taki wielki rozum zamieszkuje. Był bowiem pan Zyndram z Maszkowic wzrostu niewielkiego, lecz postawy zsiadłej i nabitej w sobie. Nad rozrosłemi barkami, znamionującemi krzepę niezwykłą, wznosił się potężny kark jak u tura, czerwony i jakby krwią nabiegły, a na tym karku głowa ogromna, o oczach małych, zagłębionych, ale surowych i przenikliwych. Miał na tej

głowie beret rycerski z piórkiem sokolem, na sobie jakę karmazynową, przepasaną złocistym pasem rycerskim, u którego wisiał w srebrnym mabianej pochwie pugiuał i mieczyk niewielki w pochwie jaszczurowej. U skórzni czerwonych dzwoniły piękne ostrogi, a za nim pacholek dźwigał wielki miecz niemiecki i szczyt rycerski, na którym miasternie wymalowane było słońce, herb pana Zyndrama. Zwano go starostą kamienieckim, a pochodził on, jak ludzie mówili, z ziemi sanockiej. Szedł tuż obok Króla Jegomości, jeno o dwa kroki w tyle, a był tak ciężki, że gdy stąpnął, to ziemia pod nim drżała. Człek to był animuszu wielkiego a prawie hetmańskiego i był w wielkich łaskach u króla.

Cały ten poczet panów, giermków, pacholków, szlachty, pospólstwa i żebraków, wśród których z rozkazu marszałka królewskiego, pana Zbigniewa z Brzezia, Włostek, przełożony nad pacholkami marszałkowskimi, srogi porządek trzymał, i zbyt natarczywie domagające się jałmużny baby lub dziadów, drzewcami od halabard do porządku przyprowadzał, posuwał się niby wąż różnobarwny pod górę. Już u samych jej stóp, Sławek postępujący z panem Zbyszkiem z Oleśnicy i Hankiem Ostojczykiem, zwrócił uwagę na figurę kamienną, wyobrażającą czleka klęczącego, w długą oponę przybranego i modlącego się z wzrokiem ku górze zwróconem. Zapytał tedy pana Zbyszka, kogoby ta figura przedstawiać miała i gwoli czego ona tu stoi.

— Trudno to prawdę wyrozumieć z tego, co lu-

dzie o tej figurze powiadają — odrzekł pan Zbyszek z Oleśnicy. Jedni tedy rzeką, jakoby tę figurę wykuć kazała z kamienia, pewna mieszcza ze Słupi, która dla zmazania ciężkich grzechów, słubowała iść ze Słupi na klęczkach do św. krzyża. Tu jednak, w tem oto miejscu, siły ją opuściły i żadną miarą ruszyć dalej nie mogła, więc na tę pamiątkę swą osobę wykuć z glazu przykazała. Gmin opowiada, że ta figura ciągiem posuwa się ku szczytom świętej góry, na której gdy stanie, nastąpi koniec świata i pokuty owej grzesznicy.

— Dziw! dziw! dziw! — rzeknie na to rycerz Hanko Ostojczyk i zacznie ową figurę dookolu-sienka obchodzić i przypatrywać jej się ciekawie.

A Zbyszko z Oleśnicy prawil dalej:

— Są też tacy, co powiadają, że to jest statua pielgrzyma, który po zwiedzeniu rozmaitych krajów wśród umartwień i trudów, wielu miejsc świętych, zbliżył się nakoniec ku Łysej Górze. Tu zbiegli się, jako to zwykle bywa, do niego ciekawi i pobożni, i z największem uszanowaniem dalej prowadzili. Nagle usłyszano odgłos dzwonów z góry, a nie była to cale pora dzwonięcia. Tedy zdumienie ogarnęło wszystkich i mówili między sobą: owo świętym musi być ten pielgrzym, skoro same dzwony brzmią ku jego czci i chwale. A on pychą zdjęty, rzeknie: „jeszczeby też!“ Więc za tę pychę grzeszną, ostał zaraz ukarany, bo skamieniał i za pokutę ciągnie na klęczkach ku św. krzyżowi. Gdy stanie na szczycie góry, nastąpi ko-

niec świata i sądny dzień. D i e s i r a e, d i e s i l l e...¹⁾).

— Dziw! dziw! — powtarzał zasluchany w tej opowieści rycerz Hanko Ostojczyk.

A uczony Zbyszko, grabia z Oleśnicy, prawił dalej, bo rad był, jako młody, popisywać się swą uczonością.

— Inni zasie powiadają zgoła co innego.

— Cóż powiadają? — spytał Hanko, który rad słuchał wszelkich powieści.

— Powiadają, że figura ta wyobraża zbójcę, których tyle bywa w tych borach i górach przepaści-
stych. Ów zbójca nazabijawszy podróżnych i nara-
bowawszy ogromne skarby, tknięty sumieniem,
ostał pustelnikiem i pokutę swoją w tym kamie-
niu uwiecznił. Ale mnie się widzi, że to są wszystko
baśnie gminne. Książdz opat Janko, który jest mę-
żem uczonym i we wszelakim piśmie biegłym,
powiadał mi, kiedym łońskiego roku był tu na na-
bożeństwie, że ona figura przedstawia króla Eme-
ryka, co one drzewo krzyża świętego klasztorowi
podarował, i mnie się widzi, że to tak być musi,
 chocia inni powiadają, że nie Emeryka węgierskie-
go, jeno naszego króla Bolesława Chrobrego, za-
łożyciela tego klasztoru i kościoła. Ale już
umilknijmy, bo wchodzimy na górę świętą i nie

¹⁾ „Dzień gniewu, dzień ów...” Jest to pierwszy wiersz znanej pieśni kościelnej, skreślonej w XIII wieku przez zakon-
nika franciszkanina, o dniu sądu ostatecznego.

godzi się światową rozmową zakłócać nabożeństwa pana królewskiego.

Jakoż w rzeczy samej wchodzono już na oną górę, obrośniętą odwiecznym borem, który szumiał jęklowie i mgły wielkie całemi płachtami po nim się rozwłoczyły. Dzień się już zrobił, acz słońca za temi lasami i górami nie było jeszcze widać, ale już szczyt wysokiej wieży kościelnej wśród całych chmur mglistych, otulających wierzchołek góry, błyszczał ogniste purpurą i złotem. Po boru szedł ożywczy, chłodny prąd świeżego porannego powietrza, gęste krople rosy zwieszały się po liściach dębów, brzośców i jaworów, i cały bór brzmiał wesołym świergotem ptactwa. Kukułka gdzieś kukać poczęła, a jej głos rozchodził się po boru, powtarzany przez skały i drzewa, a król liczył kukanie i obróciwszy się do pana Zyndrama z Maszkowic, rzekł:

— Będzie nam szczęścia, bo zazula do pary zakukała.

— Bóg daj miłościwy panie! — odpowiedział na to szlachcie sanocki.

Wspinano się powoli pod stromą górę, ścieżką bardzo kamienistą i przykrą, i wielu panów, co mieli dużo ciała na sobie, jak np. pan Krystyn z Ostrowia kasztelan, zwany pospolicie panem krakowskim, jak pan Ligeza z Bóbrka, który dźwigał przed sobą wielki żywot, sapali i stękali głośno, a nawet pacholkom swoim przykazywali się podpierać. Król jeno, będąc szczupłym, chudym i zawiedłym, szedł rażno, zatopiony w myślach czy też modlitwie, ile że

z wieży kościelnej rozległ się dzwon i śpiżowy jego dźwięk drzał żałośliwie, spływał z wysokości na tę pielgrzymkę pana królewską. I była cisza wielka, jedno wiatr szumiał po boru, ptaszkowie leśni śpiewali, kukulka kukała, dzwon jęczał, a pan Krystyn z Ostrowia i pan Ligeza coraz głośniejszemu sapał i stękali, a dziady i baby kłaniając się nisko orszakowi królewskiemu, przez nos śpiewali pieśń nabożną:

„Marya dziewice!
Prośmy synka Twego
Króla niebieskiego
Aza ¹⁾ nas uchowa
Ode wszego zlego.

To śpiewały dziady, a baby też kończyły piskliwym głosem:

Ament, ament, tak Bóg daj
Bychom ²⁾ szli wszyćcy w raj“.

A kiedy posunięto się znacznie wyżej, napotkano gromadę pielgrzymów, w ciemnych opończach, z kapicami na głowach, z kosturami w rękach, którzy obnażywszy swoje plecy biczowali się niemilosierdzie, śpiewając przytem zachrypłymi głosami żałośliwą pieśń o Najświętszej Pannie Marji:

Posłuchajcie bracia miła
Kecć ³⁾ wam skarżyć krwawą chwilę,
Usłyszycie mój zamątek ⁴⁾
Jen mi się stał w wielki piątek.

-
- ¹⁾ Czy.
²⁾ Byśmy.
³⁾ chcę.
⁴⁾ smutek.

Pożałuj, mię stary, młody,
Boć mi przyszły krwawe gody
Jednegożem syna miała
I tegociem ożałała ¹⁾.

Król, że to nie słyszał tej pieśni, bo ją niedawno jeden z mnichów czarnych, tutaj w klasztorze Świętokrzyskim bardzo grzecznie ułożył i owych biczujących się pątników wyuczył śpiewać żałośliwym głosem, zatrzymał się i pilnie słuchał, czem zachęceni pątnicy tem gorliwiej dyscyplinami się smagali, aż krew tryskała i tem głośniej śpiewali.

Synku miły i wybrany
Rozdziel z matką swoje rany
A wszakom cię synku miły
W swem sercu nosiła
A także ²⁾ tobie wiernie służyła.
Przemów k' matce, bych się ucieszyła,
Bo już idziesz odemnie, moja nadziejo miła.

— Krasna przyśpiewka! rzekł król i szedł dalej, a pan Gniewosz z Dalewic, sięgnąwszy do worka rzucił srebrne pieniądze między onych biczujących się pielgrzymów.

Sławek przypatrywał się temu wszystkiemu i nie mógł się nadziwić ani tej górze ogromnej, ani tym dziadom i pątnikom, ani nasłuchać tej pieśni, jęczącej żałośliwie wśród boru. I rozglądając się po całym poczcie królewskim, nagle dostrzegł, jako tuż kole osoby pańskiej, przodkiem przed baronami, komesami i wojewodami, szedł jakiś olbrzymi pachol, w skórzanym kaftanie, obcisłych spod-

¹⁾ oplakiwała.

²⁾ także.

niach i niskich ciżmach na nogach, w czerwonej mycce na głowie, której koniec zwieszał mu się aż na plecy, z pugią za pasem, dźwigając na ramieniu wór skórzany, w którym coś wielmi ciężkiego być musiało, bo choć chłop wyglądał na takiego coby z niedźwiedziem mógł się wziąć za bary, a tura jednym uderzeniem swej potężnej pięści obalić, wszelako szedł wolno, głośno dyszał i od czasu do czasu pot kroplisty, chocia poranek na tych górach i borach był bardzo chłodny, z czoła ręką ocierał. Sławka okrutna zdjęła ciekawość, coby on człowiek takiego ciężkiego niósł, nie śmiał jednak zbliżyć się i pytać, bo, jak wiadomo, człek ten szedł tuż przy osobie pańskiej. Dostrzegł tylko, gdy wielkolud ten potknąwszy się o jakiś kamień, obejrzał się na chwilę za siebie, że ma lice dziwne i zgoła niepodobne do innych. Był on tedy naprzód czarny jak smok, bezwasy, jeno na brodzie mu rosło kilka czarnych kłaczków, rzadkich, jak żyto na piasku, a oczka ciemne świdrowate, głęboko zapadnięte, miał ukośne; zgoła patrzył nie na krześcijanina i swojaka, ale na poganina i jakiegoś zamorskiego cudzoziemca.

Nakoniec po dość długiem wdzieraniu się na górę, dostano się na jej szczyt, tuż pod sam kościół i klasztor, który wszyscy z wielką ulgą powitali, zwłaszcza okrutnie zmęczeni pan krakowski Krystyn z Ostrowia i pan Mikołaj z Wiśnicza Kmita. Stali oni teraz przed bramą klasztorną oddychając ciężko i ocierając kroplisty pot z czoła i włosów, i zdjawszy kołpaki z głowy chłodzili je na wietrze.

A wiatr tutaj na wierzchołku góry nagim, pozbawionym drzew świszczal i wyl, rozdierał białą mgłę, kłębiącą się koło murów, i znów ją zwijał i tak zgęszczał, że były chwile iż wysokiej wieży kościelnej cale widać nie było. Zimno tu było przenikliwe i wilgotne, choć to był czerwiec, miesiąc w Polsce zawždy najgorętszy. Wszyscy byli mocno zmęczeni i odpoczywali, jeden król jeno był rzeźki i rad wielce, że znajduje się na świętem miejscu, do którego miał wielkie nabożeństwo.

Na powitanie Króla Jegomości i jego świetnego pocztu, wystąpił przed drzwi kościelne opat Jan-ko i wszystka bracia zakonna. Opat w mitrze biskupiej, z pastorałem w dłoni, i w złocistej, ciężkiej kapie, mając przed sobą krucyfera, niosącego podwójny krzyż benedyktyński, pokropił cały orszak królewski wodą święconą i chciał już wieść króla do kościoła, gdy król skinieniem ręki zatrzymał go i głosem grubym zawołał:

— Hde że Tatarzyn?

Na to wezwanie wystąpił z tłumu ów wielkolud, w skórzany kaftan przybrany, który przez całą drogę dźwigał na plecach coś ciężkiego w mieszku. Mieszek ten złożył on na ziemi przed opatem i począł rozwiązywać, a król mówił swym śpiewnym akcentem litewskim, napół po polsku, a napół po rusku, że oto kazał przynieść z ziemi tatarskiej bryłę ze szczerzego złota, którą ochfiaruje klasztorowi, by z niej opat kazał wykuć relikwiarz w kształcie ręki, ma schowanie szczątków drzewa krzyża św.

Jakoż wielkolud wydobył ze skórzanego mieszka oną bryłę, lśniąca się pięknie i podał ją opatowi, który zaraz też uczoną mową, po łacinie wypowiedzianą, podziękował królowi za dar tak bogaty. Potem już wszyscy weszli do kościoła, gdzie się rozpoczęło nabożeństwo, którego król słuchał leżąc krzyżem na ziemi przed wielkim ołtarzem. Po odprawieniu uroczystej mszy św., którą sam opat celebrował w asystencji braci zakonnej, Król Jegomość ruszył do kaplicy, w której mieściło się drzewo krzyża świętego, opat dał je do ucałowania Królowi Jegomości i wszystkim baronom i komesom, a i Sławkowi także.

Tak cały dzień przepędzono na nabożeństwie, na zwiedzaniu klasztoru i jego osobliwości, a Sławek nie mógł wyjść z podziwu, ujrzawszy w cudnie pomalowanej świetlicy ogromną moc ksiąg, ustawionych w szafach rzędem. Ani mu przez głowę nigdy nie przeszło, by mogło być na świecie tyle ksiąg i patrzył na nie z jakąś zabobonną trwogą, a Zbyszko, grabia z Oleśnicy, z którym Sławek i Hanko Ostojczyk chodzili po klasztorze, mówił:

— Siła tu jest ksiąg i siła mądrości ludzkiej w nich zawartej, bo zakon ojców Benedyktynów z rozkazania Ojca świętego, winien jest zajmować się wszelakimi naukami. Ale to wam rzec muszę, bracia mili, że widziałem ja własnymi oczami daleko więcej ksiąg, kiedym był w Rzymie.

— Boga mi! — zawołał Hanko Ostojczyk — to wasza miłość była w Rzymie?

— Byłem.

— I widziała wasza miłość Ojca świętego?

— Widziałem.

— Na miły Bóg, powiedzcież mi, prawda li to, że lice Ojca świętego jaśnieje jako słońce w południe i że oczy ludzkie blasku tego znieść nie mogą?

— Któż wam to powiedział, rycerzu? — spytał grabia Zbyszek.

— Gadał mi to jeden mnich, w białych szatach, nie tak jak te tuteczne mnichy czarne, cysters z Koprzywnicy, kiedym w ich klasztorze noclegował jadąc na bezrok z poza Wisły. Prawda li to, co on gadał?

— Bajki to są, bracie miły — odrzekł z wielką powagą grabia z Oleśnicy. — Lice Ojca św. jaśnieje światłością mądrości i dobroci i wielkiego miłosierdzia, aleć przecie patrzeć można na nie, boć Ojciec św. jest człkiem, jeno Bożym wybranem, któremu klucze Piotrowe Pan Jezus powierzył, by rozwiązywał na ziemi to, co rozwiązaniem być może. I pogaństwem bezecnem jest uważać Ojca św. za Boga, boć on nie jest Bogiem, jeno narzędziem Bożem, by tym światem kierowało i nim rządziło ku zbawieniu wiecznemu grzesznego rodzaju ludzkiego.

I długo tak mówił Zbyszek, grabia z Oleśnicy ku zbudowaniu Hanka i Sławka, którzy słuchali go z wielką ciekawością, bo prawil im o takich rzeczach i takich mądrościach, o których oni nigdy jeszcze nie słyszeli. I tak gadając, chodzili po kruz-

gankach klasztornych, zbudowanych pięknie, wsłuchując się w mądre słowa Zbyszka i w jęczenie wi-
chru, który nieustannie świszczał i wył na tej wy-
sokiej górze, jakby naprawdę one wszeteczne boż-
ki pogańskie Świst i Poświst, wygnane stąd przez
krzyż św. chciały dawać znać ludziom, że to ich
odwieczna jest dziedzina. Tak chadzając zaszli sa-
motrzeć do kruchty kościelnej, gdzie na żelaznych
łańcuchach wisiały przymocowane ogromne kości
jakieś, napół zmurszałe, a którym przypatrywali
się też różni panowie i gadali, że to szczątki wielko-
ludów, wyrwidębów i waligórów, którzy niegdyś za
dawnych czasów, przed potopem jeszcze na świe-
cie żyli, a których Pan Jezus za ich grzechy i sproś-
ny żywot całkiem wytracił.

Tedy rycerz Hanko Ostojczyk, który miał Zbysz-
ka, grabię z Oleśnicy, za najmądrzejszego człeka
na świecie i przekonany był, że wszystko wie,
rzeknie:

— O mój najmilejszy grabio, to musiały być
straszne ludzie te wyrwidęby i waligóry, i pewni-
kiem najdzielniejszy rycerz naszych czasów, ostaćby
się przeciw nim nie mógł?

Ale Zbyszek nie zaraz odrzekł, jeno patrzył za-
myślony na one kości i dopiero po chwili, wychod-
ząc na plac przed kościołem, powiedział:

Kiedym był w Rzymie, jeden mądry kapłan po-
wiadał mi, że w Zakonie starym stoi napisane, ja-
koby owe wielkoludy żyły po trzysta i więcej lat.
Ale teraz za grzechy Pan Jezus odjął ludziom ta-
ki długi żywot. Nieprawości pełen jest ten świat

i słusznie kara nań spada. Niezbadane są wyroki Boskie i nie nam, prochom i sprośnej glinie ziemskiej, sądzić o tem. Jako i to na ten przykład. Żali winni my Polacy jesteśmy co Krzyżakom? Za co oni naszą ziemię gnębią, wsie i grody palą, ludzi mordują, niewiniątka rzeżają?

— Prawdę mówi wasza miłość — odezwie się na to Hanko — cośmy im winni? Żali godnem to jest krześcijańskiego rycerza, to co czyni ów komtur łucholski, o którym nam wczoraj opowiadał pan Żelisław z Brzozy, że ślub uczynił, iż dopóty giermek jego dwa nagie miecze przed nim nosić będzie, dopóki ich we krwi polskiej nie spławi. Żali godnem to jest rycerza krześcijańskiego? Oni, te Krzyżaki, są jak owi wielkoludowie, których kości wiszą na łańcuchach w kruhcie kościelnej, których pychę Pan Jezus pokarał i całkiem ich z tego świata potracił.

— Toś mądrze powiedział rycerzu Hanku. Bóg pokarze pychę panów niemieckich, a nasz Król Jegomość będzie ręką Bożą, która ten ród jaszczurczy wytraci, a wtedy Polska zajaśnieje jako gwiazda błyszcząca na świat cały.

A Sławek słuchając tych pięknych słów, ścisnął jeno pięście i mruczał do siebie:

— Daj Bóg najprędzej iść na tych Miemców zatraconych. O będę też prał, Chryste Panie, jeno wióry polecą!

Ale już teraz ani Zbyszek grabia, ani Hanko Ostojczyk nie gadali, bo mieli na co patrzeć. Naokoło zabudowań klasztornych, na owym szczycie

górkim drzew pozbawionym, i w samym boru rozłożyła się owa ogromna gromada ludzi, pospółstwa, dziadów, szlachty i czeladzi królewskiej i pańskiej, niby wielkie jakieś obozowisko. Pozakładano duże ogniska, starając się je osłonić od wiatru i przy nich warzę warzono, pieczono całe ćwierci baranów i wołów, i gwar i wrzawa tu była wielka, a miejscami i swary. Wśród tego zbiegowiska ludzkiego, rosnącego co chwila, bo na wiadomość, że Król Jegomość zjechał na nabożeństwo na św. Krzyż, zewsząd ludzie się zbiegali, by obaczyć majestat pański, a za nimi też i rzezimieszkowie rozmaici, kuglarze, rybalki i wszelka gawiedź żadna widowiska.

Było więc na co patrzeć w tym ruchliwym tłumie.

Oto tam, pod ogromną jodłą stał na kamieniu wysokim, kuglarz jakiś, w pstre niemieckie szaty przybrany, opięte, pół czerwone, pół modre i okazywał gapiącym się tłumom jako rozżarzone węgle połyka, jako miecz goły w gardło sobie wpycha bez nijakiej szkody i przeprowadza dla siebie. Owo dalej rybalt wędrowny, w pół duchowne szaty przybrany, śpiewa żałosnym głosem pieśń o św. Krzysztofie, albo Stanisławie; a obok niego pielgrzym, który jakoby odbył podróż daleką do Ziemi Świętej, sprzedaje paciorki kokosowe, otarte o grób Pana Jezusa, lub w bańkach z zielonego szkła wodę, zaczerpaną ze świętej rzeki Jordanu. Słowem było się na co napatrzeć i nasłuchać. A wśród tego tłumu uwija się Włostek przełożony nad pacholkami pana marszałkowskimi i na wszy-

stko ma oczy i wszystkiego pilnie baczy, czy czasem pośród onych kuglarzy i pątników, nie znajduje się jaki postrzegacz niemiecki, jaki zdrańca niecnota, co tu przyszedł nie gwoli nabożeństwa, ale gwoli przespiegów. Postrzegł on rycerza Hanka i Sławka i zbliżywszy się do nich gadał o onych postrzegaczach niemieckich, i ściskając pięście a zgrzytając zębami kończył:

— Żebym jeno którego obwiesia takiego chycił, sprawiłbym mu, że lepiej, by się na ten świat nie rodził. Moich pacholików po całym boru rozpuściłem, żeby wszędzie czuwali, a te pieski dobry mają węch i ju się przed niemi nie ustrzeże żaden zdrańca i żaden ostrzegacz niemiecki.

Sławek rozglądając się ciekawie po owem zbiegowisku ludzkim, ujrzał i owego wielkoluda, Tatarzyna, w skórzany kaftan przybranego i w myckę czerwoną kipiącą mu na wygolonym łbie, co to niósł za Królem Jegomością mieszek z bryłą czystego złota. Siedział on pośrodku służby królewskiej grzejąc się przy ogniu i ogryzał łakomie białemi i jak u wilka ostremi zębami, kawał baraniej kości, a krzywemi oczami łyskał dokoła. I przypomniał sobie Sławek jako król podarowując tę bryłę złota opatowi mnichów tutecznych, nakazywał by z niej zrobiono relikwiarz dla schowania szczątków drzewa krzyża św. w kształcie ręki ludzkiej. Tedy nie mogąc nijak zrozumieć tej woli panna królewskiej, gdy już grabia Zbyszko z Oleśnicy nieco na bok zeszedł od wrzaskliwego tłumu, zapytał z wielką nieśmiałością.

— Przebacz wasza miłość, ale nijak nie mogę zrozumieć, gwoli czego Król Jegomość przykazał opatowi tutecznemu, podarowując mu bryłę złota, wykuć z niej relikwiarz w kształcie ręki ludzkiej?

— Hm! — odrzeknie na to po krótkim rozmyśle grabia Zbyszek — to jest miły bracie cała historia, którą ja wam opowiem, bo widzę, żeście ciekawi. Jako wiadomo, nasz pan miłościwy, nim ostał królem polskim, był poganinem z ziemi litewskiej, i kiedy jachał ze swej Litwy do Krakowa, by tam przyjąć chrzest święty, wstąpił był na tę górę tutaj, by pokłonić się świętym szczątkom krzyża Pana Jezusa. Kiedy mu je opat okazywał, król jako poganin, nie rozumiejąc wielkiej świętości tej relikwji ściągnął doń rękę, chcąc ją chwycić i zara moc Boża mu okazała co to jest świętość krześcijańska. Ręka mu bowiem uschła i ból srogi w niej uczuł. Tedy zdumiony padł na kolana i czołem bił przed przezacną oną relikwją i Pan Jezus ulitował się jego cierpieniu, ile że przez nieświadomość to uczynił, i rękę mu uzdrowił. Dlatego to król podarował oną bryłę złota mnichom tutecznym i dlatego przykazał z niej uczynić relikwiarz w kształcie ręki ludzkiej, żeby potomność po wsze wieki pamiętała o cudzie Bożym, nad osobą pana królewską uczynionym.

Tak gadał uczony grabia Zbyszek, a rycerz Hanko Ostojczyk i kmiecy syn Sławko Warcholak, dziwowali się wielce jego mądrości.

ROZDZIAŁ IX.

W którym komes Żelisław z Brzózy wyzwał na rękę komesa Kmitę i co z tego wynikło

Przez dwa dni Król Jegomość oddawał się gorącemu nabożeństwu w kościele Świętokrzyskim, przez dwa dni pan Gniewosz z Dalewic rozdawał jałmużny, a poczet królewski rósł prawie z każdą chwilą. Wielu bowiem panów i rycerzy z ziemi sędomierskiej, krakowskiej i lubelskiej ściągało do Słupi, by już razem z królem wyruszyć na wojnę, która miała się rozpocząć w dzień św. Jana, gdyż w dniu tym kończył się rozejm z Krzyżakami. Wszystko to wojsko, nie mając się gdzie pomieścić w miasteczku, które było niewielkie, rozłożyło się u podnóża góry, w samym borze, lub po polach okolicznych, pod gołym niebem przeważnie, bo tylko możni panowie przywieźli ze sobą namioty. Brzmiała też okolica góry klasztornej rozgwarem tysiąca ludzi i koni, brzękiem broni, sporami pacholców, wrzawą nieokreśloną, jaka zawsze z wielkiego zbiegowiska ludzkiego się podnosi.

Ślawek, który przypadł bardzo do serca Zbysz-kowi, grabi z Oleśnicy i rycerzowi Hankowi Ostojczykowi, już ich nie opuszczał, ile że tak on, jak i oni należeli do najbliższego pocztu osoby pana królewskiej. Rad się ich też trzymał komes Żelisław z Brzózy wraz ze swym pacholkiem Pakoszem,

który jako pochodzący z okolic Jedlni, wołał w tym rozgardjaszu różnych z całej Polski ludzi, mieć przy sobie swojaka. Rycerz Żelisław z Brzózy zwracał na siebie uwagę wszystkich ową czarną szmatą na lewem oku i łańcuchem spinającym mu rękę z nogą, a gdy się dowiedziano, że to nosi gwoli ślubu, jaki wykonał, śmiano się pocichu z tego, bo w Polsce uważano takie oznaki, od zachodnich rycerzy przyjęte, za rzecz krotochwilną i niegodną powagi dojrzałego męża.

Ale już trzeciego dnia o samym świcie, Król Jegomość otrzymawszy uroczyste błogosławieństwo księdza opata mnichów czarnych, ucałowawszy relikwie krzyża świętego, odprowadzony procesjonalnie przez bracię zakonną, dosiadł konia i wyruszył w drogę ku Kielcom. Za nim pociągnęło wszystko zebrane rycerstwo, wynoszące kilka tysięcy zbrojnych, pociągnęły luźne konie, juczne i niejuczne i kilkaset wozów z pacholkami i służbą.

Włókł się ten ogromny tabor ludzi, koni i wozów po górach i lasach, a jarzące słońce czerwcowe złociło kopje, tarcze, hełmy i piękne, jaskrawe zbroje rycerstwa. Większość bowiem rycerzy, nie chcąc się męczyć pod skwarem słonecznym w ciężkich zbrojach, poskładała je na wozach, a sami przybrani w różnobarwne jak i, w mycki lub birety rycerskie z sokolami piórami, jechała swobodnie gwarząc ze sobą. Wielu niosło na rękach zakapturzone sokoły i ujrzawszy zórawia na niebie, lub czapłę, puszczało je, bawiąc się gwoli rozrywki polowaniem. Ogromne chmury kurzu

wzbijały się z wysuszonej słońcem ziemi pod tysiącami stóp ludzkich, kopyt końskich i kół wozów, które skrzypiały niemilosierdzie, napelniając ciche, odwieczne bory Łysogórskie, ogromną wrzawą. Z rzadkich wsi, które spotykano po drodze, wybiegali wieśniacy, niewiasty i dzieci i przypatrywali się temu pochodowi, dziwiąc się jego ogromowi, szatom pięknym, blaskom zbroi, całemu temu widowi, jakiego nigdy przedtem nie widzieli, ani już nigdy nie zobaczą, i co miało być przedmiotem długich rozmów, tradycją z ojca na syna, przez wieki całe przechodzących, jako widzieli króla Jagiellę, jadącego na wojnę w złocie i purpurze z ogromnem, ile gwiazd na niebie liczącem wojskiem.

Sam Król Jegomość, przybrany w lekką szarą oponczę, bo posepny z natury, w borach i puszczach litewskich wychowany, nie lubiał jaskrawych szat i rad ciemne suknie nosił, w opiętych spodniach, ciźmach ze skóry złocisto-bronzowej, ze stalowymi ostrogami, w kapeluszu słomianym, mając krótki mieczyk przy boku, wyglądający ze swą wygoloną twarzą na księdza raczej jak na króla, z niespokojnie biegającymi czarnymi, przenikliwymi oczami, jechał na przedzie, na swym cisa-wym, ogromnym koniu. Obok niego po lewej ręce postępował pan Zyndram z Maszkowic, szlachcic z ziemi sanockiej, w karmazynowym jaku obci-słym, przepasany złotym łańcuchem, u którego wi-siał puginał w srebrzystej pochwie, w mycce ry-cerskiej z sokolem piórem, krępy, nabity w sobie i ciągle coś z Królem Jegomością gadał. Po prawej

ręce pana królewskiej, jechał ks. biskup poznański Wojciech Jastrzębiec, ubrany w fioletową sutannę, na której kurz całemi płatami się kładł, i w takiż sam jak król, prosty kapelusz słomiany. Ksiądz biskup był nieco otyły i pocił się mocno pod palącymi promieniami słońca, i co chwila kiwał ręką na kleryka, tuż za nim jadącego, by mu podawał butlę z wodą, winem zaprawioną, którą się chłodził łakomie.

Tuż za królem jechał grabia Zbyszek z Oleśnicy, jako sekretarz królewski, mając za sobą pacholka, który w skórzaney skrzynce na rzemiennym pasie przez plecy przewieszzonej, dźwigał papier, inkaust, pióra i wszystko co potrzeba do pisania. Obok niego pan Zbigniew z Brzezia, marszałek wielki koronny, surowem okiem poglądał dokoła i od czasu do czasu, gdy się na tyłach jaka wrzawa podniosła, lub jaki wóz przewrócił, co na zlej, kamienistej drodze dość często się przytrafiało, posyłał zaraz Włostka, by porządek przywrócił i cichość zaprowadził.

Za panem grabią Zbyszkiem z Oleśnicy, jechał Sławek, jako przystaw królewski, wraz z rycerzem Hankiem Ostojczykiem i Żeliszawem z Brzózy, który milczący, wyprostowany na siodle, z okiem zalepionem szmatą, wdychał od czasu do czasu żałośliwie, jedno oko podnosił ku niebu, zięjącemu żarem i przykładał skutą łańcuchem lewą rękę do serca, jakby go tam co zabolalo.

Ksiądz podkanclerzy koronny, Mikołaj Trąba, który w jedwabnym woreczku, zawieszonym na szyi, niósł wielką pieczęć królewską, spoglądał z boku na

komesa Żelislawa i nie mogąc zrozumieć, dlaczego on tak lewem okiem przewraca i ciągle wzdycha i za bok się chwyta, wstrzymał nieco konia i zbliżywszy się do Pakosza, spytał:

— Tyś pacholek tego rycerza?

— Jam jest giermkim jego, proszę waszej miłości.

— Głupstwo, giermek a pacholek to jedno. Ale tu nie o to idzie. Powiedźże mi, dlaczego ten twój rycerz tak jednym ślepiem przewraca, ciągiem wzdycha i za bok się chwyta? Czy go zasie żywot nie boli? Jeżeli tak, to rzeknijże mu, że ja mam cudne lekarstwo na ból żywota, co mi je dał jeden fizyk z frankońskiej ziemi. Po zażyciu jak ręką odjął.

Ale Pakosz obraził się, że ktoś jego wzdychającego pana, o tak poziomą rzecz, jak ból żywota może posądzić. Rzeknie tedy:

— Mojego pana, godnego rycerza, komesa Żelislawa Gryfa z Brzózy, żywot nie boli.

— A więc czemuż tak ślepiem przewraca, jęczy żałośliwie i za bok się chwyta?

— Mój pan, rycerz wypolerowany na dworze Króla Jegomości węgierskiego, układa za przykładem trubadurów rycerskich, piękną kanconę na cześć damy swego serca, nadobnej baronessy Elwiry z Koziego Rogu. I dlatego to, proszę waszej miłości, spogląda w niebo, wzdycha i za serce się chwyta, za przykładem wypolerowanych trubadurów rycerskich.

Tedy ks. Trąba zrobił surową minę i rzekł:

— Obraza Boska, nic innego. Damy swego serca!

Zglupiał chłop przez miły Bóg! a ty mi tu, parobku, takich rzeczy nie gadaj o jakichś damach serca z Koziego Rogu. Tfu! do paralusza. Obraza Boska! Opętanie widoczne!

To rzekłszy odsunął się zdala od rycerza Żeliszawa i tylko od czasu do czasu gniewnem okiem spoglądał na niego z boku, a Sławek przysunawszy się do Pakosza podrwiwał sobie z niego i z tego co ks. Mikołajowi Trąbie mówił.

Tak jechano wśród skwaru słonecznego i kurzu. Z nieba czystego jak lza, bez najmniejszej nawet chmurki istny ogień leciał. Wielmożom i rycerstwu odechciało się nawet polować z sokołami i wszyscy osłaniając się jak mogli od słońca, jechali osowiali, stękając i pocąc się mocno. Jeden Król Jegość tylko cale nie zważał na upał, jeno ciągle gadał z panem Zyndramem z Maszkowic i księdzem biskupem Wojciechem Jastrzębcem. Cale szczęście, że droga po większej części szła borami, które jaki taki cień i chłód dawały, a i tak wiele rycerstwa, wozów i ludzi ostawało na drodze i gdy król po południu stanął w Kielcach, to całą noc ściągali się za nim, wrzawą napelniając miasteczko.

Z Kielc nazajutrz świtaniem wyruszono ku Opcznu. Dzień na szczęście był o wiele chłodniejszy, słońce nie tak jak wczoraj paliło, ludzie też i zwierzęta nie tak się męczyli. Koło południa jechano lasem, gdy na obszernej wśród boru polanie, przez którą sączył się bystry strumyk, ujrzano kilkadziesiąt koni zaciężnego żołnierza, a na jego czele pana Mikołaja Kmitę z Wiśnicza, siedzącego na ogrom-

nym koniu karym, z grzywą i ogonem czerwono pomalowanym. Pan Kmita ubrany był w dostatni żupan karmazynowy, przepasany złocistym łańcuchem, a na głowie miał piękny kołpak z czaplem piórem. Spocony był mocno, bo był to mąż otyły i obaczywszy króla, zdjął kołpak z głowy i w pięknych szczupakach, choć był ciężki, podjechał do króla i coś mówił, ukazując ręką na stojących w milczeniu wojaków, w hełmach, zbrojach, z kopytami o modro - żółtych proporczykach. Jeden z nich dzierżył wielką płachtę ¹⁾ karmazynową, na której był herb pana Kmity, bardzo misternie wyszyty.

Wszyscy przypatrywali się temu widokowi, a król coś długo gadał do Kmity, czego jednak dalsi usłyszeć nie mogli, bo wiatr, który się zerwał, w przeciwną dał stronę, a pan Kmita kłaniał się królowi, uśmiechał się, a żywot mu się trząsł jak galareta. Kiedy się tak wszyscy patrzą, nagle rycerz Żelisław z Brzozy podniósł się w strzemionach, wyciągnął swą długą, jak u żórawia szyję, patrzył, patrzył swem jednym okiem, i gdy pan Kmita odjechał od króla do swych wojaków, odwrócił się do Pakosza i zawołał:

— Na miły Bóg, to on! Przez mykę św. Antoniego, żywo! dawaj mój hełm i moją kopję!

Pakosz zdziwiony tym rozkazem zapytał:

— Boga mi! co chcecie panie uczynić?

¹⁾ chorągiew.

— Dawaj mój hełm, moją kopję i moje rycerskie rękawice! — wołał gorączkowo rycerz.

Pakosz podjechał do swego pana i rzekł:

— Wasza miłość... w drodze... na takie gorąco... hełm...

Ale nie skończył, bo jedyne otwarte oko Żelysława rozszerzyło się i zajaśniało gniewnym blaskiem, a ręka sięgnęła po pugiinał wiszący u pasa.

— Przebiję cię jak psa, nieposłuszny giermkul! — krzyknął rycerz i wydobywszy pugiinał, chciał się rzucić na Pakosza.

Ale ten uniknął ciosu i żywo podał hełm i kopję z czerwono-białym proporczykiem, i szczyt, na którym wymalowany był zwierz, gryfem zwany, z rozwartą paszczą i wysuniętym z niej żmijowatym językiem. Rycerz żywo nadział hełm na głowę, strojny we wspaniały grzebień z piór pawich, szczyt ¹⁾ narzucił na lewą rękę, a w prawą chwyciwszy kopję, spał konia ostrogami i puścił się cwałem ku stojącemu na polanie wojakom pana Kmity z Wiśnicza.

Sławek, Hanko i grabia Zbyszko z Oleśnicy, jadący tuż koło rycerza Żelysława narazie nie mogli zrozumieć gniewu, ani też nagłego uzbrojenia się wielbiciela baronessy Elwiry z Koziego Rogu.

— Przebóg! — zawołał grabia Zbyszek — czy on oszalał? — i patrzył, jak Żelysław potrząsając kopją i rękawicą żelazną leciał ku panu Kmicie — co on zamierza czynić?

¹⁾ tarczę.

Tymczasem Pakosz, jako przystało na giermka rycerskiego, pognął za swoim panem, który przypadłszy do zdziwionego grabi Kmity z Wisnicza, rzekł, podnosząc w górę dłoń z żelazną rękawicą:

— Otom jest Żelisław Gryf, grabia z Brzózy i wyzywam ciebie Mikołaju Kmito z Wiśnicza na bój rycerski, pieszo lub konno, na kopje, miecze lub topory, ślubując dopóty z tobą walczyć, dopóki cię z tego świata nie zgładzę, tak mi dopomóż Panie Jezu i niewinna męko Jego.

To rzekłszy z trzaskiem cisnął żelazną rękawicę pod nogi Kmicie. Ten zrazu patrzył na pędzącego ku niemu Żelysława z pewnem zdziwieniem i słuchał jego mowy, ale gdy ten skończył, w jasno-niebieskich i krotochwilnie w świat patrzących oczach Kmity, zajaśniał blask piorunowy gniewu, a twarz jego czerwona od gorąca nagle pobladła, ręką zaś mimowoli sięgnął do boku, przy którym wisiał miecz prosty, niemiecki. Ale pohamował się i spytał, a głos mu drżał groźnie.

— Za cóż to grabio Żelisławie z Brzózy chcesz walczyć ze mną na śmierć i życie?

— Nie jest obyczajem rycerskim opowiadać się gwoli czego spotkanie rycerskie ma nastąpić — odrzekł dumnie Żelisław — ale ponieważ w tym barbarzyńskim kraju obyczaje polerowanego rycerstwa nie są znane, więc ci powiem grabio z Wiśnicza, że za to chce cię kopją, mieczem lub toporem pokarać...

— Co? — wrzasnął okrutnym głosem Kmita, — co? mnie pokarać?

I miał taką minę, jakby się chciał rzucić na Żelislawa. Ale ten nie zważając na to, mówił dalej:

— Tak, pokarać cię za to, żeś śmiał w Jedlni drwić sobie z mego ślubu rycerskiego.

— Mnie! mnie! pokarać?.. — trząśł się z gniewu Kmita — ja ci, ty zamorski włóczęgo pokażę, co to znaczy tak mówić do Kmity.

— Tak, wyzywam cię na bój, tu zaraz, lub gdzie chcesz, w dzień, czy w nocy — mówił dalej Żelislaw — i otom ci cisnął rękawicę pod nogi, grabio Kmito z Wiśnicza.

Wtedy Kmita obróciwszy się do swego pacholka krzyknął strasznym głosem:

— Dobek! podnieś tę rękawicę! żywo podaj mój hełm, mój szczyt i moją kopję.

I trząśł się cały z gniewu i konia spinał ostrogami, który rwał się pod nim i dęba stawał, a jego sługa Dobek, młode, jasnowłose pacholę w pstrą jakę ubrane, zeskoczywszy z konia podniosło rękawicę Żelislawa i zatknąwszy ją na ostrze kopji, podało wraz z nią swemu panu.

Ale już Król Jegomość zauważył to osobliwe zdarzenie, któremu wszyscy ciekawie się przypatrywali i skinął na pana Zbigniewa z Brzezia, marszałka swego i grubym głosem rozkazywał:

— Co to? czego oni się swarzą? idź mi wasza miłość i obacz.

Skoczył pan Zbigniew z Brzezia do Żelislawa i Kmity i pytał groźnie:

— W imieniu Króla Jegomości, pana naszego, pytam, co się tu stało?

Więc pan Kmita, głosem drżącym od gniewu, odrzeknie:

— Oto ten włóczęga zamorski wyzwał mię na bój śmiertelny.

— Ja ci Kmito, tę nową obelgę mieczem w gardziel wepchnę! — zawołał Żelisław i ścignawszy lejce u konia, złożył się kopją.

Ale pan marszałek Zbigniew zastąpił mu drogę i krzyknął:

— A zaśię! Kto tu śmie w obliczności pana królewskiej kopją się składać? Żali nie wiesz, że dobytec broni przy królu gardłem pachnie? Nakazuję tobie Żelisławie z Brzozy i tobie Kmito z Wiśnicza broń złożyć i na sąd pana królewski was wzywam.

A widząc, że zacięty Żelisław nie myśli go jakoś słuchać i konia spina ostrogami, by rzucić się na Kmitę, chwycił ręką za uzdę rumaka Żelisławowego i głosem donośnym krzyknął:

— Włostek! służba, żołnierze, do mnie!

W jednej chwili, jakby z pod ziemi wyrosli, przyskoczyli zbrojni pacholcowie marszałkowscy z Włostkiem na czele, i chwytając to konia, to ręce, i kopję Żelisławową obezwładnili go zupełnie. Rzucał się dzielny wielbiciel nadobnej baronessy Elwiry z Koziego Rogu jak szalony, miotał się i krzyczał, ale przeciw przemocy nie mógł nic poradzić, a marszałek Zbigniew gniewem uniesiony krzyczał:

— Ja ci psi synu, łeb zdjąć każę! Żali nie wiesz, że ja tu urząd pana królewski jestem?

Ale wtem przycwałował do marszałka Zbigniewa jeden z dworzan królewskich i mówił:

— Król Jegomość wzywa waszą miłość do siebie.

— Jadę! — odrzekł Zbigniew z Brzezia i popędził do króla, któremu opowiedziawszy o co idzie, zawrócił do Żelysława i Kmita i rozkazywał:

— Miłościwy pan nasz, Król Jegomość, wzywa wasze miłościę przed siebie, na swój sąd pana królewski.

Ruszyli więc oba za panem marszałkiem Zbigniewem. Kmita trzęsący się od gniewu i blady, Żelysław spokojniejszy, ale z rzadką miną, łyskając jednym okiem i szepcząc coś pod nosem do siebie. Kiedy stanęli w pokornych postawach przed majestatem pańskim, król nagle zaczerwienił się od gniewu, a małe jego oczy niespokojnie biegać zaczęły i głosem grubym wołał:

— Co to? co to za obyczaj? Kto śmie pod moim bokiem broni bez mego rozkazanania dobywać? Żali wam życie niemile? żali godzi się krew krześcijańską rozlewać gwoli jakichś obraz głupich? Zakazuję wam tego pod gardłem...

— Miłościwy panie! — zaczął Kmita.

Ale król rzucił się na koniu i krzyknął:

— Kto śmie mi przerywać? Tu jest wojna i zakon jest wojenny! Co to? co to? Chutni krwie jesteście? a więc będziecie jej mieli po gardło. Nakazuję wam słowem mojem królewskim, abyście obaj, dla uśmierzenia waszego rankoru, w pierwszej bitwie z Krzyżakami, samowtór ruszyli naprzód i o ich zbroje kopje strzaskali. A pod ten czas, srogo przykazuję, broni nie dobywać, pod gardłem przykazu-

ję. I wy Kmito? wy? mąż stateczny, swary w wojsku wszczynasz. Srom jeno wasza miłość mi czyni.

— Miłościwy królu, nie jam zwadę wszczął, ale ten oto rycerz zamorski — odrzekł Kmita.

Król, który jako był gorączka i łacno gniewem wybuchał, tak jeszcze łacniej cichł i uspakajał się, bo miał dobre, iście królewskie serce, rzekł:

— Już dobrze, dobrze. Chcę, by mój rozkaz wykonano, a jeżeli waszej miłości, panie Kmito jakie ostre rzekł słowo, wybaczcie i gniewu do mnie w sercu nie chowajcie. No! ruszamy naprzód!

Kmita począł się sumitować, że on nijakiej urazy do króla nie czuje, że rad jest z jego wyroku, że w bitwie z Krzyżakami sam Pan Jezus okaże, iż on w niczem nie jest krzyw, ani też nijakiej złości nie ma do komesa Żelysława z Brzózy.

— Przecie — kończył — ja go cale nie znam, jeno raz go widziałem czasu łowów pana królewskich w puszczy Jedlniańskiej, a teraz drugi. Cóżem mu więc krzyw? Żem się tam troszkę śmiał z onej przepaski na oku, to nie dziw, bo nie jest w polskim obyczaju takie śluby czynić, ale skoro komes Żelisław taki ślub zaprzysiągł, to niechże mu będzie na zdrowie.

To rzekłszy pięknie i polerownie skłonił się kółpakiem Królowi Jegomości i pocwalał w szczupakach do swoich żołnierzy, i jadąc śmiał się cicho, aż mu się podbródek i żywot trząsł jako galareta. Komes zaś Żelisław z Brzózy wracał wolno, smutny i zgnębiony na swoje miejsce w orszaku królewskim, bo król ani słówka do niego nie rzekł i widno

był gniewny na niego, za to, że swary w wojsku wszczyna. A przytem jadąc i poglądając na wszystkich roziskrzonem jednym okiem, widział, jako ten i ów pocichu się zeń śmieje, ile że giermek jego Pakosz, postępując za nim, takie błazeńskie miny wyprawiał, że Sławek musiał sobie kulakiem głowę zatkać, żeby się głośno nie roześmiać. Widział to rycerz Żelisław i stanawszy na swem miejscu, podniósł się na strzemionach i podnosząc kopję do góry, zawołał:

— Przysięgam Panu Bogu, w Trójcy świętej Jedyńemu i ślub uroczysty jeszcze raz czynię, że dopóty tej szmaty z oka i łańcucha z ręki nie zdejmę, póki komturowi tucholskiemu, Henrykiem zwanemu, głowy mieczem moim nie usieknę, i kopji mojej nie skruszę o całe wojsko krzyżackie. Tak mi Panie Jezu dopomóż i niewinna krwie Jego.

Przysięga ta uroczystym wypowiedziana głosem, zyskała dla Żelisława serca wszystkich i nikt już z niego się nie śmiał. Nawet ksiądz Mikołaj Trąba, podkanclerzy królewski, który one śluby rycerskie ze szmatą na oku głupstwem wierutnem nazywał, wysłuchawszy onej przysięgi, rzekł:

— Chocia to nie jest krześcijański obyczaj takie łaknienie krwie nieprzyjacielskiej, przecie rzecz trzeba, że prawy to rycerz, ten Żelisław z Brzózy. Żeby to polska ziemia miała więcej takich rycerzy, toby Krzyżacy nie śmieli na nią ręki podnosić.

Tak się skończyło to osobliwsze zdarzenie i teraz już do samego Wolborza nic nie zakłóciło spokojnego pochodu wojsk królewskich. Wszędzie w dro-

dze łączyły się z Królem Jegomością pocztą różnych panów, całe nawet chorągwie różnych ziem koronnych. W Opocznie powitała króla chorągiew rycerstwa krakowskiego, wszystko chłop w chłopu, aż serce rosło, patrząc na nich. Każdy był w zbroi, na dzielnym koniu, z mieczem u boku i kopją w ręku, a wielka płachta z białym orłem na czerwonym polu, unosiła się nad szeregami rycerstwa krakowskiego, głuchy łoskot wydając, przez wiatr miotana. Tam też stanęła chorągiew braci szlachty herbu Gryf, pod dowództwem Florjana z Korytnicy kasztelana wiślickiego, przeszło z dwustu mężów złożona, a lśniąca pod słońce od zbroi, toporów, łuków i mieczy.

Komes Żelisław z Brzozy, jako także Gryfita, ujrawszy swoich stryjów herbowych, popędził do nich i już odtąd ciągiem z nimi chadzał.

W Wolborzu też czekało już na króla mnóstwo rycerstwa, panów, baronów, i całych chorągwi wojewódzkich. Już stała tu chorągiew ks. arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja z Kurowa, Krystyna z Ostrowia, pana krakowskiego, Jana z Tarnowa, wojewody krakowskiego, Sędziwoja Ostroroga, wojewody poznańskiego, Mikołaja z Michałowa, wojewody sędzińskiego, Jakóba z Koniecpola, wojewody sieradzkiego, Iwana z Obichowa, kasztelana śremskiego, Jana Ligęzy z Bóbrka, wojewody łęczyckiego, Andrzeja z Tęczyna, kasztelana wojnickiego, Piotra Szafranca z Pieskowej Skały, podkomorzego krakowskiego i wielu innych panów, baronów i dostojników koronnych. Kromia tego ściga-

ły się do Wolborza chorągwie rycerstwa ziemskiego. Oprócz tedy chorągwi krakowskiej, i braci szlachty herbu Gryf, które jeszcze w Opocznie z królem się połączyły, przybyła do Wolborza chorągiew rycerstwa sędmirskiego, kujawskiego, ruskiego, podolskiego, sieradzkiego, kaliskiego, poznańskiego, a nawet nad podziw wszystkich dobrzyńskiego i chełmińskiego, które wyrwały się z pod przemocy krzyżackiej i do Wolborza do króla przyszły.

Okrutna tedy siła rosła w Wolborzu i zdawało się, jakoby cała Polska siadła na koń, by stratować kopytami swemi zuchwałstwo panów niemieckich. Sławek nie mógł się napatrzeć na tych rycerzy w zbroje zakutych, na te stroje rozmaite, na te płachty chorągwane, ustawione podle zamku wolborskiego, w którym Król Jegomość zamieszkał, miotane wiatrem z głośnym łopotem. I przypatrywał się orłom na nich wyszytym, gryfom, wieżom i najrozmaitszym znakom, i zdawało mu się, że z taką mocą, to już nie jednych Krzyżaków, ale cały świat zawojować można. Jakże się zdziwił, kiedy mu grabia Zbyszek z Oleśnicy powiedział, że to jeszcze nie wszystko wojsko, które tu jest w Wolborzu, że jeszcze czekają podle rzeki Narwi chorągwie mazurskie pod ich książętami Januszem i Ziemowitem, że książę litewski Witold czeka tam także z całą siłą Litwy i Żmujdzi, oraz z hanem i carzykami tatarskimi, że nawet jeszcze nie wszystko rycerstwo polskie ściągnęło do Wolborza.

Tedy zastanawiając się nad tem, co usłyszał, przyszedł Sławek do przekonania, że Krzyżacy po-

bici będą na głowę, bo cóżby się takiej potędzie, jak ta, którą król polski miał, oprzeć zdołało?

Nie wiedział ten syn kmięcy, że i panowie niemieccy cały Zachód europejski gromadzili pod swe znaki, by zgnieść Polskę i Litwę.



ROZDZIAŁ X.

W którym kowalka i Jewka znowu się pojawiają.

Król jeno dwa dni zabawił w Wolborzu, bo właśnie w sam dzień św. Jana ukończył się rozejm z Krzyżakami i wojna zacząć się miała. Miano więc wyruszyć z całą zebraną w tem biskupiem miasteczku siłą dnia 26 czerwca, w dzień św. Pawła, a w wigilję imienin królewskich. Wszystko rycerstwo tedy gotowało się do drogi, i Sławek zajęty był końmi królewskimi, oglądał je, smarował im nogi, przygotowywał rzędy, gdy zjawił się Pakosz, w swym pstrym pół czerwonym, a pół modrym stroju, z biretem rycerskim na bakier wdzianym i ujrzawszy Sławka, wołał zdaleka:

— Jak się masz chłopie! Co? pracujesz? a ja widzisz brachu, bujam sobie jako pan. Powiadam ci niema to jak między temi stryjcami mego pana. Całe dobre ludzie. Wszystko ci u nich jest i piwo, i baranina i kukielki białe, jeno jeść, pić i spać.

— A czemużeś ty nie przy twoim panu?

— Bo on se teraz siedzi ze swoimi stryjcami i piwo zapija i gada ci im jako to było na dworze króla węgierskiego, jako tam pił wino przednie, co je tokajem nazywają, bażanty i języki skowroncze zajał i ślub czynił, że okrutnego czarownika usiecze, a teraz mieczem zetnie leśb komturowi krzyżackiemu, co go Henrykiem zowią. Tak gada, a szlachta gęby porozdziawiała i słucha i dziwuje się wielce.

Kiedy tak gada Pakosz podparłszy się pod boki i miny bladeńskie czyni, nadszedł rycerz Hanko Ostojczyk i pocznie opowiadać, co słyszał od grabi Zbyszka z Oleśnicy.

— Ciężka to będzie ta wojna — mówił — bo właśnie przysły pisma do Króla Jegomości, a w nich stoi, jakie to ogromne wojsko zebrali panowie niemieccy.

— Wiera, że duże, ale i nas jest niemało — zauważył Sławek.

— Powiadam wam, że różne narody zebrali Krzyżacy pod swe chorągwie, de Westfalia, Alamanów, Szwejczerów, de Reno et Almania, Miznenses i Bóg ich tam wie, jako się zowią. Ja nijak spa pamiętać nie mogłem tych przezwisk miemieckich, ale grabia Zbyszek to je pamięta. A co woźnic, kucharzów, Miemkiń, jungierów, czy jak tam, to pono więcej jak gwiazd na niebie, jak piasku w morzu.

— Cóż tedy? — spyta Pakosz — czy wasza miłość myśli, że onym woźnicom, kucharzom, Niemkiniom i jungierom nie damy rady?

— Damy, ale będzie ciężko.

— Pewno, że będzie ciężko. Ale mój pan, komes

Żelisław z Brzózy peda, że jak jeno obaczy wojsko krzyżackie, zaraz z grabią z Wiśnicza skoczy samowtór na nie z kopją i poszuka komtura Henryka, co dwa miecze nosi przed sobą i głowę mu zetnie.

— Byle jemu łba Miemcy nie ścięli — mruknął Sławek.

— W Bożej to jest ręce ta wojna i Pan Jezus będzie za sprawiedliwością — mówił rycerz Hanko Ostojczyk i poszedł witać się z jakimś pięknym rycerzem, którego ujrzał na dziedzińcu zamkowym.

W dwa dni po przybyciu do Wolborza, dnia 26 czerwca, całe to ogromne wojsko, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, koni i wozów liczące z ogromnym trzaskiem i hukiem wyruszyło w drogę. Król Jegomość w kaplicy zamku wolborskiego wysłuchał dwóch mszy św., z których jedną odprawił ksiądz Mikołaj Trąba, podkanclerzy królewski, a drugą proboszcz miejscowy, i dosiadłszy cisawego konia, którego mu podał Sławek, wyjechał za miasto, by dojrzeć porządku w pochodzie tej ogromnej, jak Polska Polską, niewidzianej nigdy siły.

Pan Zyndram z Maszkowic, w kołpaczku z czapem piórem, z buławą w ręku ustawił wzdłuż drogi, do Lubochni poprzez wielkie bory wiodącej, rycerzy z proporczykami biało-czerwonemi, by strzegli należytego porządku, by wozom i ciurom nie pozwolili naprzód przed rycerstwem się wysuwać. Latał też sam pan Zyndram, aż mu się koń potem, kurzem i pianą pokrył, tak, że musiał przesiąść się na drugiego, krzyczał swym donośnym, jak burza huczącym głosem, aż ochrypl, w gniewie buła-



Trudno mu było ruszać się, dzierząc omdlałą Jewkę. Str. 212

wą po łbach walił, i nakoniec w wielkim porządku okrutne to wojsko wyciągnęło się niby wąż łskniący i barwny po drodze, a raczej szerokim gościńcu piaszczystym, ku północy wiodącym.

Dzień był piękny, słoneczny i poranek zapowiadał, że będzie skwar wielki. To też ziemia wysuszo-
na upałami, trwającymi od kilku dni, pokryła się-
bie, niebo i ludzi olbrzymią, nieprzejrzaną chmurą
kurzu i pyłu, wzbijanego dziesiątkami tysięcy nóg
ludzkich, zwierzęcych i kół wozowych, tak, że nie-
bawem cały ten piękny widok, posuwającego się
wojska, łskniących zbroi, barwnych sukien, koni
z malowanymi ogonami na czerwono, żółto, zielo-
no i modro, chorągwi z orłami, gryfami, jastrzębia-
mi, wieżycami, znikł w tej nieprzeniknionej chmu-
rze pyłu, dławiącej oddech, przyćmiewającej blask
zbroi i szat rycerskich. Na szczęście zaraz za Wolbo-
rzem rozpoczynały się wielkie bory Lubocheńskie,
których odwieczne jodły, sosny i świerki powstrzy-
mały na sobie ten nieznośny kurz, dały cień i chłód
miły posuwającemu się naprzód wojsku.

Król Jegomość, ubrany jak zawsze w szary, skro-
mny żupan, jechał otoczony dostojnikami koronne-
mi i wyborowym pocztem rycerstwa, między któ-
rymi znajdował się grabia Zbyszek z Oleśnicy, Han-
ko Ostojczyk i trzymający się ich stale Sławek. Za
tym pocztem szła zaraz chorągiew stryjców herbo-
wnych, Gryfitów, pod wodzą Florjana z Korytnicy,
kasztelana wiślickiego, a w niej komes Żelisław
z Brzozy, jak zawsze z przepaską z kitajki czarnej
na lewym oku i ręką lewą, skutą złocistym łańcu-

chem, zapowiadający głośno, że samowtór z kome-
sem Kmitą z Wiśnicza strzaska kopję o tarcze krzy-
żackie i mieczem usieknie głowę komturowi tu-
cholskiemu, Henrykiem przezwanemu, że jak ten
ślub spełni, to przepaskę z oka zdejmie, ale ręki
z łańcucha nie zwolni, dopóki straszego karła Mer-
lina, z zamku karpackiego nie wywlecze i skrepo-
wanego nie ciśnie pod nogi swojej nadobnej Elwi-
ry, kasztelanki z Koziego Rogu. Bracia szlachta,
stryjcowie herbowni Gryfici słuchali tych opowieś-
ci ciekawie, jedni dziwili się, inni lekko podrwiali
sobie z rycerza Żelysława i dopytywali się, azali
w rzeczy samej istnieje na świecie ów karzeł Merlin
w górach Karpackich i owa nadobna kasztelanka
Elwira z Koziego Rogu. A Pakosz, jako go zawsze
błazeństwa się trzymały, jadąc za swym panem
w takiej odległości, że ten jego słów słyszeć nie
mógł, prawil otaczającym go szlachcicom niezwy-
czajne rzeczy o owym czarowniku - karle i o owej
kasztelance Elwirze:

— Bo trzeba waszym miłościom wiedzieć — mó-
wił — że myśmy obaj z moim panem, godnym ko-
mesem Żelysławem z Brzozy, który jest rycerzem
pasowanym przez samego Króla Jegomościa węg-
ierskiego, a ja jego giermkim... ale bo wasze mi-
łości może nie wiedzą, co to jest giermek rycerski
i jaką jest jego powinność, bo w tej Polsce, która
całe barbarzyńskim jest krajem, zgola zakony
szwalerji nie są znane.

To rzekłszy nadął się i napuszył jak paw i rzuca-
jąc okiem po słuchającej go szlachcie, gadał:

— Tedy trzeba wiedzieć waszym miłościom, że giermek pasowanego rycerza, to jest jego towarzysz i przyjaciel najpierwszy i nie każdy może być giermkim. Giermek na dworach królewskich i na zamkach rycerzy, zasiada ze swym panem przy uczcie i winien posiadać taką zręczność, by w powietrzu, dzierżąc upieczonego bażanta na grabkach, rozebrać go, nie uroniwszy ani kawałeczka mięsa, ani jednej kosteczki. Otóż ja to wielokroć czynilem na dworze najpotężniejszego króla węgierskiego i dank otrzymywałem od pięknych dam, baroness i kasztelanek.

Jedni, słuchając tego dziwili się wielce, a drudzy podrwiali sobie, mówiąc, że nie jest to męską, ale białogłowską rzeczą, krajać kapłony i bażanty, a inni jeszcze przerywając tę opowieść o obowiązkach giermkowskich, domagali się, by im Pakosz opowiedział o owym karle-czarowniku, w górach Karpackich siedzącym.

Więc znowu Pakosz nadymał się dumnie, pod boki podpierał i prawił:

— Okrutny to jest potwór ów karzeł-czarownik, czarny jak smok, a łeb, powiadam waszym miłościom, ma wielki jako dynia, a z paszczy to mu ogień tryska, a ślepie ma krwawe i na kogo spojrzy, zaraz go niby strzałą przeszywa i na śmierć zabija. Ale my obaj, to jest ja Pakosz, giermek komesa Żelysława z Brzózy, pasowanego rycerza, i komes Żelisław mój pan, samowtór, nie lękając się okrutności spróśnego karła, wyruszyliśmy w straszne góry Karpackie, by go pokonać, szpetny łeb mu usiec i rzucić go

pod nogi nadobnej kasztelanki Elwiry z Koziego Rogu, a potem ułożyć piękną rycerską kanconę, czyli pieśń, i przy dźwiękach lutni ją śpiewać. I ja taką kanconę ułożyłem, ale że lutniej tu nie mam, więc jej waszym miłościom nie zaśpiewam, czego wielce wasze miłości żałować winny.

— Ale cóż ten karzeł? — pytano — widzieliście go?

— Widzieć nie widzieliśmy, tego rzec nie mogę, bobym zełgał — odpowiedział Pakosz — ale po różnych i ciężkich przygodach, o których kiedyś uczonne mnichy po klasztorach kroniki pisać będą, by je daleka potomność podziwiała, dobiliśmy się nakoniec do zamku karła-czarownika. Srogie to tam góry są, skały wysokie, na których jeno orłowie siedają, przepaście niezgłębione, w których jeno zwierz dziki lega. Ujrzawszy on zamek karła, na samym wierzchołku nieprzystępnej góry zbudowany, lśknący od złota i czerwoności, jakiej żadne oko ludzkie nie widziało, mój pan, komes Żelislaw z Brzozy, rycerz pasowany przez Króla Jegomością węgierskiego, wziął z moich rąk, giermka swego, szczyt i kopję, i zrobiwszy znak krzyża świętego, jak przystało na rycerza krześcijańskiego, puścił się cwałem ku onemu srogiemu zamkowi karła-czarownika. A ja tuż za nim dzierżąc w ręku ten oto miecz poświęcany. Lecimy, lecimy, a wtem...

Tu Pakosz przerwał i spojrzał po słuchających go ciekawie stryjcach herbowych, braci szlachcie Gryfitach. Wszyscy mieli oczy wlepione w niego,

wielu z podziwienia gęby szeroko rozwarło, inni nalegali.

— Cóż dalej? co dalej? gadaj jeno panie giermku.

— Wtem, kiedy nam się zdalo, że już on srogi zamek jest niedaleczko, mgła jakaś spadła nam na oczy i obejrzawszy się nie ujrzeliśmy ani zamku, ani nic, jeno skały nagie świerkami porosłe i orla unoszącego się wysoko. Uczynił ową mgłę czarami swemi karzeł, bo zląkł się kopji rycerza krześcijańskiego, jeno wśród strasznego wichru, który się zerwał nie mieszkając, usłyszeliśmy śmiech okrutny, aż nam szpik w kościach stęzał i zimno takie, jakoby mróz największy spadł, chocia to było w lecie i przedtem słońce grzało tak mocno, jak teraz. Błądziliśmy jeszcze długo, szukając onego zamku, ale go żadną miarą dostrzec już nie mogliśmy. Tedy, co robiący, zawrócić potra było, bo i mróz nas ścisnął coraz mocniej, i śniegi w górach spadły, a wszystko to za sprawą karła - czarownika, i głód nam okrutny wnętrzości krajać zaczął. Pan Jezus to dał, żeśmy w on czas nie postradali żywota, ale przecie przy pomocy Boskiej dobiliśmy się po rozmaitych przepieczęstwach do wsi góralskiej i tam słodkiego wczasu zażyliśmy jedząc chleb i żętycę góralską.

Takiemi to niebywałemi powieściami bawił Pakosz bracię szlachtę i drogę ciężką im skracał, bo był wygadany i kłamca wielki i błazeństwa różne czynił, a szlachta się dziwowała i kiedy wieczorem dobito się do Lubochni, już go puścić od siebie nie chciała, ale wydobywszy z wozów pieczenie, kukiel-

ki, butle z piwem i winem, rada go karmiła i poila, a on plótł im trzy po trzy o swym panu, o królu węgierskim, o ucztach z języków słowiczych i o nadobnej kasztelance Elwirze z Koziego Rogu.

W Lubochni rozłożono się we wsi i za wsią na łąkach, w boru, na niwach żytem zasianych, budując szałas, rozbijając namioty, lub układając się na wozach. Żywności było dosyć, bo nadjechały wozy z beczkami, w których solone mięsiwa się mieściły, upolowane zimą w lasach Kozienickich, Jedlniańskich i innych puszczech, a komornicy królewscy rozdawali ją tym, którzy nic z sobą nie mieli, albo którzy to co mieli, już zjedli. Wesoly też gwar i huk był długo w noc w ogromnem tem obozowisku, aż z nakazu pana Zyndrama z Maszkowic, miecznika krakowskiego, uderzono w bębny, co było znakiem by ognie gaszono i spać się kładziono. Więc tedy wielka cisza zaległa obozowisko, jeno konie czasem zaparskały, jeno ktoś westchnął przez sen żałośliwie, a bór szumiał, puszczyki w nim hukwały, po niwach przepiórki ćwierkały i księżyc srebrne blaski kładł na drzemiające rycerstwo polskie.

Nazajutrz, dnia 27 czerwca wyruszono dalej, zwykłym porządkiem, o samem świtaniu i po całodziennym pochodzie, zapadnięto na noc we wsi Wysockiewice, w pośrodku ogromnych lasów. Przez drogę łączyły się z wojskiem nowe hufce rycerstwa, chorągwie szlacheckie różnych województw i Sławek patrząc na to, mówił sobie, że przecież niepodobna by taka okrutna siła nie zmogła Krzyżaków.

— To świat cały zawojować można — gadał do

Hanka Ostojczyka — a wasza miłość mówi, że ciężko będzie pokonać panów niemieckich.

A na to Hanko odpowiedział:

— Bo ty nic nie wiesz. Mocniśmy, to prawda, ale i oni mocni. Zebrali oni wszystko rycerstwo od Zachodu pod swe chorągwie, ale Pan Jezus jest za sprawiedliwością i mocy nam doda.

Następny nocleg wypadł w Skierniewicach, skąd na Kozłów Biskupi idąc, przymaszerowano nad Wisłę, do wsi Śladowa, skąd można było widzieć, wznoszące się na wysokim brzegu przeciwnym wieżyce starożytnego opactwa czerwińskiego. Ale największe zdziwienie w Ślawku i w całym wojsku wywołał długi most, łączący ze sobą oba brzegi Wisły, z wielkim kunsztem zbudowany w Kozienicach przez mistrza Jarosława, pod nadzorem pana starosty radomskiego Dobrogosta, Czarnym zwanego z Odrzywołu, i splawiony wodą aż tutaj. Wszyscy nie mogli się napodziwiać tego mostu. Opierał on się na ogromnych kwadratowych łodziach, spiętych ze sobą łańcuchami żelaznymi; na łodzi te położony był pomost drewniany, po którym bardzo łatwo przejść można było na brzeg rzeki przeciwny. Wisła w tem miejscu była dość wąska, a ułatwiała rzucenie mostu ogromna kepa Śladowska, na środku rzeki leżąca, zarosła wikliną i wierzbami, oraz liczne mierzyny, które dzięki upałom od paru tygodni trwającym, po niedawnym świętojańskim przyborze, świeciły żółtym piaskiem, niby łysiny na wodzie. Zaraz po przybyciu do Śladowa pan miecznik krakowski, Zyndram z Maszkowic, ustawił silną straż przy mo-

ście i otrąbiono po obozie rozkaz, że nikomu bez pozwolenia pana miecznika na most wchodzić nie wolno, i kobylicami zagrodzono doń drogę.

Rozłożono się tedy obozem, ogromnym jak oko sięgło, na równinie nadwiślańskiej, rozpalono mnóstwo ognisk, których blask purpurowy odbijał się w mętnych falach rzeki, tworząc dziwny i piękny widok, pod niebem ciemno-granatowem, usianem gwiazdami, jak złotemi ćwieczkami. Sam Król Jegomość jeno, z pocztę wielmożów, panów koronnych, wojewodów, biskupów, kasztelanów, baronów i komesów, oraz ze swą strażą przyboczną, w której znajdował się grabia Zbyszek z Oleśnicy, rycerz Hanko Ostojczyk i przystaw pana królewski, Sławek Warcholak, ruszył na most, by w opactwie czerwińskim noc przepędzić.

Jechano tedy przez on most, który ugiął się pod ciężarem ludzi i koni, a na drugim brzegu widać było oczekujących na króla mnóstwo rycerzy, w których zbrojach, broniach, tarczach i hełmach ostatnie blaski zaszłego na zachodzie słońca, złociste i czerwone zapalało światła.

Sławek jadąc obok rycerza Hanka dziwował się tej misternej budowie mostu, i zauważył, że na łodziach, na których on się opierał, stało na każdej po kilku orylów z długimi drągami w rękach, pilnujących, by żadne płynące wodą szczątki drzew, nie uderzały o most. Wszystko to były chłopcy tegie, ogorzale, w krótkich kożuszkach bez rękawów, z nagiemi po ramiona, żyłastemi rękami, w kapeluszach słomianych na skołtunowanych łbach, zaro-

śnięci, czarni i w pomroce zapadającego wieczoru, wyglądający jak wielkoludy z baśni.

Już Sławek był na środku mostu i właśnie wstępował za innymi na kępę Śladowską, gdy na niej tuż przy brzegu samym ujrzał stojącego Dobka, Mrukiem zwanego. Ubrany był jak inni oryle, w krótki kożuszek włosom nazewnątrz, bez rękawów, w słomiany kapelusz, bosy, kusi, nabity jak pień, dzierżąc w swych potężnych łapach bosak z żelaznym kruczkiem. Obok niego, nieco dalej stał Jacek Gamajda, z pokrętką białego chleba w garści, ale na widok złocistego pocztu królewskiego, zabaczył o jedzeniu i stał, rozwarłszy szeroko gębę, na której sterczało mu pod nosem i na brodzie kilka rzadkich jasnych jak konopie włosów, i patrzył wytrzeszczonemi szeroko oczami na króla, biskupów, baronów i rycerzy.

Sławek obaczywszy ich obu, aż podskoczył na koniu, bo kuczyło mu się już za Jedlnią, za puszczą ojczystą, za chałupą rodzinną, za ojcem, Jewką i za powietrzem tamtejszem. Rad był też niezmiernie, że przecież kogoś ze swoich obaczył, bo zdawało mu się, że mu oni chocia odrobinę powietrza ojczystego przynoszą. Ruszył tedy ku Dobkowi, stojącemu w zorzy wieczornej, jak owe posągi kamienne, co je widział na zamku i po kościołach krakowskich i na grobowcach królów, biskupów i rycerzy, odwieczną przędzą pajęczą osnute i zawołał radośnie:

— Dobek! to ty?

Dobek odwrócił się, ale że w zmroku wieczornym i w szlacheckiem przybraniu nie mógł poznać Sławka, więc rzekł:

— A ja, ale tko mię woła?

A Gamajda, który bacznie przypatrzył się nadjeżdżającemu, zawołał swym piskliwym głosem.

— Boga mi! a dyć to Sławek Warcholak.

A już Sławek zbliżył się do Dobka i mówił:

— A ja! nie poznajesz to mię Dobku?

Tedy Dobek popatrzył i rzeknie:

— Juścić poznaję, aleś ty mi się Sławku na ślacheckie paniątko przemienił. Pił pił pił co za koń, jaki przyodziewek galanty, i mieczyk przy boku... pił pił!

A wtem w krzach wikliny, rosnącej gęsto na kępie, coś zaszeleściło, rozległo się z niej pianie kura: „ki! kiryki!“ i z gąszczu wyskoczył, niby djabeł z rożniciny Stańko Pędziwiatrem zwany, i wołał:

— Sławek! Sławek! na miły Bóg, Sławek! Jak się masz smyku?

I przyskoczywszy do Sławka począł go oglądać bacznie, dotykać się palcami jego szat, broni, kiwał głową i mlaskał językiem.

Sławek uradowany nadzwyczajnie tem spotkaniem, pytał:

— Bójta się Boga chłopaki, nie uwierzyta jakem rad, zem was obaczył. Co wy tu robita? skądeśta się wzięli w takiej dalekości od Jedlni?

— Nie wiesz to skąd? przywiedliśmy z Kozienic aż tutaj most, po którym jechałeś i wojsko całe królewskie przejdzie — odparł Stańko — pan starosta

Dobrogost Czarny wszystkich parobków z Kozienic, Jedlni, Siczek, Mąkos, Ostrownicy, ze wszystkich wsiów pana królewskich, zabrać przykazał i na orylów poprzemieniał. Čtery niedziele plynęlišwa Wiślą z temi łodziami i mostem, aż tutaj przypłynęlišwa i most ten z wielkim trudem a pracą ustawilišwa. Co? galanty most? co?

— Piękna štuka, ani słowa! — rzekł Jacek Gamajda, przelykając białą kukielkę, którą sobie całą gębę zapakował.

Dobek nic nie mówił, jako to był u niego zwyczaj, jeno patrzył na oddalający się i ginący już w krzach i pomroce wieczornej poczet królewski. Stańko zato gadał ciągiem.

— A wiesz ty Sławku, tko tu je w Czerwińsku, po tamtej stronie wody?

— No, kto?

— Jewka.

— Co ty gadasz? Jewka? a ona skądby się tu wzięła? Sama je?

— Co ma być sama. Z kowalką.

— Z kowalką? ale jakże to? co?

— Ej, to ci pedam cała historyja! Pan starosta Dobrogost przykazał księdzu w Kozienicach ogłosić w kościele, co jeżeli są jakie białogłowy, co się znają na ziołach, lekach i rany goić umieją, ażeby wybrały się z orylami i do wojska popłynęły, a za to wielgą nagrodę od Króla Jegomości mieć będą. Tedy kowalka, która, jako wiesz, zna się na ziołach i wszelakie choróbska zamawiać umie, zara pedziała co pojadzie. Kiej to usłyszała Jewka, nuż prosić

oćca, starego Warchoła, żeby jej pozwolili także jechać, ile że sama kowalka rady sobie nie da, boć to potrza zioła zbierać, warzyć, suszyć. Wiesz przecie Sławku, że Jewka u oćca twojego, oczko w głowie, żrenica serdeczna i wszyćko czyni, co jeno chce. Póty ci prosiła, póty molestowała, póty z kowalką gadały, aż ociec zgodzili się, a nie chcąc dziewczki samej puszczać, jeno z kowalką, która je na prześpiegi jedyna, ale wartogłów baba, chocia stara, sami się wybrali, i tera ci siedzą tam w starosty pana mieszkaniu, w klasztorze, co go stąd widać i kowalka wieczerzę z Jewką dla króla warzą.

— Na miły Bóg, a to mi nowina! Prędzejby się śmierci spodział...

— Tak, tak! wszyćcy tu jesteśwa, wszyćcy.

— Bądźcie mi zdrowi, jadę do pana oćca! A najdę ja ich tam? Mówicie co w klasztorze, i kowalka wieczerzę warzy?

— Tak wieczerzę warzą dla króla.

— Jadę, bo i królewskiego pocztu ju nie widać. Obaczę ja was jeszcze?

— Wiemy to, kaj nam pan starosta Dobrogost jachać każe? Gadają ludzie, że jak jeno wojsko całe bez most przejdzie, to go każą do Płocka splawić. Pewnikiem i my tam pojadziemy.

— Ostańta z Bogiem. A toście mi radość sprawili. Jadę do klasztoru. Ktoby się spodział, że ja oćca i Jewkę tu nadybie! No! Ostańta z Bogiem.

Rzekłszy to spał konia i pognał za pocztem królewskim. Przebiegłszy przez kępę, zarosłą wierzbami i wikliną, znowu wjechał na drugą część mo-

stu. Tu już widać było doskonale, wznoszące się na wysokim brzegu przeciwnym ogromne opactwo czerwieńskie i miasteczko, a z okien klasztoru błyszczało światel mnóstwo, ze wszystkich kominów się dymiło i ruch i wrzawę ogromną było słyszeć. Chciał Sławek rysią pognać, żeby dopędzić poczet królewski, ale stojący przy moście zbrojny żołnierz powstrzymał go, krzycząc, że nie wolno prędko jechać i nie chciał go nawet puścić, ledwie mu się Sławek wytłumaczył, że należy do pocztu pana królewskiego, z którym połączył się dopiero na drugim brzegu pod bramą warowną opactwa czerwieńskiego.

ROZDZIAŁ XI.

Jako stara kowalka zapowiadała, że będzie rychły koniec świata.

Sławek dojeżdżając do przeciwnego brzegu Wisły, zauważył tam znaczną gromadę rycerstwa, stojącego nieruchomie i oświeconego, że to już noc zupełna zapadła, smolnemi pochodniami, które dzierżyło wysoko w rękach kilkunastu pachołków. Ruchliwy blask tych pochodni oświecał żelazne hełmy, zbroje, miecze i proporczyki, chwiały się na nich, znikali, by znów błyskawiczne blaski na nich zapalić. Sławek nie mógł zrozumieć czego cały poczet królewski, bo poznał, że to on był, oraz sam

Król Jegomość, którego widać było dobrze przy blasku pochodni, zatrzymał się na stromym brzegu Wisły i rozmawia z jakimś mężem, całe Sławkowi nieznanym, miasto jechać do klasztoru, który pięknie i mocno murowany, buchał światłem ze wszystkich swych okien i niejako zapraszał Króla Jegomości do wygodnego wywczasu po tak długiej i uciążliwej podróży od Św. Krzyża, aż pod Czerwińsk. Na schodach, wiodących z klasztoru ku Wiśle, stali rzędem księży klasztorni, w komżach i biretach, z krzyżem na czele i widno czekali, by króla powitać i wprowadzić do swych murów. Wszystko to, ci rycerze, ci księża, te zamczyste mury klasztorne, te pochodnie, rzucające krwawy, migotliwy blask na hełmy, pióropusze, chorągwie i zbroje, pod niebem ciemno-granatowem, iskrzącem się od gwiazd, wyglądało dziwnie, prawie niezemsko.

Sławek, połączywszy się nakoniec z królewskim orszakiem, przedewszystkiem zaczął się przypatrywać onemu mężowi, z którym Król Jegomość gadał. Był to mąż szczupły, zawiedły, wysoki, wygolony jak mnich, o bujnych, czarnych włosach, tu i owdzie szronem siwizny przysypanych, ubrany w jakę z przedniego aksamitu, koloru wiśniowego, przepasany złocistym łańcuchem, u którego wisiała srebrna trąbka i puginał z rękojeścią pięknie rzeźbioną. U boku mąż ten miał krzywą, całe w Polsce niezwyčajną szablę w pochwie z jaszczuru, a na głowie czapkę, obłożoną pięknem futrem sobolowem. Czarne, bystre, przenikliwe oczy co chwila

od światła pochodni zapalały się jakimś ognistym blaskiem, to znów gasły w cieniu.

Ale już jeżeli mąż ten swą postawą, strojem, surowością oblicza zwracał na siebie uwagę, o ileż większą ciekawość wszystkich budził stojący obok niego człowiek, całe dziwnej i niezwyklej postaci. Siedział on na osobliwszym koniu, krępym, o ogromnym łbie, szyi krótkiej, długiej grzywie, niezgrabnym, ale o stalowych nogach, przybrany w rząd wspaniały, nabijany złotem i drogiemi kamieniami, których barwy błękitne, zielone, żółte i czerwone jeno się migotały. Na kulbace wysokiej, o krótkich strzemionach, szerokich jak ciżmy białogłowskie, złotych czy też pozłacanych, z nogami skurczonemi, siedział ów mąż, ubrany w żupan czerwonej barwy, suto złotemi taśmami obszyty, z takimże krzywym mieczem, jak i jego towarzysz, w pochwie jaszczurowej, ale lśniącej od złota i szlachetnych kamieni. Lice miał śniade, brzydkie, oczka czarne, ruchliwe, srogie i ukośne, a na brodzie jeno kilka ciemnych kłaczków rosło; był brzydki i straszny w kołpaku baranym, choć upały za dnia były wielkie, a i teraz, lubo noc już była, par był mocny.

Sławek z podziwieniem przypatrywał się owym dwom mężom, którzy żywo rozmawiali z królem w ruskiej mowie, i którzy musieli być jacyś znaczni wielmoże, bo za nimi stał liczny poczet, z wielkiem uszanowaniem na nich spoglądający. Za onym w baraniej czapie, kręciło się też kilkunastu jakichś strasznych, na zbójów patrzących, gołobrodych

i czarnych wojaków z łukami na plecach, harapami w łapach, siedzących ze skurczonymi nogami w żółtych butach, na wysokich kulbakach, pogładających dziko i mających pod nogami splątane rzemienne łyka czy arkany. Tedy Sławek nie mogąc zrozumieć, co by to byli za mężowie, ujrawszy niedaleko od siebie stojącego grabię Zbyszka z Oleśnicy, przecisnął się do niego, pokłonił czapką i rzekł:

— Mogę li waszej miłości zapytać, co to są za wojacy, z którymi Król Jegomość gada?

Grabia Zbyszek uśmiechnął się, a że zawždy okazywał dużo łaskawości Sławkowi, więc rzekł:

— Przypatrz się dobrze, bo widzisz przed sobą wielkiego męża. Ten co teraz gada z królem w jace wiśniowej barwy, to kniaź litewski Witold, stryjeczny naszego pana miłościwego. Przyjechał on tutaj, żeby donieść Królowi Jegomości, że całe wojsko litewskie, już stoi stąd niedaleko nad rzeką Narwią i gotowe jest połączyć się z nami, by ruszyć na Krzyżaków. Ci dwaj mężowie, co za kniazem litewskim tuż stoją, to hetmani litewscy Iwan Zozdiewit i Jan Gasztolt.

— Boga mi! jak żyję nie widziałem jeszcze Litwinów, ale to są takie same ludzie jako i my.

Roześmiał się na to grabia Zbyszek i rzekł do brotliwie:

— Przecież to są krześcijany. Ale źle powiadasz, jakobyś jeszcze nigdy nie widział Litwinów. Azali nie wiesz, że i nasz król, pan miłościwy, jest Litwinem?

— Prawda! zabaczyłem. Jeszcze chcę się zapytać waszej miłości... kto jest ten mąż okrutny, co łyśka ślepiami nikiej wilk i stoi podłe kniazia litewskiego?

— To jest carzyk tatarski, Zeladyn się zowie.

— Święta Marzo! mówicie miłościwy panie, że to carzyk tatarski?

— Tak.

— A cóż on tu robi między krześcijany? — przecie to, slysze, poganin?

— Poganin.

— I czy jego Tatarzy też pójda na panów miecieckich?

— Pewno, że pójda.

— Godzi się to pogan na krześcijany puszczać? przecie Krzyżacy są też krześcijany?

— A krześcijany. Krzyże czarne noszą na białych płaszczach.

— A tak, ja widziałem ich w Krakowie. Pobożne są krześcijany. Jakże to sprośnych pogan używać przeciw krześcijanom?

Grabia Zbyszek zrazu nic na to nie odrzekł, dopiero po chwili ozwał się:

— Nie moja to, ani twoja głowa mój chłopie, żeby o tem rozprawiać. Od tego jest król, miłościwy pan nasz i rada pańska z biskupów, wojewodów i kasztelanów. Wiedzą oni, co czynią, a nam jeno słuchać przystoi.

Chciał jeszcze coś mówić, ale kniaź litewski Witold i carzyk tatarski Zeladyn skończyli swą roz-

moowę z Królem Jegomością, i ruch się zrobił i kłaniali się nisko kołpakami panu. Carzyk tatarski zdjął czapkę z wygolonego jak kolano łba, mając jeno na czubku kępę czarnych i twardych jak szczecina włosów, i coś gadał i białe zęby szczyrzył, a miał taką postać, jak wilk kiedy z drugim o padłe ścierwo się gryzie. Okrutną łapę przyłożył do serca i kiwał łbem i kłaniał się niziutko i coś gadał z ruska, głosem gardłowym, czego Sławek nijak zrozumieć nie mógł, a wszyscy Tatarzynowie, stojący za nim na swych myszatych wielkogłowych szkapach, uśmiechali się, baranie kołpaki ze łbów pozdejmowali i także kłaniali się i ręce do piersi przykładali. Król Jegomość te hołdy pogańskie przyjmował ze spokojem i wielką powagą, a gdy się na koniec skończyły, ruszył wolno pod górę ku klasztorowi i ku oczekującym nań z krzyżem św. księżom. Tatarzynowie zawrócili i trzęsąc się a kiwając na swych wysokich kulbakach, znikli w ciemności nocnej, niby mary jakieś groźne i niehumanitarne.

Sławek oszołomiony tem wszystkiem, nie mogąc żadną miarą pojąć jak można przeciw krześcijanom, chociażby nawet Niemcom, tatarskiej broni pogańskiej używać, jechał za orszakem królewskim i po różnych powitaniach i ceremonjach ze strony mieszkających tu kanoników, gdy na koniec Król Jegomość z panami radą koronną wszedł do rzęsiście oświetlonego klasztoru, obejrzał się dokoła, ile, że przypomniał sobie, że tu gdzieś znajduje się jego ojciec, stary Warchoł z Jedlni, siostra Jewka i kowalka, która ma pono warzyć dla króla wiecze-

rzę. Ta wieczerza go najwięcej zajmowała, bo był głodny, ile że od rana kromia krajanki chleba i jakiegoś gnata twardego, który gadali, że ma być wędzoną łosiną, w ustach nie miał.

Stał teraz na dość ciasnym, kamieniami brukowanym dziedzińcu klasztornym, wśród mnóstwa koni, wozów i czeladzi królewskiej i panów rady, otoczonym dokoła wszelakiego rodzaju zabudowaniami. Oglądając się po swarzącej się ze sobą czeladzi, dostrzegł jeno Włostka, jak chodził z bizunem w ręku, i tego i owego smagnął nim, wołając:

— Cichaj obwiesiu! takie jest przykazanie pana marszałkowskie! — co zwyczajnie jeszcze większą wrzawę wywoływało, bo obity rwał się do bójki, aż go pięściami i czekanikami uśmierzać musieli pachołkowie Włostkowi.

Rozglądając się tedy dokoła Sławek i przemyśliwając nad tem, jakimby sposobem wywiedzieć się, gdzie jego rodzic i Jewka miészka, gdy nagle dojrzał w jakimś bocznym budynku, przed którym kilka ogromnych lip rosło, drzwi narozcież rozwarłe, jasno oświetlone od gorejącego wewnątrz ogniska, a w tych drzwiach dwie białogłowy, przypatrzące się chciwie rozgardjaszowi, panującemu na dziedzińcu. Białychłów tych Sławek rozpoznać nie mógł, bo były tyłem do światła zwrócone, ale po ich posturach widziało mu się, że to musi być Jewka i kowalka. Nie namyślając się wiele, zsiadł z konia i prowadząc go za cugle, począł się przez tłum pachołków, koni i wozów przedzierać ku

onym białogłowom. Ujrzał też po drodze koniuchów pana królewskich, jak konie ustawiali rzędem przy wozach i stajni, a że służbę tę znał, więc oddał im swego żrebca, prosząc, by też o nim pamiętali, a sam załatwiwszy się z tem, ruszył do onego budynku, we drzwiach którego ujrzał był dwie ciemne postacie białogłowskie. We drzwiach tych już ich nie znalazł, ale z izby mocno oświetlonej gorejącym wielkim na kominie ogniem, doszedł go krzykliwy głos kowalki, który znał dobrze. Wyraźnie słyszał jak gadała:

— Magda, Baśka, zatracone dziewczki, a żywo szafanu mi utłuc, bo jeno patrzeć jak tu przylecą pana królewscy dworscy i wieczerzę podawać każą, a tu jeszcze niema nic gotowego. Żywo, bo kudłów wam na łbie nadrę!

I odetchnawszy głęboko, dodała:

— Boga mi z takimi ztraconemi niemrawami. Wszyćko sama rób, a ja ju ręce sobie urobiła po łokcie, bez te gułaje.

Tedy słysząc to Sławek ucieszył się wielce, że przecie znalazł swoich, ile że dobywający się z izby zapach pieczenia, mile jego zgłodniałe podniebienie polechtał. Wszedł tedy do izby pełnej dymu i śwedu, i tak tym dymem zaciemnionej, że dostrzegł jeno jakieś ruszające się w niej cienie. Sama tylko kowalka w modrej pięknej chuście na głowie, w fartuchu białym, mając nagie ręce po łokcie, stała podług komina podparta pod boki, jasno oświetlona wielkim ogniem, na nim buchającym, spocona moc-

no i czerwona. Ujrzawszy wchodzącego do izby jakiegoś chłopca, którego z powodu dymu i pary, poznać nie mogła, zara krzyknęła:

— Czegój tu? tu je kuchnia pana królewska, tu wchodzić nie wolno.

— A mnie może wolno — zaśmiał się Sławek.

— Nikomu nie wolno. Wynośta się mówię!

— A nie wyniosę się! przekomarzał się Sławek.

— Wynośta się, mówię, po dobroci, bo drapaki chyć.

I poczęła się rozglądać na oną drapakę. Tedy Sławek rzeknie:

— Kowalko, moiściewy, nie poznaliśta mnie?

— He? a niby tkóż?... głos mi się ochapia, ale gęby nie widzę, bo tu dymno.

Więc Sławek rzeknie:

— A kajże je Jewka?

W tejże chwili, gdzieś z głębi ciemnej izby wyskoczyła Jewka jak z procy, i zawiesiwszy się obu rękami na szyi chłopaka, krzyknęła słodkim głosem:

— Sławek! Sławek! braciszek! sokolik serdeczny!

I całowała go i ścisła wielmi uradowana. Wszystkie dziewczki, a było ich kilka w tej dymnej izbie, stanęły wytrzeszczywszy zdumione oczy i rozdziawiając gęby od ucha do ucha. Sama kowalka, która tu była niby hetmanem w spódnicy, przestała swych zwyczajnych krzyków, jeno załamawszy ręce, wołała:

— Na miły Bóg, Sławek, a skądęś się tu wziął,

zatracony chłopie? Prędejbym się śmierci spodziała... patrzajcie go, jaki galanty ślachcic z niego się zrobił.

I zbliżywszy się do chłopca, poczęła go na wszystkie strony oglądać i odpychać Jewkę, mówiąc:

— Czekaјno Jewuś, niech-no ja mu się przypatrzę... no! no! jaki śliczności spencer na nim! i skórznie piękne i kołpaczek też ślachecki i mieczyk przy boku, a spaś się nikiej z przeproszeniem... dobrze ci się dzieje, co? Tfu! na psa urok, chłop jak się patrzy...

A Sławek uściskawszy Jewkę, która mu się ciągiem u szyi wieszała i aż z radości rozbeczała się w głos, obejrzał się i ujrzawszy ławę pod ścianą, przysiadł se na niej, bo był zmęczony, i rzekł:

— Kowalko, nie macie ta co jeść, bom strasznie głodny!

Kowalka plasnęła w ręce i zawolała:

— Patrzajcie go, strasznie głodny! a przecie ludzie gadają, że służysz przy samym królu. To wam tam nic jeść nie dają?

— Dają, jeno w drodze to nie zawżdy można należeć jedzenie.

— Nie mówię ja to, że teraz to niema nijakich króli, jeno same chudziaki. Albo mi to wierzą? Kowalka głupia, pedają, a kowalka ma więcej rozumu w pięcie, jak wy wszyckie w głowie. Głodnyś? o! mój robaczku, koraliczku, na co ci to przyszło na tym królewskim chlebie. Nie lepiej to było doma siedzieć i kluski ze sperką zajadać?

Tak gadając i uparcie twierdząc, że teraz niema sprawiedliwych króli, jak to dawniej bywało, jeno same chudziaki, zakrzętnęła się po izbie, huknęła na dziewczki służebne, tę i ową w kark pięścią uderzyła, i w mig przed Sławkiem postawiła ogromną miskę mleka z białym chlebem i stanawszy przed łakomie jedzącym chłopcem, obtarła usta fartuchem, podparła brodę na rękę i gadała:

— Drzewiej, za mojej ju pamięci, to króle ci zawdy w złocistej chadzali koronie, a tera co? kolpaczek ci jeno noszą na głowie, jak jaki chłop albo ślachcic biedota. Wszystko tera na świecie się zepsowało i pedam wam, że jeno patrzeć jak antychryst przyjadzie na ognistym wozie i będzie płacz i zgrzytanie zębów i ju koniec świata. Albo i ta wojna. Słyszał to tko, żeby takie strasne wojsko, jako gwiazd na niebie, zebrać na jakichś tam Miemców? żeby jakieś dzikie ludzie, jakichś Tatarzynów, co pono kajś na końcu świata mieszkają, na krześcijany zwoływać? Pedam wam, nie będzie z tej mąki chleba...

— Nie pletlibyśta, kowalko, kiej nie wieta nic — zauważył Sławek — nie wasz na to rozum. Tam przy Królu Jegomości są biskupi, wojewody, kasztelany, rycerze nauczni w piśmie i wiedzą co czynią. Nie babski na to rozum. Lepiej powiedzcie mi, prawda to, co ociec są z wami?

— A są — odrzekła słodkim głosem Jewka — przyjachali z nami.

— Kajże są ociec?

— Ostali się w mieście, przy wozach.

— Przy jakich wozach?

— Czekajno Jewka — wtrąciła kowalka — cichaj, ja Sławkowi wszystko to dokumentnie opowiem, bo ty ta nie umiesz.

To rzekłszy przestąpiła z nogi na nogę, usta fartuchem otarła, brodę na rękę wsparła i gadała:

— To tak było. Skoro one wielkie łowy pana królewskie w naszej Jedlniańskiej puszczy się skończyły i kiedyś ty Sławku, jako przystaw pana królewski, razem z królem odjechał, tedy, co robiący — pedam ci, nazwozili ci do Warchołowej chałupy taką kupę uśmierconego zwierza, że nikiej kopa siana. Same jeno łosie, tury, jelenie, sarny, zające, dziki, strach co tego było. Jako żywo nic podobnego nie widziałam, choćem ja przecie dworka i było się i w Radomiu i w Kozienicach i w Ryczywole i kawał świata się zwiedziło i nic mi nie jest dziwnem. To ci pedam chłopie taka kupa była, że nad strzechę stodoły wystawała...

— O! że dużo, to dużo było — wtrąciła Jewka — i zara tedy...

— Cichaj Jewka, ja ju Sławkowi wszystko po sprawiedliwości opowiem. Tedy jakieśta z królem odjachali, przyszli ci oprawce...

— A nie oprawce żadne — przerwała Jewka — jeno łowcy pana królewscy.

— Cichaj Jewka! kiej mówię oprawce, to oprawce. Tera to taki świat, że jajko mądrzejsze od kury.

W kącie, gdzie dziewczki się pochowały, rozległ się śmiech:

— Hi! hi! hi!

Więc kowalka podparła się pod boki i obróciwszy się do onego kąta, krzyknęła:

— Tkóraż to tam się śmieje? Dam ja wam gułaje, hi-hi! a żeby was kolka sparła! Do roboty to niema żadnej, ale do śmiechów i gzów to wszystkie są.

I byłaby zapewne dłużej tak wykrzykiwała, gdyby nie Sławek, który rzekł:

— Gadajcie no kowalko, jak to było z oną zwierzyną?

— Ano... przecie gadam. Przylecieli ci oprawce, onego zwierza poczęli ze skóry obdzierać, żywoty rzezać, bebechy wyrzucać, a potem toporami ćwiertować, solą i ziołami wszelakimi przysypywać i w ogromne beczki, których ci siła nazwozili, one mięsiwo pakować. Straśna ci robota była. Kiedy już skończyli, przyjechał pan starosta Dobrogost z Radomia i peda do Warchoła, rodzica waszego: „Warchole, czynię cię starszym i przełożonym nad oną żywnością dla wojska pana królewskiego. Kiej most, co go w Kozienicach mistrz Jarosław buduje, będzie gotowy, one beczki tam zawieziesz, na łodzie wsadzisz i Wisłą spławisz do Czerwińska. Weź sobie parobków ile ci potrzeba, żeby mi jeno te beczki cało i zdrowo do Czerwińska dojachały, bo inaczej, jakem Dobrogost, łeb ci na rynku w Radomiu mistrzowi uciąć przykaże.

— Tak powiedział pan starosta?

— Ej, kowalko — wtrąciła Jewka — pan starosta...

— Cichaj Jewka, ja to wszystko Sławkowi po sprawiedliwości opowiem. Co robiący tedy, poczęli się stary Warchoł w oną daleką drogę wybierać, a stękać, a narzekać i gadać, tko to wie kaj ten Czerwińsk leży, a ja pedam do Jewki:

— Słuchajno Jewuś, puścisz to ty rodzica samego w taką daleką drogę, godzi się to?

— A nieprawda kowalko — zawołała Jewka — to nie wy tak gadaliśta, jeno ja sama, bo mi żal ośca było i świata też krzyne chciałam obaczyć...

— Cichaj Jewuś, cichaj! ja to sama Sławkowi wszystko jak należy opowiem, a do starego Warchoła rzekę: nie narzekajta Pietrze, przykaz je pana królewski, słuchać potrza i gębę stulić. A Jewuś, co tu siedzi i co koniecznie chce być mądrzejsza, jako to tera taki świat jest, co jajko mądrzejsze od kury, nuż się rodzica prosić, zabierzcie mię tatulu ze sobą. Nie chcieli na żaden sposób stary Pietr, bo powiadają, slychane to rzeczy, żeby dziewczki brać na wojnę? jeszcze tego jak świat światem nie bywało. Rzekę ja tedy, nie plećta Pietrze, jeno Jewkę i mnie zabierzta ze sobą. Zawždy białychłów potrza wam będzie, bo tkóż warzy ugotuje wam i parobkom na łodziach na Wiśle, tko wam legowisko uściele na nockę i lachy upierze? Przez Jewki i przezemnie nijakiej sobie rady nie dacie. A że się ta bojacie, by się wam dziewczka nie sponiewierała, to od czegojże je stara kowalka? Bojać się niema czego, a dziewczka też chutliwa je świata krzyne obaczyć, nie zawždy jeno patrzeć na Jedlnię i sosny a świerki. Przecieć, rzekę, jest tam i Sławko, a nuż go spotkamy i jemu

też będzie milej, gdy swojaków rodzonych obaczy. Mądrzem gadała, co?

Tu zatrzymała się, obtarła usta fartuchem i powtórzyła:

— Mądrzem gadała, co?

— Ani słowa, mądrze — odparł Sławek.

— A widzita, co kowalki głowa, to nie wasza. Nie darmo na ziołach się znam i uroki odczyniać umiem. Ho! ho! co kowalka, to kowalka. Ale na czymże ja to stanęłam?

— Jakeście oóca namawiali.

— Ano... namawiałam, namawiałam, aże namówiłam. Więc, co robiący, zaczęliśwa się wybierać w oną wędrownkę daleką, a Jewka z radości jeno skakała jako koza i ciągiem sobie przyśpiewki przyśpiewywała o Jaśku, co na wojenkę poszedł. Nie masz się ta czego Jewuś wstydać, bo co prawda, to prawda. Sromięźliwa dziewa jesteś i tak być powinno. Tedy siedliśmy na one ogromne łódczyska, na strasną rzekę Wisłę i płyniewa, płyniewa dzień i dwa i trzy, i całe ćtery niedziele widzieliśwa jeno wodę i niebo. Tak tedy płynęliśwa tu do Czerwińska, mistrz Jarosław most budował, a stary Pietrz Warchoł one beczki z wędzonem i solonem mięsiwem przykazali z łodzi wydobyć i czekamy już sześć niedziel na wojsko królewskie, aż się cknęło, a Jewce strasnie się kuczyło za Jedlnią, ale kiedy cię, Sławku, obaczyła, zaraz zakwitła jako róża kraśna. Może nieprawda? co, Jewuś?

Tak sobie gadali, a Sławek podczas jadł mleko

z chlebem i nasycił się dowoli, poczem pięknie podziękował i rzekł, że pójdzie ojca poszukać. Wywiedziawszy się dokładnie, gdzie ojciec siedzą, ruszył tam zaraz.

ROZDZIAŁ XII.

W którym ksiądz opat klasztoru Czerwińskiego opowiada ciekawe o Krzyżakach historie.

Drugiego dnia owego pobytu w klasztorze Czerwińskim, dość późnym wieczorem wezwał był przez pacholka grabia Zbyszek z Oleśnicy Sławka do siebie w jakiejś pilnej sprawie. Grabia Zbyszek mieszkał w samym klasztorze, w pięknej celi murowanej, nieopodal mieszkania królewskiego, ile że jako sekretarz Króla Jegomości, mógł mu być każdej chwili potrzebny. Pospieszył Sławek co żywo na wezwanie pana grabi, bo miłował go wielce i poszanowanie też miał k'niemu, bo był to młodzieniec nad swój wiek uczony i wielu rzeczy świadom. Zastał tam rycerza Hanka i księdza opata klasztornego, męża słusznego i wielkiej powagi, a wszyscy siedzieli przy stole i popijali z maleńkich kubków miód przedni, którego zapach po całej izbie się rozchodził. Tedy Sławek wysłuchawszy rozkazania grabi Zbyszka co do koni pana królewskich, siadł też sobie, bo grabia rzekł mu, aby się miodu klasztornego napił. Kiedy zatem on miód pił, który ja-

koby jakąś wesołość w duszę wlewał, poważny ksiądz opat, widno przedtem rozpoczętą rozmowę dalej ciągnął:

— Znam ja ich bardzo dobrze tych panów niemieckich, bom nieraz jeździł do nich w poselstwie od księdza biskupa plockiego, byłem nawet w samym Malborku, który jest zamek nad zamki, większy i obronniejszy od zamku pana królewskiego na Wawelu w Krakowie. Jakie to tam mury, jakie bogactwa, jakie dworce mistrzowe i inszej braci zakonnej! A któż zliczy rycerstwo ze wszystkich końców świata, z ziemi zamorskiej, z Frankonji, Alemanji, i innych narodów, kto zliczy knechtów wszelakich! Ciężka to będzie wojna z tą okrutną mocą, a chocia Polacy nieraz już z nimi wojowali, a nawet król Łokietek położył ich wielmi trupem pod Płowcami, wszelako oni jak owa hydra, o której w starych kronikach piszą, chocia jej łeb utną, to zawždy na nowo odrasta, na nowo w moc i siłę rosną. Ale Bóg jest sprawiedliwy i modlimy się też z naszą bracią zakonną, by Pan Jezus naszemu Królowi Jęgomości dał zwycięstwo, bo zaprawdę powiadam wam miłościwi panowie, że ciężkie jest życie naszemu królestwu polskiemu z tą żmiją krzyżacką zanadrem.

Umilkł ksiądz opat i wzięwszy kubek z wielkim smakiem miód złocisty popijał. Tedy rycerz Hanko, który był wielce ciekaw wszelakich spraw, po niejakiem milczeniu rzekł:

— Wielmi to dziwne skąd się ci Krzyżacy na naszej ziemi wzięli. Bo slyszałem to jeszcze od moje-

go stryjca, który był mąż stary, bo gadał że ma sto dziesięć lat i z królem Łokietkiem wojował z onemi Krzyżakami, że te ziemie, co je Chełmińską i Michałowską zowią, zawsze były nasze. I skąd się tam one Krzyżaki wzięli? Straszniem tego ciekaw..

— Hm! — rzekł ksiądz opat — skąd się wzięli? Szeroko o tem po starych kronikach piszą. W naszym klasztorze są także kroniki, a najprzedniejszą jest księdza biskupa krakowskiego, błogosławionego Wincentego, co go Kadłubkiem zowią, który przez pokorę i zbożność wielką opuścił swój stolec biskupi i mitrę biskupią zamienił na kapiec mniszą i osiadł w klasztorze ojców Cystersów na Morymondzie pod Jędrzejowa w ziemi krakowskiej. Tam w tych kronikach, które ja nieraz czytałem, jest opisane skąd się oni Krzyżacy na naszej ziemi wzięli, bo dobrze to stryjec waszej miłości, mości rycerzu, gadał, że te ziemie, co je Chełmińską i Michałowską zowią, są nasze a nie krzyżackie.

— Otóż to, otóż to! — ozwał się rycerz Hanko — skądże się zatem oni Krzyżacy na tych ziemiach wzięli? Barzo byłbym wdzięczen waszej miłości, gdybyś raczyła nas prostaczków w tem objaśnić.

Sławek, który siadł sobie w kącie jako chłopię sromięzliwe, nadstawił uszów, bo już miał taką naturę, że rad był zawsze słuchać mądrej mowy. A ksiądz opat poprawiwszy się na zydlu, z wielką powagą począł mówić:

— To, co wyczytałem w starych kronikach, chutliwie to waszym miłościom opowiem, bo i słusz-

na jest rzeczą wiedzieć, co zacz ten nieprzyjaciół, z którym walczyć nam potra. Tedy naprzód wiedzieć należy, że oni Krzyżacy, to jest zakon rycerski, który powstał czasu onych wielkich wojen, które rycerstwo krześcijańskie wiodło z Saracenami i innemi wszetecznemi poganami o grób święty Pana naszego Jezu Krysta w ziemi żydowskiej. Zakon ten niemiecki gwoli tego powstał, żeby się opiekować chorymi i bronić mieczem Ziemi Świętej przeciw niewiernym i za patronów obrał sobie Najświętszą Pannę Marzę ¹⁾ i św Jerzego, a jako ubiór mieli nosić białe płaszcze z czarnym krzyżem, jako dotąd to noszą. Walcząc tedy z poganami zyskali sobie wielką sławę i Pan Jezus im to wynagrodził, jako rycerzom świątobliwym, a chocia Ziemia Święta, za karę za grzechy ludzkie znowu wpadła w ręce niewiernych, i zakon ów braci niemieckich musiał z niej ustąpić, wszelako wielu królów, cesarzy i książąt, chcąc wynagrodzić onych rycerzy za ich waleczność, obdarzyło ich wielkimi ziemiami, grodami, zamkami w Niemczech, w krainie włoskiej, na Węgrach, gdzie osiedli, zamki pobudowali i walczyli z pogaństwem, które jeszcze onego czasu zamieszkiwało ziemię węgierską.

Tu ksiądz opat westchnął żałośliwie, popił miodu z kubka i rzekł:

— Ale wiadomo, jako człek przez szatana, wiekuistego nieprzyjaciela duszy ludzkiej, kuszony, skłonny jest do złego i najzbożniejsze rzeczy psowa.

¹⁾ Pannę Marję.

Tak się też stało i z onymi rycerzami krzyżackimi. Miasto służyć chwale Bożej i krześcijańską świętą wiarę rozszerzać między wszetecznem pogaństwem, oni jeno myśleli o brzuchu własnym i o ziemskich dobrach i zaszczytach. Tedy królowi węgierskiemu, co go Andrzejem zwano, sprzykrzyło się to, ziemie podarowane Krzyżakom odebrał i wygnał ich precz. Tułali się tedy one niebożęta rycerze, nie mając ni-jakiego schronienia, ani zamków i byliby pewnikiem na zawždy upadli, gdyby nie to, że znaleźć mieli przytułek na ziemi polskiej. A było to tak.

Westchnął znowu książdz opat, pogładził się pulchną i białą ręką po żywocie, bo widno znakomity miodek mile ciepło tam rozszerzał, i prawil:

— W one czasy, dwieście lat bez mała temu, siedział na stolcu książęcym w naszej ziemi mazowieckiej, Konrad pierwszy, pradziad naszych książąt dzisiejszych. Był to pan zły a srogi, chciwy a nie mający w sobie ani krzty rycerskiego ducha. Jako to teraz o miedzę od naszej ziemi siedzi Litwa, którą nasz pan miłościwy, król Władysław Jagiello za łaską Bożą z pogaństwa szpetnego na krześcijańską wiarę nawrócił, za co mu wiekuista cześć i chwała niech będzie i nagroda go w niebie czeka, tak i one-go czasu w ziemiach, co je dziś Krzyżacy dzierżą, siedziały wszeteczne narody niewierne, co je Prusami zwano. Narody te chytre a dzikie, bezustanku napadały na nasze ziemie, ludzi ścinały, niewiniątka z łona matek porywały i rzezały niegodnie, wszelaki dobytek zabierały, sioła i grody palily, jednem słowem rzekę, była to klęska okrutna, cią-

giem nad Mazowszem niby chmura czarna gradowa wisząca. A że, jako się rzekło, książę mazowiecki Konrad, nie miał w sobie ducha rycerskiego, tedy żadną miarą nie mógł podolać onemu pogaństwu pruskiemu, ile, że dzielnego męża, wojewodę Krystyna z Gozdawitów rodu, który gromił potężnie one pogaństwo, kazał niegodnie zamordować.

— Tedy cała mazowiecka ziemia ostała bez obro-
ny i jeno jęki tępionych ludków się rozchodziły do-
koła, a pogaństwo pruskie nieustannemi napadami,
przedzierając się cichaczem a skrycie przez bory
i lasy dokuczało okrutnie, zabijało, paliło i rabowa-
ło. Niech Pan Jezus broni co to były za czasy. Nie
szczędzono ani kapłanów służbie Bożej oddanych,
ani niewiast, ani starców i dzieci, ani kościołów
i przybytków Pańskich. Nawet tu do grodu czer-
wińskiego przedarło się ono krwi chciwe pogań-
stwo, i żeby nie mury, co nasz klasztor otaczają
i nie dzielna ręka opata, księdza Rodrigusa, nasze
miejsce, Boga i Bożycy¹⁾ Jezu Krysta, czci poświę-
cone, stałoby się pastwą pogańską i kamień na ka-
mieniu by nie ostał. Wyczytałem to, co waszym mi-
łościom gadam, w naszej kronice klasztornej, którą
chowam pod kluczem w misternej skrzyni, by po-
tomność wiedziała, co nasz zakon dla chwały Bożej
przecirzpiął.

Tu znowu książdz opat westchnął żałośliwie, oczy
wzniósł w górę, jakby dziękował Panu Bogu za te
cirzpienia, które zsyłał na klasztor i nalawszy so-

¹⁾ Syna Bożego, stare wyrażenie.

bie do wypróżnionego kubka złocistego miodu, wypił go krzyżę, mlasnął językiem i rzekł:

— Zaprawdę przedni miód. Sycił go, dziesięć roków temu, braciszek naszego klasztoru ojciec Idzi, który na bezrok powołany został do chwały Bożej. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie.

— Amen! — rzekł grabia Zbyszek.

A ksiądz opat przeżegnawszy się pobożnie znakiem krzyża świętego, mówił:

— Tedy, kiedy taki jeno płacz i lament rozlegał się po całej ziemi mazowieckiej, jeno dym z gorejących siół i grodów nad borami się unosił, użaliło się serce pana Konradowe nad niedolą ludu i wysłał poselstwo do onych tułających się rycerzy krzyżackich z zapytaniem, żali nie osiedliby na trzebieży granicznej od Prusactwa pogańskiego, i nie strzegli nieszczęśliwego Mazowsza od napadów tegoż pogaństwa. Przyrzekał przytem, że da im w nagrodę wieś piękną Orlów co jest na Kujawach i ziemię chełmińską i zamek Nieszawę i wszystkie ziemie jakie zdobędą na pogaństwie pruskiem. Kiedy, będzie temu dwa roki na święty Michał, jeździł w poselstwie od księdza biskupa plockiego do wielkiego mistrza krzyżackiego, co go von Jungingen zowią, do Malborka, to gadał mi i pergaminy z pieczęciami okazywał, że nie tylko ziemię chełmińską, ale i michałowską i całe Kujawy książę Konrad подарował Krzyżakom.

Ale wszelako mnie się to nie widzi i ksiądz biskup plocki zaręczał, że one pergaminy i pieczęcie są wszystkie fałszywe i umyślnie przez Krzyżaków spo-

rządzone, czemu ja wierzę, bo wiem jaka to jest chytrość onych rycerzy, którzy i teraz, jako dawniej na ziemi węgierskiej, zabaczywszy o swem przeznaczeniu zbożnem, jeno o brzuchach swoich myśla, jeno o zdobyczach a panowaniu nad światem. Uciskają oni srodze swe ludy, a na Polskę, która jest narodem krześcijańskim napady czynią i rabunki takie same, jako dawniej niewierne Prusactwo. Oto żmiję i jaszczurkę jadowitą wyhodowaliśmy na naszym własnem łonie i miast pomocy a obrony, mamy jeno krzywdy srogie i nieprzyjaciół okrutnych w onych mnichach rycerzach, a rzekę raczej zbójnikach.

Tu ksiądz opat srogo spojrzal przed się i podniósłszy rękę do góry głosem uroczystym prawil:

— Zaprawdę, zaprawdę powiadam waszym miłościom, że już wypełnił się czas nieprawości krzyżackich i Bóg Wszechmogący i Pan nasz Jezus Kryst srogo ich pokarze i pychę ich ukróci. Będzie temu trzydzieści kilka roków, jak powołaną została do chwały Bożej i światłości wiekuistej w niebiesiech, święta niewiasta, księżniczka szwedzka, Brygidą zwana. Otóż z klasztoru panien zakonnych, który założyła ona w ziemi szwedziej, przyniósł, będzie temu ze cztery lata, nasz brat uczony we wszelakich pismach, Hermanem w zakonie naszym zwany, pismo prorocze tej świętej panienki o Krzyżakach. I tam powiedziane jest, bo sam to na własne oczy czytałem, że już topór przyłożony jest do pnia krzyżackiego i prawa ręka ucięta im będzie i noga prawa im ochromieje, i szczeną oni z ziemi jako złe

nasienie i niewolnikami będą tych, nad którymi przedtem panowali. I ja, choć jest prochem marnym przed oblicznością Pańską i pokornym sługą w Jezu Kryście Bożycu naszym, wszelako rozumiem, że onym toporem według proroczych słów świętej panienki Brygidy, przyłożonym do pnia krzyżackiego, nikt inny nie jest, jeno nasz pan miłościwy, król polski Władysław Jagiello, a onym czasem, w którym prawa ręka usieczona będzie Krzyżakom i prawa noga im ochromieje, jest naszym dzisiajszym czasem. Módlmy się tedy bracia mili, aby się one słowa świętej panienki sprawdziły i by Korona polska zajaśniała dawnym blaskiem i dawną chwałą.

— Amen! — rzekł grabia Zbyszek.

Zapanowało milczenie, bo wszyscy w duszy modlili się, by się słowa świętej Brygidy spełniły, a rycerz Hanko westchnąwszy rzekł, ściskając pokornie za nogi księdza opata:

— Barzo jesteśmy wdzięczni miłociwemu panu, za mądrą naukę o Krzyżakach. Oto już teraz wiemy co to za ród tych panów niemieckich i skąd oni się wzięli na naszej ziemi. I ja tak rozumiem, że już chyba nie byłoby sprawiedliwości nijakiej na świecie, gdybyśmy ich w tej wojnie nie pokonali. Okrutną bo moc i siłę wszelakiego ludu zgromadził król, nasz pan miłościwy, i mnie się widzi, że żadna potęga na świecie, nie dopiero krzyżacka, nam się nie oprze.

— Hm! — odrzekł na to ksiądz opat — rycerskie to słowa, ale też i rycerska zarozumiałość przemawia przez usta waszej miłości, panie wojaku. Pom-

nij wszelako, że jeno pokornym Pan nasz Jezu Kryst daje zwycięstwo. Cóż znaczy wszelka, choćby też największa moc, bez łaski Boskiej? O tę łaskę starać się wam potrza, panowie wojaki, i błagać Pana Jezu Krysta, bo pysznych Pan zawsze pokaże...

Urwał ksiądz opat i spojrzał na rycerza Hanka, który zaczerwienił się jakoby ze wstydu, poczem westchnąwszy popił krzynekę miodu i mówił:

— Nie należy mniemać jakoby Krzyżaków łatwo było pokonać. Wielmi duże jest wojsko naszego miłościwego króla Władysława, ale też i panowie niemieccy nie zasypiali gruszek w popiele. Wiem ja dobrze od naszej braci zakonnej z ziemi krzyżackiej, jak wielkie mistrz zgromadził skarby, jako srodze uzbroił zamki a osobliwie zamek w Malborku, jako z całego świata, co na zachodzie słońca leży, poczynił zaciągi i zaprosił wszelakich sławnych rycerzy. Siła to tam będzie wielka, a chocia niegodnie sobie poczyną wielki mistrz głosząc wszędzie po niemieckiej i frankońskiej ziemi, że Polacy są poganie i że jest to przeciw nim święta wojna, jednak łatwo pokonać się nie da. Dlatego też zawsze mówiłem i mówić będę, że należy z łaską Pana naszego Jezu Krysta do tej wojny przystępować, ile, że jeżeli wielki mistrz łga mówiąc, jakobyśmy byli niewierni, to także nasza rada pana królewska nie postępuje jako się należy.

— Jakże to? — zapytał milczący dotąd grabia Zbyszek — w czymże to przewielebny księżę opacie rada pana królewska krewi?

— A w tem wasza miłości, że jakieś nacje pogań-

skie, jakichś Scytów, co są pomiotem djabłów i czarownic, jakichś Tatarów i inne dzikie ludy, mieszkające nad morzem, co je zowią Pontus Euxinus ¹⁾, ściągnęła na Krzyżaków. Godzi się to, pytam? Żali Krzyżacy nie są krześcijanami i zakonem rycerskim Najświętszej Panny Marzy? żali godną to jest rzeczą krześcijańskiego króla, sprowadzać pogan na krześcijany?

— Nie nasza rzecz jest o tem sądzić — odrzekł na to grabia Zbyszek — mądrzejsze od naszych głowy o tem postanowiły. Pomnij też przewielebny księże opacie, że w radzie pana królewskiej zasiadają biskupi, którzy wiedzą co jest godziwem a co nie.

Ksiądz opat nic na te słowa zrazu nie odrzekł, jeno popił miodu, mlasnął językiem z lubością, pojrzał po obecnych i rzekł:

— Pan nasz, Bożyc Jezu Kryst, nie może błogosławić takiej wojnie, w której niegodne pagany wojować będą przeciw krześcijany...

W tejże chwili rozległ się głos dzwonu z wieży klasztornej, co usłyszawszy ksiądz opat podniósł się mówiąc:

— A otóż i dzwonią na nasze zakonne modlitwy wieczorne. Czas mi iść do chóru. Miło mi było z waszemi miłościami pogadać, ale pora już spóźniona i wasze miłości zapewne chcą się też wywczasować.

To rzekłszy podniósł białą, jako u białogłowy

¹⁾ Morze Czarne.

rękę i począł żegnać krzyżem świętym obecnych, mrużąc po łacinie błogosławieństwo, poczem z wielką powagą i krokiem miarowym wyszedł z izby. Niebawem za nim uczynił to i Hanko i Sławek, pokornie pokłoniwszy się grabi Zbyszkowi z Oleśnicy. Szli tedy razem przez pół ciemne kurytarze klasztorne, po których rozlegały się donośnie ich ciężkie kroki, od czasu do czasu spotykali jakiegoś mnicha w kapicy na głowie, śpieszącego do chóru i dziwną im była cisza wielka, panująca w tych gmachach, wobec wrzawy obozowej. Obaj nic nie mówili, rozmyślając nad tem co słyszeli, aż dopiero kiedy zeszli na dziedziniec klasztorny, Hanko rzekł:

— Widzi mi się, że ten uczony mnich mówił prawdę.

— Niby o tych Krzyżakach?

— Nie! o poganach, co ich Król Jegomość wie-dzie na krześcijany.

Sławek podrapał się po bujnej czuprynie i odrzekł:

— Czy ja tam wiem kaj prawda. Mogę ja to prosty chłop wiedzieć? Ale grabia Zbyszek mądre rzekł słowo, że w radzie pana królewskiej siedzą przecie biskupi, a widzi mi się, że biskup zawsze jest większy od opata.

— Pewnie, że większy.

— Ano... skoro zatem biskupi tak królowi panu miłościwemu poradzili, to ju musi być dobrze i nijakiej w tem złości niema.

Hanko zatrzymał się, zamyślił, popatrzył na gwia-

zdy, które prześlicznie na niebie nikiej złote oczka mrugały, pomyślał, chrząknął parę razy i rzekł:

— Juścić twoja prawda, chłopie. Skoro biskupi, którzy są wielmi więtsi od opatów, choćby też nawet czerwińskich, tak postanowili, to już nie może być w tem żadnej złości, że pogany, Tatarzy i Scyty idą z nami na Krzyżaki. Szpetny to naród, ani słowa, ale skoro biskupi... no, niema o czem gadać. Zawždy usłyszeliśmy mądre słowa, i nauczne historie o tych Krzyżakach. A teraz spać, bo już czas. Kwoczka (tu spojrział na gwiazdy) ma się już wedle północks, a pewnikiem jutro świtanie ruszymy dalej. Ostań z Bogiem.

— Ostańta z Bogiem miłościwy rycerzu.

I rozeszli się. A nad ogniskami szeroko rozsianemi w obozach po górach nad Wisłą, wśród cichącego powoli gwaru, unosiło się senne niebo, usiane złotemi gwiazdami, które zdawały się uśmiechać do wojowników polskich i wróżyć im sławę i chwałę wiekuistą.

ROZDZIAŁ XIII.

W którym Pakosz o mało nie został przez kowalkę obity.

Nazajutrz wczesnym świtem rozpoczęła się przeprawa wojska przez most na drugi brzeg Wisły, pod

wodzą i dozorem pana miecznika krakowskiego Zyndrama z Maszkowic. Droge do mostu ogrodzono kobylicami, ustawiono straze z pacholków marszałkowskich, żołnierzy zaciężnych i rycerstwa, żeby nie dopuścili natłoku i żeby zachowany był porządek. Ogłoszono w obozie przy graniu w trąby, że kto przeciw ustanowionemu porządkowi przekroczy, mieczem karany będzie wedle zakonu wojkowego.

Naprzód tedy miały przejść chorągwie panów koronnych, a mianowicie: ks. Mikołaja z Kurowa, arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Wojciecha Jastrzębca, biskupa poznańskiego, Mikołaja z Michałowa, wojewody sandomierskiego, Jakóba z Koniecpola, wojewody sieradzkiego, Iwana z Obichowa, kasztelana śremskiego, Jana Ligęzy z Bobrka, wojewody łęczyckiego, Andrzeja z Tęczyna, kasztelana wojnickiego, Krystyna z Kozieglów, kasztelana sandeckiego, Zbigniewa z Brzezia, marszałka koronnego i Piotra Szafranca z Pieskowej Skały, podkomorzego krakowskiego.

Po tych dziesięciu panów koronnych chorągwiach, miała wyruszyć harmata pod nadzorem samego pana miecznika Zyndrama z Maszkowic. Po harmacie miała przez most iść piechota województw zaciężna i chorągwie cudzoziemskie, czeskie, pod komendą Jana Żyżki z Trocnowa, morawskie, śląskie, węgierskie; po nich chorągwie województw i ziem koronnych, mając na czele swych wojewodów; potem wozy i czeladź obozowa, a na samym końcu znowu chorągwie panów i wielmożów koronnych, jako to: pana Jana z Tarnowa, wojewody krakowskiego, Sę-

dziwoja Ostroroga, wojewody poznańskiego, Klemensa z Moskorzewa, kasztelana wiślickiego, Wincentego z Granowa, kasztelana i starosty wielkopolskiego, ks. Mikołaja Trąby, podkanclerzego, Gniewosza z Dalewic, stolnika krakowskiego, Dobiesława z Oleśnicy, Spytka z Jarosławia, Marcina ze Sławska, Dobrogosta z Szamotuł, Jana Wężyka z Dąbrowy, Mikołaja Kmity z Wiśnicza i Zakliki z Korzkwi.

Taki porządek otrąbiono w obozie i srogo przykazano trzymać się go pod karą miecza. Zabroniono wszelakiego tłoku, a przez most nakazano jechać stępą, wolno i uważnie. Król Jegomość wysłuchawszy mszy św. w kościele klasztornym, siadł na koń i otoczony panami koronnymi i poczem wybranego rycerstwa, między którym jak zawsze znajdował się grabia Zbyszek z Oleśnicy, Hanko Ostojczyk i Sławek Warcholak, jako przystaw królewski, stanął na górze nad Wisłą, by patrzeć jak bez on misternie zbudowany most wojsko przechodzić będzie.

Poranek był chłodny i od Wisły wiatr wiał przejmujący i wielkie mgły przewalały się nad wodą, tak że zrazu nic nie było widać, jeno z głębi tej białej mgły dochodził gwar ludzki, rżenie koni, nawoływania, szum głuchy. Ale niebawem z poza borów siniejących od wschodu, rozbiło się ogromne, czerwone jak krew słońce, wyzłociło świat i rozpędziło one mgły mętne. Tedy widok jaki przedstawił się oczom królewskim i panów kole Jagielly zebranym, miał coś wspaniałego w sobie, coś takiego, czego jak Korona polska Koroną, żaden człek jeszcze

nie oglądał. W nocy wycięto wiklinę i wierzby na kępie Śladowskiej, żeby nie tamowały przejścia wojsku, tak że całusieńki most widać było jak na dłoni, a z drugiej strony Wisły, ogromne, jak okiem zasięgnąć obozowisko, pełne ludzi, koni, wozów, płacht różnobarwnych, zbroi lśniącej pod blaskiem porannego słońca jak roztopione złoto lub srebro.

Na kępie, tuż przy moście stał na koniu mąż wysoki i chudy, bez broni, w żupanie płóciennym, i jak gadali znajomi rzeczy, był to mistrz Jarosław, ten, który ów most misterny zbudował. Niespokojnie kręcił się on na koniu, wydawał rozkazy oryłom, którzy z bosakami stali na łodziach most podtrzymujących, a między którymi sokole oko Sławka dojrzało swych drużków Dobka, Stańka i Jacka Gamajdę. Przy mistrzu Jarosławie zjawił się też wrychle pan starosta radomski Dobrogost Czarny z Odrzywoła i cosik gadali ze sobą, rękami machali i oryłom przykazy różne dawali.

Tu w poczcie królewskim wielka cisza panowała, jeno wiatr miotał chorągwią królewską z orłem białym, a z sąsiedniego wirydarzyka klasztornego dochodził świergot ptastwa, a z łąków zboża, co za klasztorem tuż złocić się już poczynalo, skowronek ćwierkał wesoło i przepiórki się nawolywały.

Nakoniec tam na drugim brzegu zaroilo się jak w ulu i chorągwie ruszyły. Szły w wielkim porządku, ozłoczone słońcem, lśniące od hełmów, zbroi, kopij, u których proporczyki wiatr miotał, a nad nimi rozwijały się ogromne płachty herbowe, czerwone, modre, złote i białe. Naprzód szedł chorągży ks.

arcybiskupa gnieźnieńskiego, dźwigając na drzewcu chorągiew Poraitów, róża biała w czerwonym polu, i w ciszy, która tu koło króla drzemała, omal sły-chać nie było łopotania wiatru w tę zwijaną i roz-wijaną purpurą lśknącą chorągwie. Za nią na dziel-nych koniach, w burki rysie i tygrysie przybrane rycerstwo, z pawimi piórami na hełmach lub róż-nobarwnemi paciorkami, zakute w zbroje szmelco-wane, postępowało groźnie i sfornie. Widok był przepyszny i Sławek czuł jak mu serce bije i duma jego kmiecią pierś rozsadza, że ta Korona polska ma takie świetne, takie dzielne rycerstwo. Na łbach końskich chwiały się kiły wspaniałe, ogromne ko-bierce złotem nabijane pokrywały je całkiem. Zie-mia mazurska dudniła i drżała z radości, że dźwiga swych synów na cześć i chwałę swoją, na zwycię-stwo i triumf. Szedł od nich chrzest i brzęk, konie rżały radośnie i nagle z tysiąca piersi zabrzmiał po-tężny hymn:

Boga Rodzico, Dziewico,
Bogiem sławiona Maryjo!

I biegł swą nutą jękliwą przez płowe wody Wisły, przez pola żytem wysrebrzone, przez lasy sine i ko-nał gdzieś daleko pod jasnym słońcem polskim, pod błękitnem niebem mazurskiem. To Polska szła, szła polska Korona święta na zwycięstwo, na życie świetne, długie, Jagiellońskie życie, promienne chwa-łą nieśmiertelną. Król usłyszawszy pieśń, zdjął koł-pak z głowy i zęgnął się zbożnie i cały jego poczet

stał z odkrytymi głowami wsłuchując się w tęskliwą nutę pieśni polskiej. I z tym śpiewem rycerstwo wkroczyło na most i wszystkim w orszaku królewskim dech w piersiach zamarł, ażali ten most zdierży na sobie tak srogi ciężar ludzi, zbroi i koni. Ale most uginał się, chwiał, łodzie zanurzały się nieco, fale rzeki pod tym ruchem rozбивały się i głośno pluskały, wszelako trzymał się mocno i widną było rzeczą, że stokroć większy ciężar udźwignie bez niejkiej szkody dla siebie. Tedy król był wielce uradowany i jego chłodne, jakby zastygłe lice nagle ożywiło się, bystre, przenikliwe oczy biegać niespokojnie poczęły i wołał grubym głosem, by mu mistrza Jarosława sprowadzono.

I podczas kiedy chorągwie rycerskie wolno, wśród rozgłośnego tupotu koni po drewnianym pomoście przechodziły, Król Jegomość dziękował mistrzowi Jarosławowi i gadał z ruska:

— Hroszy ci dam i imienie ci dam, a ksiądz kancler niech zaraz hramotę wypisze i pieczęć naszą królewską przyłoży na podarowanie tobie, mistrzu Jarosławie imienia. Ty wielikoje dzieło zdziałał i łaskę naszą masz królewską.

Ksiądz podkanclerzy Mikołaj Trąba zaraz też ruszył do klasztoru Czerwińskiego, by ową „hramotę“ królewską dla mistrza Jarosława wygotować.

A chorągwie rycerskie tymczasem szły i szły, aż król napatrzywszy się dosyta na ten widok nad widokami, zawrócił z panami rady koronnemi do klasztoru, a Sławek z koniuszemi pana królewskiemu zając się musiał wyborem koni, które miano rozsta-

wieć aż do Krakowa, na wypadek, czego Boże broń, gdyby potrzeba było z pola bitwy króla uprowadzić przed pościgiem zwycięskich panów niemieckich. Oglądano tedy konie, których do tysiąca aż z Rusi ściągnięto, brakowano jedne, przyjmowano inne, oznaczano wsie i grody, w których stać miały, co cały dzień jeden i drugi zajęło. Dla samego króla z tych tysiąca koni wybrano żartkiego żrebca, ulubionej przez Jagiellę cisawej maści, ze strzałką na czole i okrytego kocami oddano pod szczególny nadzór koniuchom, bo na tym koniu król w dzień walnego boju siedzieć będzie.

Tymczasem wojsko przez most przechodziło i przechodziło. Całe trzy dni trwała ta przeprawa, taka ogromna moc rycerstwa i zbrojnych zebrana była na tę wielką, jak ją zwano, wojnę. Na kilka mil wokoło Czerwińska zaległo obozem to wojsko i świat nic podobnego nie widział, chyba czasu onych wędrówek dzikich narodów, o których stare kroniki piszą. Ale porządek tu był wielki, bo srogą ręką dzierżył hetmańską władzę pan miecznik krakowski Zyndram z Maszkowic; jakiegoś zaciężnego Wołocha, który zrabował kmiecia pod Czerwińskiem, obwiesić przykazał na gałęzi drzewa i na postrach innym trupą zdejmować zabronił.

Czwartego dnia dopiero świtaniem wyruszył król z tem ogromnem wojskiem ku ziemi krzyżackiej. Posuwano się na wieś Żukowo, wśród wielkich upałów; zdawało się, iż żywy ogień z nieba leci, tak, że rycerstwo po większej części zbroje zdjęło i na wozy je pokładło, jeno w lekkich jakach i myckach

jechało. Droga piaszczysta, z której olbrzymie chmury kurzu się podnosiły, szła przez rzadkie dąbrowy, przez pola uprawne, szumiące kłoszącem się żytem, bo kraj to był bardzo ludny i wielkie bory dopiero za Żukowem ku Górze się poczynaly.

We wsi Górze, gdzie pierwszy nocleg przypadł, przyłączyli się do wojska królewskiego Mazury ze swymi książętami Januszem i Ziémowitem. Moc tego była wielka, a przeważnie piechota, bo rozrodzoną szlachtę mazurską niestać było nieraz na konia i zbroję. Szli tedy Mazury w szarych kubrakach, niekiedy w jakichś króla Ćwieczka pamiętających zardzewiałych blachach, od stu lat gdzieś w lamusie lub na strychu leżących i za gniazdo dla kur służących hełmach, podobnych raczej do garnków jak do rycerskiej zbroi, z mieczami niekiedy bez pochwy, z ogromnemi lukami na plecach, z okrutnemi włóczniami, toporami, ale wszystko chłop w chłopa, barczyste, sękate, jak pień nabite, o licach ogorzałych, groźnych, wąsatych.

Taka krzepa biła od tych ciężko stąpających w sfornym szyku Mazurów z pod Myszyńca, Łomży, Przasnysza, od tych panów braci mazurskich, że zdawało się, że gdyby oparli się plecami o ceglane mury krzyżackiego zamku w Malborku, a swe bycze karki nadęli, to te mury pękną i rozlecą się jak stare płótno zleżale. Aż serce rosło patrzeć na tę półdziką, ale mężną szlachtę mazurską.

Ale jeszcze większe dziwowisko było, gdy posuwawszy się przez Raciąż do wsi Jeżewa, złączono się tutaj z prowadzoną przez kniazia Witolda Litwą

i Rusią i Tatarami. Już po ogromnych chmurach kurzu, od którego słońce i niebo przybrało mętną, miedzianą barwę, poznać było można zdaleka, że jakieś wielkie wojsko się zbliża. Giermek komesa Żelysława z Brzózy, Pakosz, na każdym przystanku i noclegu przemykał się do Sławka, o którym wiedział, że dzięki temu iż stary Warchoł prowadzi wozy z mięsiwem, zawsze ma co jeść, o co w chorągwi braci szlachty Gryfitów dość było trudno, przybiegł i teraz w Jeżewie do Sławka i patrząc na oną chmurę kurzu, gadał:

— Wiesz ty co Sławek?

— Cóż takiego?

— Mnie się widzi, że to Krzyżacy na nas następują.

— Nie żadni to Krzyżacy, jeno Litwa z kniazem Witoldem.

— A ty skąd wiesz?

— Gadał mi o tem grabia Zbyszek z Oleśnicy.

— Taak? ano, skoro tak, to daj co jeść, bom zemdlął z czczości. Tam tym panom Gryfitom jeno kości dają, bo mięso wy tu w przednich chorągwiach zjadacie. Mój pan rycerz Żelysław tak ci brachu skapcaniał, że już nie wzdycha po nocach do nadobnej baronessy Elwiry z Koziego Rogu, jeno śpi jak suseł, a chrapie jak trąba. No, dawaj jeść, bo nim usieknę jakiego Krzyżaka, kopyrtne kaj w drodze z czczości.

— To choć do oćca, dadzą ci tam jaki gnat, a może i gorącą warzę — odrzekł Sławek.

— Idę, a Jewka tam jest?

— A jest, kajżeby była.

Pakosz poczał zakręcać wąsiki do góry, choć le-dwie mu się puszek pod nosem puszczał i przybrał na się srogą, niby rycerską minę i szedł ze Sław-kiem za wieś na pola, kędy stała chałupina jakaś małeńka, kole niej wozy z beczkami mięsiwa i tłumy wojaków, którym stary Warchoł, kowalka, Jewka i kilkunastu pacholków żywność rozdawali. Jewka ubrana w czerwoną chustę na głowie, z pod której jasne jej kosy w warkocz splecione spadały na plecy jak dwa bicz złociste, w modrym gorse-cie i w koralach na szyi, stała na jednym z wozów i śmiała się głośno i zęby szczyrzyła.

Tedy Pakosz przybrawszy rycerską postawę, przekręcił na głowie myckę z sokolem piórem na bakier i przyłożywszy rękę do serca, jak przystało na rycerskiego giermka, wypolerowanego na dworze króla węgierskiego, skłonił się pięknie Jewce i rzekł:

— Nadobna dziewczko, kwiecie lilijowy, różo stu-listna, otom przyszedł do ciebie, byś mnie czem po-siliła, bo już z czczości nijakiej siły nie czuję, ja com na dworze króla węgierskiego bażanty jadał i języki słowicze szafranem a miodem przyprawne. O! dziewczko nadobna, kwiecie lilijowy, różo...

Ale nie skończył, bo Jewka parsknęła głośnym śmiechem i zawołała:

— A co to za cudak!

I śmiała się, szydząc widocznie z rycerskich min Pakosza. Tedy on rzekł:

— Dziewko nadobna, kwiecie lilijowy, róžo studentna, ażali godzi się śmiać z cudzej niedoli? Zali nie wiesz, iż Pan Jezus naucza, iż głodnego nakarmić, pragnącego napoić, nagiego przyodziać, jest uczynkiem krześcijańskim...

— Przecie ty nie jesteś nagi! — zaśmiała się Jewka.

— Alem głodny i spragniony.

I przybierając znowu rycerską postawę i przykładając rękę do serca, mówił:

— Ja na dworze króla węgierskiego kancony piękne nuciłem przy dźwiękach lutnie, tak i teraz na twoją cześć, o dziewczko nadobna...

Wtem stara kowalka, która Jewki z oka nie spuszczała, słysząc te słowa Pakosza, zeskoczyła zwa-wo z woza i chwyciwszy jakiś patyk, przybiegła do giermka i grożąc mu onym patykiem, krzyczeć poczęła:

— Pójdiesz ty mi precz urwipołciu jakiś! dam ja ci tu do Jewki gadać, a wara! nie dla psa kielbasa. Precz, mówię, bo cię zdzieję tym patykiem bez twoje gładkie liczko.

I byłaby się zapewne ta historia źle dla Pakosza skończyła, gdyby się nie był w to wdał Sławek, kowalkę uspokoił, kawał mięsiwa i chleba krajanke dla głodnego wy dostał i na bok go odprowadził, ile że wszystko co żyło rzuciło się oglądać nadchodzącą Litwę z kniazem Witoldem na czele i wielmożami litewskimi.

Było bo i na co patrzeć. Przodem szło konne wojsko litewskie, ale to wobec zakutego w zbroję ry-

cerstwa koronnego lichy i marnie wyglądało. Męże byli krzepcy, choć niskiego wzrostu, jasnowłosi, zarostnicy, groźnie i dziko patrzący, ale siedzieli na małych konikach, brzydkiej ale silnej porody, myśzatej maści, i rzadko mieli zbroje na sobie, jeno skórzane szczyty, wilcze lub niedźwiedzie łby na głowach miasto hełmów, uzbrojeni w krótkie miecze, dzidy, łuki, niekiedy kopje. Koniki ich szły drobnego ale śpiesznego stępa, wzbijając z pod swych kopyt całe chmury pyłu.

Za tą jazdą, której było na kilkanaście tysięcy, szli Żmudzini pod wodzą marszałka książęcego, Rumbolta. Jeźdźców tu było niewielu, może ze trzystu, a reszta, kilka tysięcy ludu, same piechury, chłopcy okrutnie krzepkie, małego wzrostu, ale barczyste, o włosach długich i jak len płowych, ubrane w kozuchy sierścią nawierzch wywrócone, rzemieniem lub arkanem przewiązane, w lipowych postołach, z tarczami skórzanymi na lewem ramieniu, z wilczymi, rysiemi, niedźwiedzimi łbami, miasto hełmów na głowach. Uzbrojenie też było różne i całe dziwaczne. Łuki mieli wszyscy, wielu proce, rzadko bardzo muszkiet niemiecki, ostre topory, pałki nabijane krzemieniami, niekiedy dzidy, widły w ogniu opalone, cepy, tu i owdzie kosy żelazne. Szli w sfornym porządku, okryci kurzem, poglądający błękitnymi ale dzikimi oczami z pod nawisłych krzaczastych brwi, na swego wodza, pana książęcego marszałka Rumbolta, który przejeżdżał ciągle kole swych szeregów, buławą potrząsał i coś krzyczał w ich żmudzkim języku.

Po Żmudzinach szły rotty Smoleńszczan, chłopcy wysokiego wzrostu, ale chuderlawe, w żupanach kraśnych, z wielkimi brodami, niemniej dziko patrzące, uzbrojone w berdysze, kiścienie, łuki, miecze, rzadko w zbroje zakute, czasem jeno w pancerzu skórzanym z tarczami także skórczanemi, w łykowych postołach, zmęczone mocno, opalone słońcem, okryte kurzem ale karne i psią wiernością znamięniete. Po nich na swych wielkogłowych, nędznych ale o żelaznych nogach konikach, waliły bezładną kupą Tatarzynowie, Wołosi i inne dzikie narody, pod wodzą swego carzyka Zeladyna, mającego za sobą tuż ich chorążego, który miasto chorągwi niósł na długim drągu ogon koński i wielkie skrzydło ptasie, a taka chorągiew zwała się buńczukiem. Uzbrojeni byli w wielkie łuki, arkany, dzidy, krzywe szable, a mieli przed sobą muzykę, która biła pięściami w bębenki z dzwonkami, grała na piszczalkach i okrutną wrzawę czyniła. Siedzieli ci Tatarzynowie na kulbakach o wysokich łękach, z nogami skurczonemi od krótkich strzemion, pochyleni, szczerząc białe zęby, łyskając ukośnemi czarnemi ślepiami i patrząc z trwogą i pokorą na swego carzyka i swych starszych, których murzami zwano.

Szło, szło to okrutne wojsko aż do późnej nocy, taka tego okrutna siła była, aż dobrze kole północka opadło nakoniec wielkim obozem dokoła Jeżewa, aż po Radzanów i Szreńsko. Gdyby ktoś wzniósł się jako ptak w górę i spojrzał z takiej wysokości na ziemię, obaczyłby na kilka mil wokoło jeno same ogniska, rojowisko ludzi, zwierząt, wozów,

lśknące się bronie, i mógłby rzec, że pół świata się tu zbiegło, by polską Koronę od panów niemieckich ocalić. A kiedy w nocy Sławek wracając do wsi, w której Król Jegomość na plebanji nocował, spotkał grabież Zbyszka z Oleśnicy i spytał go się, ile też może być wszystkiego wojska, z którym król na Krzyżaków idzie, to grabia Zbyszek odrzekł:

— Pan Zyndram z Maszkowic powiadają, że będzie na sto tysięcy.

— Sto tysięcy, o laboga! — zawołał Sławek.

— Jest to taka okrutna siła — mówił, uśmiechając się grabia Zbyszek — jakiej świat nie widział od czasu onego wielkiego króla perskiego Kserksesza, kiedy szedł wojować Greków, o czym stare kroniki piszą.

Sławek, prawdę rzekłszy, nie słyszał nigdy o królu perskim Kserksesie, ani też o Grekach, ani wreszcie nie mógł pojąć, ile to może być sto tysięcy, wszelako był już teraz pewnym, że przed taką siłą nie już Krzyżacy, ale żaden mocarz ostaćby się nie mógł.

Nazajutrz całe to wojsko ruszyło w drogę ku państwu krzyżackiemu na Radzanów, a niedaleko Zgliczyna przez bystrą rzekę Wkrę się przeprawiano, gdzie już wprzód mosty były postawione przez mistrza Jarosława. Zaraz za Wkrą król wydał przykaz ażeby się zatrzymano i uszykowano należycie, bo chce wojsko obejrzeć. Stały tedy zbrojne szyki, na trzy hufce przedzielone, i król na swym ci-sawym koniu, otoczony poczem samych wielmożów i panów rady koronnej, kniazia Witolda, carzyka tatarskiego Zeladyna i innych, przejeżdżał przed

szeregami lśkniącemi od zbroi, mieczów, kopij, dzid i berdyszów, i widać było na chłodnem, jakby skamieniałem obliczu królewskiem jako rad był wielce, choć nie nie mówił, aż dopiero przyjechawszy do swych dzikich Żmudzinów uśmiechnął się do nich i coś zagadał grubym głosem, na co oni okrutnym krzykiem i potrząsaniem swych pałek krzemieniami nabijanych, odpowiedzieli.

Po tym przeglądzie ruszono dalej ku Żurominowi gościńcem piaszczystym, wśród upału nieznosnego i nieznosniejszego kurzu. Ale że dotąd wojsko, chociaż z tylu rozmaitych narodów zebrane, nigdzie nie dopuściło się żadnego gwałtu, bo srodze to było zakazane, a nawet pan Zyndram przykazał był pod Czerwińskiem powiesić jakiegoś Wołocha czy Rusina za rabunek, to teraz nagle ujrzano po obu bokach drogi wznoszące się ognie i dymy bijące w niebiosy. Zrobił się huczek niemały i książę Witold, któremu, jak powiadano, król oddał najwyższe nad całym wojskiem hetmaństwo, napadł srodze na carzyka tatarskiego Zeladyna, że to jego Tatarzy palą i rabują, bo wiadano, że zagony ich szły bokiem głównego wojska dla bezpieczeństwa, bo już znajdowano się niejako w obliczu nieprzyjaciela.

Tedy carzyk Zeladyn wpadł w srogi gniew i ryczał jak wół, a swoich murzów począł prać po łbach buławą, i rozesłał ich na wszystkie strony, by one pożary stłumili a winnych na stryczkach przed jego cesarską mość przywiedli. Rzucili się tedy murzowie jako psy gończe, a Sławek, który na to pa-

trzął, myślał sobie, jaki to w tym narodzie jest posłuch wielki i poszanowanie przed carem, kiedy on swych wielmożów i radę carską prac może połbach, jak prostych pacholków.

— U nas to tego niema — gadał do rycerza Hanka Ostojczyka.

— Bo to bywa tylko u dzikich narodów — odrzekł Hanko — ale godziłoby się i u nas podczas takie porządki zaprowadzić, byłoby może lepiej i swarów by nijakich nie było.

Tak sobie gadają i czekają obaj co to z tego gniewu carzyka Zeladyna będzie, aż tu nie upłynęło i trzech pacierzy, gdy poczynają się pojawiać na spienionych koniach murzowie, a każdy z nich wie-dzie na arkanie Tatarzyna, z wytrzeszczonemi od przyduszenia oczami. Car Zeladyn na ten widok wpadł w taki gniew, że czarny się zrobił jak smoła, skoczył, krzycząc coś w swym języku i tak silnie trzął buławą w łeb jednego ze schwytanych, że czaszka mu pękła jak skorupa i mózg z krwią zmieszany prysnął dokoła. Resztę onych arkanowych jeńców, których murzowie ciągle sprowadzali, aż ich przeszło dwudziestu się zebrało, kazał oddać księciu Witoldowi. Ten spędził ich pod kilka grusz polnych i przykazał im surowo, by się sami powywieszali. Z wielką pokorą, nie rzekłszy ani słowa, padając twarzą na ziemię i przykładając ręce do serca, pokładli sobie sami stryczki na szyję, poprzywiązywali je do gałęzi i zeskakując z tych gałęzi, śmierć sobie zadawali. Wzbudziło to wielki podziw

w całym wojsku, ale rabunki i pożary ustały, a Tatarzy gadali:

— Car Witold, wielki car!

Nakoniec dn. 10 lipca przekroczono rzekę Drwęcę, która po wsze czasy była granicą polską od ziemi panów niemieckich i całe wojsko polsko-litewskie znalazło się w państwie krzyżackiem. Podniesiono i rozwinięto wszystkie chorągwie, które lekki wiatr z głośnym łopotem całował. Król w zbroi srebrzystej chwycił wielką chorągiew z białym orłem w koronie złocistej, misternie wyszytym na czerwonym polu, wjechał na wzgórze, a całe rycerstwo zagrzmiało zbożną pieśń polską.

Boga Rodzico, Dziewico,

Bogiem sławiona Maryjo!

—————

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Pakosz usiekl komtura Henryka i ocalił Jewkę.

Dnia 13 lipca 1410 r. ogromne wojsko polsko-litewskie, zdobyło leżący na jego drodze zamek Dąbrowno, przez Niemców Gilgenburgiem zwany, gdzie znaleziono znaczne zapasy żywności, z czego srodze się ucieszył Pakosz, bo ciągle głodował wśród braci szlachty Gryfitów. Oni bowiem najpierwsi dostali się do zamku, a z nimi Pakosz i obficie zaopatrzyli się w słynne wędliny niemieckie, piękne białe chleby,

całe polcie słoniny i inne przysmaki. Resztę żywności na rozkaz Bieniasza Wierusza, ochmistrza dworu królewskiego, stary Warchoł, przełożony nad beczkami z mięsiwem, zapakował w te beczki, w czym raczej głosem niż rękami dopomagała mu kowalka i Jewka, którą ujrzawszy Pakosz, syty teraz, znowu porównywał do białej lilijki, do róży stulistnej, z czego dziewczka się śmiała, cudakiem go nazywała, a stara kowalka tak groźnie na Pakosza spojrzała, że ten przypomniawszy sobie niedawne z nią spotkanie, stulił uszy i wyniósł się jak niepyszny do swoich Gryfitów.

Dotychczasowa piękna choć upalna pogoda, nagle w nocy z dn. 14 na 15 lipca zmieniła się zupełnie. Już wieczorem, kiedy część wojska, Litwa i Tatarzy ruszyli dalej ku jezioru Lubieńskiemu, poczęły się gromadzić czarne chmurzyska na niebie, wiatr chłodny się zerwał i niebawem deszcz lunął. Całą noc wietrzyisko wyło i lało jak z cebra, a choć raniem wypogodziło się nieco i słonko z poza chmur wyjrzało, jednak wichur był tak silny, że gdy przed wyruszeniem w dalszą drogę całego wojska, Król Jegomość przykazał namiot rozbić, by mszy św. wysłuchać, to żadną miarą nie można było tego dokonać, tak wiatr miotał płótnami i kolki obalał. Król był bardzo z tego niezadowolony i koniecznie przykazywał, aby namiot rozpięto, gdy nagle zjawił się kniaź litewski Witold, i pokłon uczyniwszy kołpakiem królowi, mówił:

Racz wasza królewska mość, miłościwy panie, odłożyć na później nabożeństwo, i ruszyć z wojskiem

w drogę, bo mi dopiero co podsłuchy tatarskie doniosły, że wielki mistrz z całą siłą krzyżacką następuje ku jeziorowi. Oto przed nami wielkie lasy leżą i tam łacniej będzie namiot rozbić i nabożeństwo odprawić, nie tu na takim okrutnym wietrze.

Król z widoczną niechęcią tych uwag wysłuchał, mruczał coś pod nosem, ile, że gadali komornicy jego, że dzisiaj przypadkiem lewą nogą z łoża wstał, co za zły znak uważał i gwoli tego lękał się bez nabożeństwa w drogę wyruszyć, żeby go jakie nieszczęście nie spotkało. Ale niebawem nadbiegł też carzyk tatarski Zeladyn i potwierdził słowa księcia Witoldowe, że okrutna siła krzyżacka następuje. Wydał tedy król rozkazy, by ruszono naprzód.

Słońce tymczasem wzbilo się ponad bory i złociłą poświatą zajaśniał ten dzień wiekopomnej chwwały polskiej. Posuwano się powoli po rozmokłej nieco od nocnego deszczu ziemi, i zagłębiono się w duże lasy, stare więc przejrzyste, przeważnie dębina i brzezina zarosłe. Słońce dopiekało mocno, jako zwyczajnie bywa po deszczu, acz wicherzysko chłodziło rozpalone lica rycerstwa, które przywdzawszy od rana zbroje i hełmy, by każdej chwili być w pogotowiu do boju, pociło się mocno pod tym rynsztunkiem bojowym. Ale na szczęście pochód teraz nie był długi. Uszedłszy około dwu mil, na skraju onych rzadkich, ale gęstym liściem pokrytych lasów i gajów, król kazał się zatrzymać i obóz zatoczyć w cień odwiecznych dębów, brzoź i leszczyny.

Przed obozowiskiem polskim rozciągała się obszerna równina, naga zupełnie, tu i owdzie zielenią

traw świecąca, pełna stawów i kałuż, dookoła otoczona niskimi wzgórzami, na krańcach których widniały strzechy dwu ubogich wiosek Grunwaldu i Tannenberga. W połowie odległości między rozkładającym się gwarnem obozowiskiem wojska polskiego, a temi wsiami, zieleniała kępa sześciu ogromnych dębów. Obóz rozłożono szeroko, bo i miejsca było dosyć w tej pustynnej okolicy, tak, że kończył się on u brzegów jeziora Lubieńskiego, z którego sitowi, spłoszone tętentem koni, wozów, wrzawą ludzką, zrywały się całe stada kaczek i kurrek wodnych, a nawet żórawi i czapli. Litwa ze Smoleńszczanami, Wołoszą i Tatarstwem rozłożyła się prawie u brzegów tego jeziora i poczęła strzelać z luków one kaczki i kurki, i wogóle okrutnie wrzaskliwie się zachowywała.

Król Jegomość nie miał zamiaru długo tutaj w tej lesistej, pustej i jak step jałowej okolicy obozować, jeno tyle ile potrzeba było na odprawienie nabożeństwa, które mieć chciał koniecznie, bo, jak powiadali komornicy, lękał się nieszczęścia z powodu, że z łoża wstał dzisiaj lewą nogą. Gwoli też tego na wzgórku nad jeziorem rozpięto namiot kapliczny i król oddał się w nim zwykłym swoim modłom. Sławek korzystając z tego wypoczynku, głodny, bo jeszcze nic w ustach od rana nie miał, zamierzał ruszyć do ojca, do wozów z żywnością, gdy zjawił się przed nim Pakosz i zapytał:

— Hej Sławek, nie pojedziesz do swego oćca?

— Pojadę.

— To i ja z tobą, bom ci czczy brachu, że już pas rycerski ze mnie opada.

— A la czego sam nie jadziesz?

— Pojachalbym ci ja, ale się bojam tej starej czarownicy kowalki. Baba se coś do mnie upatrzyła i ciągiem mi drapaką grozi, a nie rycerska to rzecz wojować z babami.

Sławek się śmiał, a wtém nadszedł rycerz Hanko Ostojczyk i mówi:

— Nie wiesz ty Sławek gdzie są wozy z żywnością?

— Nie wiedziałbym to? przecie tam mój ociec ma nad nimi przelożństwo.

— Prowadź-że mnie tam, bo przed bitwą radbym się pokrzepić jedzeniem.

Pojechali tedy samotrzeć. Kawał to drogi było do tych wozów, bo Warchoł lękając się dzikich Tatarzynów, odsunął się od wojska zdaleka i stanął taborem w małym gaju, tuż nad jeziorem, i właśnie ognie rozpalono i sagany stawiać przy nich kowalka zaczęła, by krup ze sperką uwarzyć, a Jewka siedziała sobie na beczce i serek zajadała i zęby szczyrzyła, a śmiech jej srebrny rozlegał się wśród gaju. Kowalka ujrzawszy Pakosza, który obyczajem swoim, zadział mykę z sokolem piórem na bakier i miny stroił, krzyknęła:

— Jużes tu je nicponiu? czegoś tu się włóczysz? jeno patrzysz kaj się z garczka kurzy żarłoku.

A Pakosz zląwszy z konia i przywiązując go do drzewa, mówił:

— Nie sierzdźta się cna białogłowo, bom oto nie sam tu przyjechał, ale je ze mną przystaw pana królewski, przezacny Sławek Warcholak i też godny rycerz pan Hanko Ostojczyk.

Tedy kowalka umilkła i gdy Sławek powiedział po co tu przyjechali, zwróciła się do Hanka i uśmiechając się oblesnie, bo respekt wielmi miała przed każdym rycerzem, rzekła:

— Niech wasza miłość chwilkę poczeka, zaraz się warza ugotuje i ciepłą strawą waszą miłość nakarmię. Sławek, leć do oóca, niech dadzą z wozów mięsiwa i sera i chleba białego, a też piwa dzban, bo takiego rycerza godnie przyjąć należy.

Siadł tedy Hanko i Pakosz na obalonej brzezynie i czekali na oną strawę, a Sławek pobiegł do ojca, który tuż nad jeziorem, o kilka stajań, w kępie gęstych krzów olszowych, ukrył się ze swemi beczkami. Za tą kępą olszyny poczynął się step martwy, bylicą i zielskiem wszelakiem zarosły, ale widok nie był daleki, bo zasłaniało go piaszczyste wzgórze, jałowcem porosłe. Słońce dopiekało mocno, a choć wiatr nie był tak dokuczliwy jak w nocy i rano, szumiał przecie po olszynie i marszczył szklistą tafłę jeziora. Miało się już ku południowi i słońce było dość wysoko, i cisza tu senna była, którą jeno zakłócała daleka wrzawa obozowiska polskiego, a na nagiej przestrzeni stepu powietrze skwarzyło się w słońcu i złocistemi igielkami błyszczało.

Stary Warchoł leżał w cieniu na trawie i odpoczywał, i gdy mu Sławek powiedział po co przyszedł, niechętnie się podniósł i gadał:

— Wy ta jeno ciągiem o jedzeniu myśłita.

Ale nie wstał, tylko usiadł sobie i poczał się wy-
pytywać o króla, o panów, o Krzyżaków i dziwił
się, że choć wojsko polskie tak daleko zaszło w zie-
mię niemiecką, jednakże Niemców nikaj nie widać.

— Pewnikiem tchórz ich obleciał — kończył —
i nie dziwota, bo może się to tko takiemu wojsku,
takiej okrutnej mocy oprzeć? Ju ta pewnikiem przez
bitwy Król Jegomość ziemię niemiecką zawojuje,
a i lepiej, boć szkoda marnować tyła dzielnych wo-
jaków i krwi krześcijańską rozlewać.

Westchnął, siedząc ciągle na trawie, a Sławek choć
radby jak najprędzej wrócić, nie śmiał ojcu przery-
wać. Stary tymczasem gadał:

— Ukryłem się tu w gęstwinie, żeby mię te psy
pogańskie Tatarzy nie zwąchały. Nocką ci ich kil-
kunastu napadło na wozy, alem się obronił i dwu
chwycilem, których dzisiok rano ich starszy obwie-
ścić przykazał. Znają oni okrutny posłuch, co praw-
da, to prawda, ale strasne rabuśniki i pogany.

Przerwał, spojrział na Sławka i zawołał:

— He! chcesz mięsa, chleba i piwa?

— Tak tatulu... kowalka mię przysłali.

— Kowalka! kowalka! baba wyszczekana, ale Jew
ki dobrze pilnuje. Kłopot jeno srogi mam z tą dzie-
wuchą, bo slychana to rzecz, żeby dziewczki na woj-
nę chodziły, ale uparła się, cóż było robić?...

Poczał się podnosić ciężko i stękać i gadać.

— W krzyżu mię coś strzyka...

Podniósł się przecie, a Sławek stał i patrzył na on

step martwy za olszyną i na ono wzgórze żółtym piaskiem pokryte, jak wiatr co chwila porywał tam piasek, kręcił nim, roznosił go i harce wyprawiał między krzami jałowca.

Wtem kiedy tak patrzy, coś między tym jałowcem zamigotało, ni to zbroja, ni to miecz, bo blask oślepiający od niego padał. Żeby lepiej widzieć, Sławek przysłonił oczy dłonią i zdrętwiał ze zdziwienia i strachu. Całe ono wzgórze piaszczyste zaroilo się konną gromadą zbrojnych nie rycerzy, ale żołdaków najemnych, knechtów, jak ich Miemcy zwali. Było ich może z piętnastu: siedzieli na ogromnych, ciężkich koniach, ubrani w łosiowe kaftany, w hełmy żelazne bez ozdób, uzbrojeni w długie dzidy i proste miecze u boku. Na ich czele jechał Krzyżak, w zbroi lśniącej, w hełmie z pawim grzebieniem, okryty białym płaszczem z wyszytym na nim czarnym krzyżem. Tuż przy nim jechał giermek w pstre szaty przybrany, dźwigający dwa nagie miecze.

— Komtur tucholski, Henryk! — krzyknął Sławek przerażony, bo nagle sobie przypomniał, co o tym komturze opowiadał w puszczy Jedlniańskiej królowi dziad postrzegacz i komes Żelisław z Brzozy.

Stary Warchoł, idący wolno ku beczkom nie zwracał uwagi co się tam na martwym stepie dzieje, nie więc nie widział, ale usłyszawszy krzyk Sławka, zapytał:

— Czegój się drzesz?

— Miemcy idą! — wrzasnął Sławek — uciekajta tatulu!

Stary Warchoł nieodrazu zrozumiał słowa syna. Zatrzymał się i zapytał:

— Co? Miemcy? kaj Miemcy?

A widząc szeroko rozwarłe oczy Sławka w step wpatrzone, spojrzał tam także i zrozumiał wszystko.

— Uciekaj! — krzyknął na syna, a sam skoczył jak oparzony, rażno, jakby mu pięćdziesiąt lat ubyło, chociaż go przed chwilą strzykało w krzyżu, pod ogromny wóz i tam ległszy na czworakach, zakrył się ogromną plecionką ze słomy, którą beczki przykrywano.

Sławek, widząc ojca tak dobrze ukrytego, chciał zrazu to samo zrobić, ale przypomniawszy sobie Jewkę, Hankę Ostojczyka i Pakosza, bezpiecznie i spokojnie gadających koło ognia, rzucił się, by ich ostrzec. Czas już był wielki, bo knechty obaczywszy dym od ognisk, konie pasące się na trawie, wozy w gaju, z krzykiem i wrzaskiem cwałem rzucili się naprzód, spuściwszy swe dzidy jak do klucia ludzi, a na ich czele pędził komtur Henryk mając kole siebie giermka z dwoma nagiemi mieczami. Na szczęście jeźdźcy nie mogli przedrzeć się przez gęste krzaki olszyny i musieli ją okrążyć, tak, że Sławek zyskał tym sposobem na czasie, mógł dopaść do swoich i ostrzec ich o grożącym niebezpieczeństwie. Ale już byli oni na nogach, bo parobcy kole taboru będący, dostrzegli pędzących knechtów niemieckich i wrzask okrutny uczynili, uciekając na wsze strony, a Niemcy już tego i owego dopadli i dzidami zakłuli, lub mieczem zasiekli.

Kiedy Sławek przyleciał do ogniska, już Hanko Ostojczyk siedział na koniu i oglądał się dokoła takim wzrokiem, jakim patrzy zgłodzony jastrząb, gdzie jest ofiara, którą w szpony swe ma uchwycić; Pakosz drapał się na swego żrebca, który niespokojnie się rzucał, spłoszony krzykiem parobków i wrzawą, stara kowalka stała wyprostowana, dzierżąc jedną ręką tulącą się do niej Jewkę, drugą ogromną warzachiew i mówiła:

— Nie bójta się Jewuś, nie bój! Nie dam cię Miemcom, nie dam!

Gdy się to dzieje, rycerz Hanko Ostojczyk, ujrzawszy knechtów niemieckich, ścigających parobków taborowych i mordujących ich bez litości, spał konia ostrogami i dobywszy miecza, rzucił się naprzeciw wrogów, krzycząc:

— Jezus, Marja, Józef!

Ale już pomoc jego niebardzo była potrzebna. Parobcy bowiem skupili się poza wozami z żywnością, które ich zasłoniły wybornie i chwyciwszy za kłonicę, pałki, widły i topory poczęli dzielny stawiać opór i prać Niemców, aż ich żelazne helmy trzaskały jak stare garnki gliniane. Pojawienie się Hanka, rąbiącego na prawo i lewo, powstrzymało ostatecznie gwałtowność nacisku niemieckiego.

Przez ten czas Pakosz uporał się ze swym brykającym koniem i wdrapał się na niego a widząc lecącego na Niemców Hanka, skoczył za nim; ale w tejże chwili usłyszał za sobą straszny krzyk Jewki i kowalki. Zatrzymał konia, obejrzał się i oto co

ujrzał: naprzód Sławka, który drżącemi rękami usiłował odwiązać od drzewa szarpiącego się konia, a potem zaraz wpadającego komtura niemieckiego Henryka wraz ze swym giermkim, niosącym dwa nagie miecze.

Komtur w złocistym helmie na głowie, z grzebieniem z piór pawich, odziany białym płaszczem, który wiatr wydymał, wpadł na kowalkę i tulącą się do niej Jewkę, którą chwycił za rękę, i chciał ku sobie pociągnąć. Jewka zaczęła się szarpać i krzyzczeć w niebogłosy:

— Sławek ratuj!

Ale Sławek w żaden sposób jakoś nie mógł odwiązać swego konia i nieść pomoc swej siostrze, zato kowalka niewiele myśląc tak trzasnęła komtura olbrzymią warząchwią, którą trzymała w ręku, że warząchiew rozleciała się na drzazgi, a komtur zachwiał się na koniu. Zaklął on po niemiecku głośno i widać wściekłość go ogarnęła, bo podniósł ogromny prosty miecz i uderzył nim kowalkę. Na szczęście, czy ogłuszony uderzeniem warząchwi, czy prostym wypadkiem, miecz zwinął się w jego rękę i płazem jeno padł na głowę dzielnej niewiasty, która zatoczyła się, puściła Jewkę i trzepocząc rękami i nogami jak zarżnięta kura, wrzeszczała w niebogłosy:

— Zabił mnie psiawiar! zabił, reta! ludzie, reta!

Komtur tymczasem schwycił żelazną ręką skamieniałą z przerażenia Jewkę i z ogromną siłą podniósł ją i umieścił przed sobą na koniu. Dziewczyna krzy-

czała, szarpnęła się parę razy, wreszcie umilkła i zwi-
sła na łęku kulbaki jak nieżywa. Komtur zawrócił
konia i cwałem ruszył zpowrotem, wraz ze swym
pstrokato ubranym giermkim, dwa nagie miecze
dźwigającym. Ale już pędził za nimi, co jeno koń
mógł wyskoczyć Pakosz z podniesioną do cięcia sza-
blicą, krzycząc:

— Stój Miemcze, bo cię usieknę!

Nakoniec i Sławek zdołał odwiązać swego konia,
skoczyć na niego, dobyć szablicy i widząc ucieka-
jącego z Jewką komtura, puścił się za nim, wrze-
szcząc:

— Nie bój się Jewuś! jestem tutaj, nie dam cię
Miemcowi!

A kowalka ciągiem leżała na ziemi, trzepiąc rę-
kami i nogami i krzycząc:

— Zabił mnie na śmierć, reta, ludzie, reta!

Komtur wysforował się już na pusty step z po-
między krzów i pędził co jeno sił miał jego koń
ogromny, oglądał się co chwila i krzyczał coś po
szwabsku do swego giermka. Wszelako ucieczka ze
zdobyczą była niepodobna. Koń Krzyżaka był cięż-
ki, flamandzki rumak, dźwigał na sobie okrutnego
rycerza, całego w stal zakutego i Jewkę ciągiem ci-
chą i jakoby nieżywą, podczas gdy Pakosz cwało-
wał na żrebcu lekkim, nie miał na sobie zbroi jeno
jaką jedwabistą i sam jeden siedział na siodle.
Z każdą więc chwilą był coraz bliżej uciekających
rabusiów, a za nim gnał Sławek, dygoczący z żą-
dzy dopędzenia komtura, ocalenia siostry i po-

mszczenia się za napad. Komtur wydostawał się już na piaszczyste wzgórze, a z boku, nieco dalej cwałowało kilku knechtów, których ścigał Hanko Ostojczyk i cała gromada parobków taborowych, jedni konno naoklep, inni pieszo, a wszyscy z kłonicami, pałkami, toporami, widłami, wrzeszcząc w niebogłosy i mordując bez miłosierdzia każdego Niemca, którego zdołali dogonić. Zdała, z pomiędzy krzów dochodził nieustanny, piskliwy krzyk kowalki:

— Reta ludzie! reta!

Nakoniec Pakosz dopadł giermka, który trzymał się ztyłu za swym rycerzem. Młode to było pachole, z długimi jasnymi kędziorami. Usłyszawszy tuż za sobą tętent konia Pakoszewego i jego gwałtowny oddech, giermek rzucił jeden z trzymanyh mieczów na ziemię, a drugim, zatrzymując swego konia, usiłował się zasłonić. Ale czy miecz był za ciężki na siły pacholęcia, czy też czasu już nie było, dość że szablica Pakosza, ze strasznym świstem padła na głowę giermka, przecięła mu kraśną myckę, rozplątała głowę i pacholę zalewając się krwią runęło z konia na ziemię z krzykiem:

— *O mein Gott!*

Komtur usłyszał ten śmiertelny krzyk swego giermka i czując zapewne, że nie zdoła uciec przed ścigającymi go młodzieńcami z ciężarem, jaki koń jego dźwigał, zatrzymał się, zawrócił czołem do Pakosza w zamiarze stoczenia z nim walki. Ale trudno mu było ruszać się żwawo, dzierżąc w ręku omdlałą

Jewkę. Koń jego zapadał w piasku po pęciny, był mocno shasany, cały potem i pianą okryty, a jeździec mając zdobycz w jednym ręku, w drugim miecz, nie mógł nim kierować, jeno stał nieruchomy, a z pod przyłbicy czarne, dzikie oczy wściekle spojrzenia rzucały na Pakosza, usta zaś miotaly jakieś przekleństwa niemieckie.

Pakosz widząc gotowość Niemca do obrony, oraz jego nieruchomość, nie uderzył nań wprost, bo wiedział, że zakutego w żelazo rycerza, uzbrojonego w ciężki miecz niełatwo będzie mógł pokonać swą szabelką, począł koło niego krążyć, zwijać się na swym rączym żrebcu, czyhając na chwilę sposobną, by na pewno uderzyć. Sławek też dobiegał, potrząsał szablą i krzyczał:

— Nie bój się Jewuś, jestem, lecę by cię ratować!

Pakoszowi okrutnie się chciało przed przybyciem Sławka ubić Niemca, bo naprzód miałby sławę nie-małą, że sam, bez zbroi tego dokonał, że Jewkę, która mu strasznie do serca przypadła, wydarł z łap rabusia, a potem, że prawem zdobyczy wojennej do niego tylko miał należeć koń i cała piękna szmelcowana zbroja komtura. Zwijał się tedy kole Niemca i skorzystawszy z chwili, gdy ten ciężko zawracał konia, by czołem stanąć do Pakosza, ten doskoczył do niego i naodlew jednym cięciem szabli od-rąbał mu głowę, która spadła na piasek z brzękiem hełmu, wywracając strasznie oczami. Z tułowia rabusia niemieckiego krew niby fontanna trysnęła do góry, zalewając białą twarz i jubkę Jewki.

Koń komtura rzucił się szalonym skokiem na-

przód, spał się dęba i naprzód dziewczyna, nie podtrzymywana rękami trupa, runęła na ziemię, a potem bezgłowy tulów Niemca. Zachrzęściła zbroja, ale noga nieżywego komtura uwięzła w strzemieniu i przerażony koń, pozbywszy się ciężaru cwałował ciężko, wlokąc za sobą strasznego, krwawego trupa. Rzucił się Pakosz za uciekającym koniem, chcąc go zatrzymać, a tymczasem Sławek dobiegł do leżącej na ziemi zlanej krwią, nieruchomej i śmiertelnie bladej Jewki, i zeskoczywszy z siodła począł ją podnosić i lamentować głośno a rozpaczliwie, bo myślał, że już nie żyje.

Pakoszowi tymczasem udało się uchwycić rozszalałego konia komturowego, wydobył nogę trupa ze strzemion i trzymając drżące i szarpiące się zwierzę w ręku, wołał na Sławka by Jewkę zabierał i uciekał z nią, bo zdala, ze wzgórza piaszczysiego widać było błyszczące pod słońce szeregi rycerstwa krzyżackiego w odległości może pół mili. Sławek tedy podniósł łamiącą mu się w ręku dziewczynę, umieścił ją na swym koniu i powlókł się wolno ku ognisku nad jeziorem, a Pakosz przez ten czas zajął się zdzieraniem zbroi z trupa komturowego. Przyszło mu to z wielkim trudem, bo musiał jednocześnie dwa konie dzierżyć, trupa podnosić i przewracać, ale nakoniec napociwszy się mocno, dokonał swego, piękną zbroję umieścił na zdobytym rumaku i ruszył piechotą wolno ku krzom olšovym, mówiąc sobie:

— Ciekawym jak tam Jewuś się miewa.

Ale Jewuś miała się dobrze. Kiedy Pakosz przy-

był ze swą zdobyczą do ogniska, przy którym niedawno kowalka krupy ze sperką warzyła, ujrzał Jewkę siedzącą na wozie, popijającą wodę, bladą jeszcze od strachu, ale już uśmiechniętą i błękitnymi oczami patrzącą na Pakosza. Kiedy on na nią spojrzał, pokraśniała jako róża i mówiła:

— Bóg wam zapłać Pakoszu, coście mnie z rąk niemieckich wydarli.

— Owa! — wołał Pakosz — wielga mi rzec usiec jednego Miemca. Nie takie ja rycerskie czyny wyprowadzałem na dworze króla węgierskiego, alem zawsze rad srodze, żem was Jewuś ocalił od drapieżności niemieckiej.

A kowalka siedziała na ziemi, jęczała, stękała, za głowę się chwytała i gadała:

— Żeby go kolka sparła, tak mnie obwieś bez głowy zdział, żem myślała iżę mię usmiercił na śmierć.

— Ju go kolka nie zeprze — zaśmiał się Sławek — bo mu Pakosz głowę usieknął.

A Pakosz pysznił się, szczyrzył zęby do Jewki i pytał parobków, którzy wytłukłszy knechtów wracali z hełmami, zbrojami, mieczami:

— A gdzie jest rycerz Hanko Ostojczyk?

— Wiemy to? odpowiadali parobcy — był tutaj, sieknął Miemców, ale potem kajś się podział.

Tedy Pakosz mówił:

— Głupie chłopcy, nic nie wiedzą. Ale mnie potrzeba wracać do mego pana, komesa Żelysława z Brzózy, a wy ta białogłowy uciekajcie gdzie na tyły, bo jeno patrzeć jak będzie bitwa.

Uśmiechnął się do Jewki, pokłonił się jej pięknie i wlokąc za sobą zdobycznego konia i zbroję ubitego komtura, ruszył do wojska.

ROZDZIAŁ XV.

Jako moc niemiecka legła u stóp polskich

Król Jegomość po rozbiciu namiotu kaplicznego na wzgórzu między wsiami Grunwaldem i Tannebergiem, oddał się całą duszą nabożeństwu, kiedy nagle na spienionym koniu przypadł rycerz Hanko Ostojczyk, wołając:

— Krzyżacy idą!

Jakoż Hanko uganiając się podle jeziora Lubieńskiego za knechtami rabusiami, dostrzegł postępujące woddali chorągwie krzyżackie, te same, które ujrzał Pąkosz w chwili, gdy z zabitego komtura Henryka zdierał zbroję. Lśniły się helmy i pancerze pod słońce, powiewały białe chorągwie z czarnym krzyżem, a Hanko patrzył, patrzył na nie, na koniec zawrócił z postanowieniem uwiadomienia o tem króla. Jasną bowiem było rzeczą, że wojsko krzyżackie zbliża się, by bitwę stoczyć, a tymczasem, o ile Hanko wyrozumiał, nic o tem w obozie polskim nie wiedzano. Ostawiając tedy dobicie knechtów parobkom taborowym, sam zawrócił i powcwałował do obozu, do namiotu pana królewskie-

go, by ostrzec o zbliżającym się wojsku niemieckiem.

Ale król niebardzo jakoś chciał temu wierzyć i pytał iluż to tam tych Krzyżaków Hanko widział?

— Miłościwy panie, odrzeknie rycerz — ilu ich jest nie wiem, ale pewnością cała chorągiew i to samych przedniejszych rycerzy.

— Pewnie jaki podjazd na przespziegi przysłał — odrzekł król i już miał zawrócić do namiotu, by dalej ciągnąć swe nabożeństwo, gdy nagle w obozie ogromny krzyk się podniósł i słychać było wyrazy:

— Komtura usiekl! komtura tucholskiego! wiwat Pakosz!

Król zatrzymał się i zapytał

— A to co?

Ale już ze wzgórza, na którym stał król widzieć było ogromny tłum zbrojnych, krzyczący „wiwat!“ i prowadzący giermka Żeliszławowego, który dumny, w hełmie krzyżackim jechał dźwigając na ostrzu kopji uciętą głowę komtura Henryka, wiodąc zdobytecznego konia ze zbroją krzyżacką. Pakosz jechał pod bok podparty, jak hetman jaki, pysznił się jak paw, i gadał:

— Tak nie inaczej panowie bracia moi, w rycerskiem spotkaniu usieklę komtura tucholskiego, Henrykiem zwanego, który ślub uczynił, że dopóty giermek jego będzie nosił przed nim dwa nagie miecze, póki ich w krwi polskiej nie spławi. Oto są te dwa miecze, którem ja, Pakosz, giermek komesa Żeliszława z Brzózy, spławił we krwi krzyżackiej.

Mój pan, komes Żelisław, który ślub rycerski uczynił, że dopóty czarną przepaskę na lewem oku nosić będzie, póki nie usieknie rzeczzonego komtura Henryka, tera już tego ślubu spełnić nie będzie mógł, bo oto na tej kopji głowę komturową dźwigam.

— Wiwat Pakosz! dziarski chłop, godny ostróg rycerskich! — wołali jedni, a drudzy dodawali, by go do króla prowadzono.

— Godzi się też zaprowadzić mnie do miłościwego Króla Jegomości — mówił Pakosz — bo wiadomość niosę, że Krzyżacy całem wojskiem na nas następują.

Tedy przyprowadzono Pakosza przed króla, który ujrawszy krwawą głowę komtura, przeżegnał się i pytał co to znaczy. Więc Pakosz zeskoczył z konia i ukląkł na jedno kolano przed majestatem pańskim, jak tego nauczył się na dworze węgierskim, powiedział wszystko i wkońcu rzekł:

— Miłościwy panie, widziałem też jak całe wojsko krzyżackie z całą siłą na obóz nasz następuje.

Nie skończył jeszcze, gdy przypadł na spienionym wielkogłowym myszaty koniku jeden z murzów tatarskich i krzywiąc się, a łyskając czarnemi ukośnemi ślepiami, wrzeszczał z ruska:

— *Wrahi idą!*

Potwierdził tę wiadomość niebawem jeszcze jeden goniec, więc król krzyknął na ochmistrza swego dworu, Bieniasza Wierusza, by mu zaraz zwołał panów rady koronnej, i nie upłynęło dwu pacierzy, gdy już nadbiegli pan krakowski Krystyn z Ostro-

wa, wojewoda Jaśko z Tarnowa, Sędziwój z Ostro-
roga, wojewoda poznański, Mikołaj z Michałowa
wojewoda sędomierski, Mikołaj Trąba podkancle-
rzy, Zbigniew z Brzezia marszałek koronny, Piotr
Szafraniec podkomorzy krakowski, młode ksią-
żę mazowieckie Aleksander Ziemowitowic, wreszcie
kniaź Witold i pan Zyndram z Maszkowic. Wszyscy
owi dostojnicy weszli do namiotu pana królewskie-
go i co tam uradzili niewiadomo, tyle tylko pewno,
że niebawem wypadli z niego kniaź Witold i pan
Zyndram, dosiedli koni i pocwałowawszy do wojska
poczęli je szykować do bitwy w cieniu lasów i ga-
jów.

Porwało się tedy rycerstwo polskie, porzucając
słodki wypoczynek w cieniu dębów i brzoź starych,
siadało na koń, wiązało zbroje, a piechota mazurska
łykiem przymocowywała do nóg postoly, a przed
Litwą biegał kniaź Witold i rozkazy wydawał, a dzi-
kie Tatarzyny i Wołosza na lewem rogu, czyli skrzy-
dle polskiem niezmiernie długą, w półluk zawie-
dzioną linią się szykowało. Całe wojsko podzielono
na trzy hufy z tych pierwszy nazwano czelnym,
drugi walnym. Po ulicach między temi hufami
przebiegał ciągiem kniaź Witold, z giermkim swo-
im, który obyczajem rycerskim niósł przed nim
dwa miecze, a Pakosz odpoczywając sobie w po-
środku chorągwi Gryfitów, jako był we wszelkich
sztukach wypróbowany, począł, jak gadał, układać
trefną kanconę o tem, jak usiekl komtura Henryka
i jak wojsko kniaź Witold szykował do bitwy. Brzą-
kając miasto liry, której nie miał, głowicą szabli

o szczyt zdobywczy na komturze Henryku, śpiewał tedy:

Idzie Witold po ulice

Przed nim noszą dwie szablíce.

A jego pan, Komes Żelisław z Brzózy siedział na koniu cały zakuty w zbroję czarno szmelcowaną, jednym okiem groźnie na giermka poglądał i gadał:

— Otoś mi paliwodo giermku, giermku niecnoto, nieszczęście przyniósł. Jakże ja teraz mój ślub rycerski wykonam, skoroś ty komtura Henryka usiekl? Co ja teraz nieszczęśliwy pocznę? Żali całe życie przyjdzie mi tę czarną przepaskę na oku nosić?

— Nie frasujcie się miłościwy panie — gadał Pakosz — żali jam winien, że mnie najechał komtur Henryk i żem go w boju rycerskim broniąc żywota własnego, usiekl? Uczyńcie teraz panie ślub, że miasto jednego komtura, usiekniecie dwu albo trzech białych płaszczów i będzie jako gadka prawi, i wilk syty i koza cała.

— Tak mówisz?

— A tak! ale oto Krzyżaki!

I w rzeczy samej, na onej nagiej płaszczyźnie, rozciągającej się przed lasami i gajami, w których szykowało się wojsko polsko - litewskie, porosłej jeno zielskiem i zieleniejącej sześciu samotnemi dębami, na piaszczystych wzgórzach, ukazało się nagle w blasku jarzącym południowego słońca lipcowego

ogromne, błyszczące świetnemi zbrojami, wojsko krzyżackie.

Od tych zbroi polerowanych, od ich szczytów złocistych, od hełmów iskrzących się grzebieniami z różnobarwnych paciorków i piór pawich, od ich mieczów, kopij, dzid i młotów, taki blask padał, że raził oczy patrzących. Na tych zbrojach mieniły się tuniki purpurowe, modre, żółte, zielone, gdzie niegdzie przegrodzone białemi płaszczami krzyżackiem; olbrzymie, rosłe konie pokryte były przepysznyemi kobiercami perskiemi i tureckimi, i zdało się, że cały świat zachodni, od ziemi szwabskiej, frankońskiej, angielskiej, z dalekich krajów zamorskich wystąpił tutaj, by kopytami koni i grzywami pomalowanemi na czerwono, żółto lub zielono, strataować ziemię polską.

Nad tą olbrzymią masą zbrojnego rycerstwa zalegającego wszystko pole i ginącego w mgle oddalenia, unosił się cały las najrozmaitszych pstrych chorągwi i proporców, mieniących się wszystkiemi kolorami tęczy, misternie pomalowanemi w orły, gryfy, lwy i jakieś dziwaczne, bajeczne zwierzęta. Wiatr taki łopot czynił wśród tych chorągwi, że słyhać było ten głos nawet w szeregach polskich. Nad wojskiem krzyżackiem unosiła się chmura kurzu, wzbitego dziesiątkami tysięcy nóg ludzkich i końskich.

Ogromne te masy krzyżackiego rycerstwa stały na piaszczystych wzgórzach, na nagich polach skwarząc się w ciężkich zbrojach pod promieniami lipcowego słońca i wyglądając z utęsknieniem rychło

li Polacy wystąpią z cieśni leśnej, by na nich uderzyć druzgoczącym ciężarem swych koni i zbroi.

Ale Polacy nie występowali, a książę Witold ślał gońców jednego po drugim do Króla Jegomości, by dał hasło do boju, niecierpliwił się coraz bardziej, cwałował po ulicach dzielących hufce, i trzeciego już dosiadł konia, bo dwa poprzednie, zmęczone śmiertelnie, służyć mu dłużej nie mogły.

Ale król upragnionego hasła nie dawał, jeno modlił się ciągle w namiocie kaplicznym. Kole tego namiotu uszykował się huf przyboczny królewski, dobrany z najdzielniejszych junaków, w liczbie sześćdziesięciu kopijników, między którymi był grabia Zbyszko z Oleśnicy, pan Jan Wężyk z Dąbrowy, Bieniasz Wierusz, dwu książąt litewskich, i Sławek Warcholak, dzierżący konia królewskiego, z tysiąca wybranego, cisawej maści z białą strzałką na czole. Wszyscy stali w posępnem milczeniu, oczekując na hasło do boju, które dać miały trąby i surmy.

Ale i Krzyżakom sprzykrzyło się stać pod pałacami promieniami słońca w ciężkich zbrojach, więc postanowili obyczajem rycerskim, posłać hetmanom polskim przez heroldów wyzwanie do boju, w postaci dwu nagich mieczów, oraz uwiadomić Polaków, że jeżeli im ciasno jest w lesie i gajach, to Krzyżacy gotowi są cofnąć się nieco, by Polacy mieli gdzie się rozwinąć. Na heroldów wybrano herolda króla węgierskiego, nazwiskiem Ramryka, który na jace jedwabistej, złocistej barwy miał wyhaftowanego czarnego dwugłowego orła; oraz he-

rola księcia szczecińskiego Kazimierza, który miał wyhaftowanego gryfa czerwonego w białym polu.

Wielkie zdziwienie było w szeregach polskich gdy ujrano tych dwu posłów, zbliżających się z nagłymi mieczami, a Pakosz przypatrując im się bacznie, rzekł do wzdychającego ciężko swego pana:

— Niechno wasza miłość spojrzeć raczy na tych dwóch heroldów. Nie wiem czego oni chcą, ale to wiem napewno, że jeden z nich to Ramryk.

— Co za Ramryk?

— Żali wasza miłość nie pamięta tego kpa na dworze węgierskim, który zawsze ilekroć w obliczu pięknych dam dworskich śpiewałem przy dźwiękach lutni kanconę o nadobnej damie Elwirze z Koziego Rogu, on ziewał i zasypiał.

— Aha! coś mi się ochapia...

— I któremu za to dałem pewnego razu prztyka w nos. Na miły Bóg, to on! Pojadę ku niemu i znowu mu dam prztyka w nos.

I nie czekając na odpowiedź swego pana, Pakosz spał konia i cwałem popędził do pocztu królewskiego, który w niemem milczeniu oczekiwał zbliżenia się dwu heroldów. Kiedy nakoniec oni stanęli pod namiotem kaplicznego, w którym król Władysław Jagiełło ciągle się modlił, i oznajmili, że mają poselstwo do króla, pan Bieniasz Wierusz poszedł uwiadomić o tem pana, a heroldowie tymczasem w dumnych postawach oczekiwali, a oczekiwać musieli dłużej, bo król dla godnego ich przyjęcia wezwał do namiotu kniazia Witolda, ks. Mikołaja

Trąbę podkanclerzego, pana Jana Wężyka z Dąbrowy i grabię Zbyszka z Oleśnicy. Przykazano też stanąć w pobliżu namiotu czterem giermkom królewskim, a mianowicie z kopją pana królewską, stał Zbigniew Czajka z Nowego Dworu, z proporczykiem Mikołaj Morawczyk, z łukiem i sajdakiem Danniłło Rusinek, a konia królewskiego dzierżył Sławek Warcholak. Trzej pierwsi giermkowie mieli na jakach z karmazynowego jedwabiu, wyszyty herb koronny i litewski, to jest orła białego w koronie i pogoni.

Podczas kiedy się to uroczyste przyjęcie heroldów krzyżackich przygotowywało, Pakosz podjechał do nich i zawołał po niemiecku, którego to języka nauczył się na dworze węgierskim:

— Hej Ramryk, psia łapo (Hundspfott) jak się masz?

Ramryk, Niemiec czarny jak smok, w ten sposób powitany, spojrzał na krzywiącego się szpetnie Pakosza, przybrał postawę majestatyczną i zawołał:

— Kto tu śmie obrażać herolda panów niemieckich? Żali niewiadomo ludziom w tym kraju barbarzyńskim, że osoba posła jest świętą?

Krzyczał tak głośno, że wszystkich uwagę to zwróciło, a Pakosz zmieszany tem, syknął:

— Stul pysk (halt Maul) mordo niemiecka, bo ci prztyka dam takiego, jakim ci dawał na dworze węgierskim, pamiętasz psia łapo?

Tedy Ramryk przypatrzył się lepiej Pakoszowi, zaczerwienił się jak rak poznawszy go zapewne

i chciał coś rzec, gdy nagle pan Jan Wężyk wyszedł z namiotu królewskiego i wezwał obu heroldów, by się stawili przed oblicznością pana królewską. Ramryk ruszył przodem, a Pakosz syknął mu do ucha:

— Czekaj psia lapo, dam ja ci dzisiaj takiego prztyka, jakiego dałem przed godziną zbójowi Henrykowi, komturowi tucholskiemu.

To rzekłszy, cofnął się do orszaku kopijników i zniknął w nim.

Tymczasem heroldowie stanawszy przed królem pokłonili się pięknie i Ramryk począł mówić językiem niemieckim, co pan Jan Wężyk z Dąbrowicy, świadomy tej mowy, tłumaczył na polskie.

Herold Ramryk dumną przybrawszy postawę, mówił:

— Przynosimy w imieniu wielkiego mistrza, wielkiego marszałka i całej braci zakonu św. Jana Jerozolimskiego, tobie królu polski Władysławie i tobie kniaziui litewski Witoldzie, te oto dwa miecze nagie w pomoc i zachętę do boju, który dziś stoczyć macie. I pozwalają wam ciż panowie zakonni wybrać sobie miejsce do walki, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie traćcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie stróńcie od bitwy, której uniknąć wam nie damy.

Gdy to mówił, w rzeczy samej spostrzeżono, że wojsko krzyżackie cofnęło się o niemалą odległość wstecz, robiąc tym sposobem miejsce do boju ry-

cerstwu polskiemu, a król, który pono liczył, że spór z chytrem Krzyżactwem da się jeszcze pokojowo załatwić, przybrał minę frasobliwą i rzekł:

— Pomocy nie szukamy u nikogo, jeno u Pana Boga. W Jego też imieniu przyjmujemy te miecze i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Miejsca atoli bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytycza plac boju. On go i wam i nam oznaczył.

To rzekłszy Król Jegomość wziął oba miecze z rąk heroldów i oddał je panom za sobą, przykazując by je zachowano na wieczną rzeczy pamiątkę w skarbcu królewskim. Heroldów zaś oddał pod straż rycerza Dziwosza herbu Jelita. Ten poprowadził ich między kopijników królewskich, co ujrzawszy Pakosz, znów zbliżył się do Ramryka i podrwiwać sobie z niego zaczął, przezywając go ciągiem „psią łapą“ i „mordą niemiecką“.

Ale już wydano rozkazy do boju. Książ Witold cwałem poleciał do szeregów rycerskich, król przywdział na siebie zbroję świecącą, skoczył na podanego mu przez Sławka żrebca cisawego i otoczony swemi kopijnikami, ruszył na najwyższy wzgórek, skąd całe pole bitwy widne było jak na dłoni. Tu przybiegła doń drużyna kilku junaków, a między nimi i Pakosz i kornie poczęła prosić króla, by ich w obliczu nieprzyjaciela pasował na rycerzy. Król chętnie się na to zgodził, ile że obyczaj i zakon rycerski tego wymagał, i gdy oni junakowie przyklekli przed licem pańskim, król dobył miecza i uderzając nim w ramiona klęczących, mówił:

— Czynię cię rycerzem i przyjmuję do zakonu rycerskiego, byś bronił świętej wiary, ziemi ojczystej, i uciśnionej niewinności. Wstań i niech cię Bóg ma w swej opiece.

Po ukończeniu tej ceremonji, po której Pakosz z dumą i pychą wielką odjeżdżał ku swemu panu, rozwinięto nad królem wielką chorągiew z orłem białym, zagrały surmy i trąby i cała linja bojowa polska rozbrzmiała starą pieśnią:

Boga Rodzico, Dziewico

Bogiem sławiona Maryjo!

Jeszcze nie skończono tej jękliwej pieśni modlitewnej, gdy wiatr się zerwał, rozwinął z głośnym łopotem tysiące różnobarwnych chorągwi i proporców, powiał kurzem w oczy Krzyżakom i Litwa z grzmiącym okrzykiem ruszyła z kopyta na wroga.

Jako dwie brzemienne gromami chmury, gdy się zetkną ze sobą i rykiem świat napelniają i błyskawicami a ulewą o swej wściekłości znać dają, i jako dwa orły spotkawszy się w szlakach niebieskich drą się szponami o zdobycz; jako szumiąca fala wód wielkich gdy uderzy o zaporę huczy, pieni się i pryska, tak zwarła się siermiężna, skórzana Litwa z rycerstwem krzyżackiem w stal i żelazo zakutem. Ziemia drżała, dudniała i jękla pod tysiącami kopyt końskich, chrzęszczały zbroje, ryczały działa, las pocisków zaświszczał w powietrzu i na kilka mil wokoło słychać było odgłos tego potężnego starcia. Krzyżactwo całą swą siłą, zniżywszy kopje w pół

ucha końskiego, runęło z wyżyny piaszczystej hucząc setnemi piersi:

Christ ist erstanden! ¹⁾.

A z boku, niby szara chmura, na swych wielkogłowych mierzynach rwało, z carzykiem Zeladynem na czele, dzikie Tatarstwo, puszczaając w biegu niezliczoną ilość strzał i krzycząc:

Allach! Allach! el akbar Allach!

I ujrzano rzecz dziwną. Na parę stajen przed cwałującą Litwą, samowtór na wielkich koniach, od stóp do głów w zbroje zakuci, pędzili na wielkich koniach, dwaj rycerze z wymierzonymi ku wrogom kopjami, a jeden z tych rycerzy miał czarną przepaskę na lewem oku. Tak, był to komes Żelisław z Brzózy i grabia Mikołaj Kmita z Wiśnicza. Rumak Żelysława był maści izabelowatej i pokryty na piersiach i łbie żelazem, z kitą czarną u czoła; koń zaś Kmity był kary, z ogonem i grzywą na czerwono pomalowaną i rycerskim obyczajem przyodzian był złocistą kapą. Rwali oni co jeno sił mieli, by z rozkazania królewskiego pierwsi skruszyć mogli kopje z Krzyżactwem.

Ale niebawem olbrzymia chmura kurzu, trysnęła w górę i zakryła obu walecznych rycerzy i ogromną nawałę litewską i tatarską i nic już widać nie było.

¹⁾ Chrystus Zmartwychwstał

Jeno, z tej kurzawy slychać było straszne krzyki ludzkie, pisk koni, uderzenia głuche, brzęk szabel, trzask pękających zbroic, wrzawę okrutną; jeno od czasu do czasu prysła w górę strzaskana kopja, lub szabla złamana, czasem krwawa głowa ludzka, wypadł koń bez jeźdźca lub z jeźdźcem trupem, wlokąc go za sobą, znacząc krwią każdy skok swój.

Mocowano się tak ze sobą przeszło godzinę, aż wkońcu ujrzano zrazu pojedynczych jeźdźców litewskich i tatarskich wymykających się z boju, potem coraz ich więcej przybywało, aż nakoniec cały hufiec litewski w dzikim popłochu, złamany przewagą krzyżacką uciekać zaczął na wsze strony, zawzięcie ścigany i mordowany przez zwycięskich knechtów i rycerzy niemieckich.

Atoli z tego strasznego zamętu, z tej dzikiej rzezi wysunęła się dzielna rota Smoleńszczan, ściśnięta w zwarty szereg, ustępująca krok za krokiem, broniąca się niby odynieć przez sferę psów opadnięty, a biada temu kto zbyt blisko do nich dopadł. Krużyły się kopje o potężne piersi tych wojaków, świ-szczały strzały, berdysze gniotły żelazne helmy i Smoleńszczanie ciągle niepokonani, nieprzelamani, znacząc krwią każdy krok swój szli, szli ciągle ku polskiej braci szeregom. Wtedy kniaź Witold z gołą szablą w garści, z której krew niemiecka ciurkiem ciekła, z włosiem rozwianym, z okiem błyskawice ciskającym, przypadł do milczącego rycerstwa polskiego i krzyknął:

— Naprzód Polacy, czas na was!

Olbrzymia chmura kurzu unosiła się na tem polowisku, krwią ludzką nasiąkłem, tak że trudno było co dojrzeć, ale w tejże chwili drobny deszcz upadł, oczyścił i rozjaśnił powietrze, słońce z poza mgły wyjrzało, podniosła się wielka chorągiew z orłem białym i ława polska z brzękiem i chrzęstem ruszyła do boju. Przed nią, na czele, na ogromnym koniu w zbroje zakutym, pędził z chorągwią koronną Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, a obok niego z kopjami pochylonemi, szumiącemi różnobarwnemi proporczykami, rwali z przyłbicami u hełmów spuszczone, najprzedniejsi rycerze przedchorągiewni, a więc Zawisza Czarny Sulimczyk, Florjan z Korytnicy Jelitczyk, Domarat z Kobylan Grzymalita, Skarbek z Gór Habdank, Paweł Złodziej z Biskupic herbu Niesobia, Jan Warszawski Nałęcz, Stanisław z Charbinowic Sulimczyk, i Jaksa z Targowiska zawołania Lis.

Zwarto się potężnie. Gdy skruszono kopje, rzucono się do mieczów, młotów, toporów, rąbano się, pękały hełmy, trzaskały zbroje, chwymano się za bary i rękami się duszono, a kto padł na ziemię, ten już podnieść się nie mógł, bo go stratowano. I jak gdyby wściekłość ludzka przenikała nawet do zwierząt, konie gryzły się wzajemnie, wierzgały i raniły się kopytami. Trzask i huk był tak wielki, że wielu się zdało, jakoby świat się zapadał. Ale Krzyżactwo upojone świeżym triumfem nad siermiężną Litwą, parło naprzód nieprzełamaną, żelazną ławą.

W tym tumultie Marcin z Wrocimowic cięty mieczem upuścił wielką chorągiew koronną, a acz naj-

dzielniejsi rycerze stanęli w jej obronie i Zawisza Czarny Sulimczyk znowu ją podniósł i rozwinął, wszelako bój uparty, bezlitosny trwał dalej. Na nieszczęście ta część wojska krzyżackiego, która puściła się w pościg za Litwą, wróciła na pobożowisko i z głośną w tej dobie „furją teutońską“, rzuciła się na rycerstwo polskie, które ściśnięte z dwóch stron broniło się zażarcie.

Wtem sam mistrz wielki, Ulryk von Jungingen, chcąc dobić Polaków, poprowadził z boku do boju ostatni swój odwód, szesnastcie nietkniętych jeszcze chorągwi rycerstwa najemnego z ziemi chełmińskiej. Z traskiem, brzękiem, krzykiem leciały one zachodząc z boku walczącym polskim wojownikom.

Król ze swym poczem sześćdziesięciu junaków stał na wzgórzu właśnie od tej strony, z której biegły te nowe chorągwie krzyżackie. Niebezpieczeństwo było wielkie, bo widoczną było rzeczą, że otrzeć się one koniecznie muszą o garść królewskich wojowników. Już pan Wężyk z Dąbrowicy zwinął proporzec królewski z orłem i pogonią, by nie zwrócić nim uwagi przelatujących chorągwi niemieckich i wołał do króla:

— Miłościwy panie, uchodź póki czas, my zdzierzymy przez chwilę na sobie przemoc niemiecką i ocalejesz.

Ale król groźnie spojrzał na Wężyka, zamruczał coś po rusku i rozkazywał Zbyszkowi z Oleśnicy, aby ruszył do najbliższej chorągwi polskiej po pomoc. Zerwał się grabia Zbyszek i leciał cwałem,

a za nim Hanko Ostojczyk i Sławek, lękając się by kręcące się po poboju knechty niemieckie, nie opadły ukochanego przez nich panicza. Chora-gwią ową najbliższą dowodził groźny, krzykliwy komes Kielbasa herbu Nałęcz, i gdy mu Zbyszek rozkaz królewski powiedział, ofuknął się gniewnie i wskazując na pędzących Chełmian rzekł:

— Jakże to ja mam się stąd ruszać, kiedy oto Niemcy na mnie walą? Żali godzi mi się stąd ustępować? — zresztą już za późno!

I w rzeczy samej Chełmianie już ominęli poczet królewski. Zrazu dojrzawszy go chcieli zawrócić i nań uderzyć, ale wielki mistrz Ulryk von Jungin-gen zastąpił im drogę, krzycząc:

— *Herum! herum!* i wskazując mieczem na walczących z główną siłą polską Krzyżaków.

Zawrócili tedy, tylko jeden rycerz, ujrzawszy lśniąca zbroję królewską, Niemiec rodem z Łożyc, Dyppold Kiekieryc von Dieber, oderwał się od swych towarzyszy i złożywszy się kopją rwał cwałem wprost na króla. Właśnie w tej chwili grabia Zbyszek z Oleśnicy rozgniewany odmową pana Kielbasy Nałęcza, wracał pędem do pocztu królewskiego, a widząc zuchwalstwo Kiekieryca dopadł doń z boku i tuleją, czyli koczanem kopji tak silnie go uderzył, że niemiecki zbój zachwiał się na kulbace i runął z trzaskiem na ziemię. Przy tym upadku pękły mu rzemienie u przyłbicy i król kopją uderzył w obnażoną głowę, a kopijnicy zakłuli go i rozsiekli na miejscu.

Rycerz Hanko Ostojczyk i Sławek nie powrócili

do pocztu kopijników, porwał ich wir boju; rzucili się oni wraz z hufcem pana Kielbasy Nałęcza na rotę chełmińskie, spieszące z pomocą Krzyżakom, by ostatecznym ciosem dobić rycerstwo polskie. A rycerstwo to nie ustępowało kroku, walczyło zawzięcie, ale z każdą chwilą obręcz krzyżacka ścieśniała się, coraz silniejszymi ramiony je obejmowała, zwłaszcza gdy teraz przypadł hufiec chełmiński. W tym natłoku znalazł się Sławek i czuł jak go ogarnia jakaś wściekłość, jak jakaś mgła krwawa zasłoniła mu oczy, jak przepelniła wszystką jego kmiącą, polską duszę żądzą mordy niemieckich rabusiów i ciemieńców. To też dzierżąc topór w ręku szedł jak huragan i gdzie jego cios dosięgnął tam z rozbitą na drzazgi głową padały białe płaszcze, pękały hełmy, odlatywały odrąbane ramiona. Cały był już posoką niemiecką zlany, gdy nagle usłyszał tuż przy sobie głos:

— Bywaj Sławek!

Był to Pakosz ubrany w zdobyczny hełm komtura Henryka i siedzący na jego wielkim koniu. Oburącz trzymał on wielki miecz niemiecki i rąbał nim na prawo i lewo. Ujrzał też Sławek i rycerza Żeliszława z Brzozy, już bez przepaski na oku i bez łańcucha na nodze, jak w potrzaskanym hełmie, ze zwiśłym i pięknym niedawno pióropuszem, a teraz porąbanym i połamanym, rum sobie mieczem czynił, a gdy jakiego Krzyżaka powalił, krzyczał:

— Otom cię usiekl psia duszo niemiecka na cześć nadobnej kasztelanki Elwiry z Koziego Rogu.

Ale coraz ciśniej było rycerstwu polskiemu.

Więc książę Witold wyprowadził do boju, trzeci huf polski żołnierzy zaciężnych, dotąd nie biorący udziału w walce i ukryty w gęstwinie leśnej. Krzyżacy zaś wywiódłszy wszystkie swe siły, nie mieli już kogo przeciwstawić nowym posiłkom polskim. Tedy teraz Niemcom zaczynało być ciasno i ciężko. Bronili się zawzięcie i walka jeszcze się chwiała, gdy nagle zagrzmiało w powietrzu straszne tatarskie:

Ałlach! Ałlach! el akbar Ałlach!

To Litwa i Tatarstwo wstrzymane przez carzyka Zeladyna w ucieczce, zawróciło i z boku i tyłu uderzyło na Krzyżactwo. Teraz trup niemiecki szedł gęsto; nie przebaczone nikomu. Litwa siermiężna, jakgdyby sromąła się niedawnej ucieczki, tłukła kiścieniami, berdyszami, palkami, nabijanemi krzemieniem, lby niemieckie jak stare garnki; świszczwały w powietrzu tatarskie stryczki, ściągające z koni rycerzy niemieckich. Krzywe szable ucinały im głowy i krwawe te trofea na dzidy podnoszono.

Sławek przedzierając się naprzód i przede wszystkim godząc w białe płaszcze krzyżackie, ujrzał przed sobą wielkiego mistrza Ulryka von Jungingena, siedzącego na dzielnym koniu, w złocistym hełmie z pióropuszem, jak otoczony gromadą najdzielniejszego rycerstwa niemieckiego, ze straszliwym rozmachem swego prostego miecza niemieckiego, powalał wszystko i wszystkich przed sobą. Przyłbicę miał podniesioną, twarz potem zlaną, a długa ru-

da broda zwieszała się na prześliczny, złotem i srebrem nabijany pancerz.

Sławek usiłował przedrzeć się do tego wodza krzyżackiego, gdy nagle dostrzegł, że on się zachwiał i ręką sięgnął do szyi. To stryżek tatarski uchwycił tę szyję; twarz mistrza zsiniała nagle, duże blade oczy rozszerzyły się z wyrazem przerażenia, a w tejże chwili, jakaś postać krępa, jak dąb silna, w kozuchu do góry włosem wywróconym, w kołpaku wilczym na rozczochranej głowie, chwyciła potężną łapą wielkiego mistrza za piersi, i podniósłszy straszliwy topór, z trzaskiem pękającego hełmu zagłębiła go w głowie krzyżackiego wodza. Krew trysnęła strumieniem i Ulryk von Jungingen, niedawno pyszny pan niemiecki, grożący, że w Krakowie na zamku wawelskim zasiądzie, leżał teraz krwawym trupem na świadectwo ukaranej pychy.

Gdy Sławek rzucił okiem na tego kozusznego zwycięzcę, poznał w nim owego Tatarzyna, który na św. Krzyżu niósł za Królem Jegomością ofiarną bryłę złota.

I oto, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i blaskiem cichych, purpurowych promieni oblewało niwy między Grunwaldem i Tannenbergiem, na tych niwach leżała pokotem w krwi kąpać się własnej, wszystka moc i wszystka potęga krzyżacka. Jak okiem było sięgnąć białą teraz na tem polu pła-

szcze krzyżackie, krwią obryzgane, te płaszcze, które mieczem ścigać chciały króla polskiego, aż do Krakowa.

Sprawdziła się przepowiednia świętej niewiasty, że Bóg wyłamie zęby pysze krzyżackiej, utnie im rękę prawą i prawą nogę chromą uczyni.

A ta polska Korona, która stać się miała służebnicą niemiecką, zajaśnieje odtąd na długie wieki, takim blaskiem potężnym, że rozświeci cały wschód Europy, że bić jej będą czołem wszystkie ludy sąsiednie. I teraz, gdy zachodzące słońce zegnało swemi promieniami kładącą się w grób moc krzyżacką, od wschodu ukazywała się jutrzienka świętności i chwały i wolności polskiej, jutrzienka, która z czasem mogła i uległa w rzeczy samej przyćmieniu, ale świeci zawsze i wiecznie świecić będzie.

I przyjdzie czas znowu, że Bóg po raz drugi wyłamie zęby potomkom zbójckiego Krzyżactwa i nowy krwawy Grunwald im sprawi...

Wesołą była zima w Polsce po dniach krwawego lipcowego boju na polach grunwaldzkich, ale najweselszą bodaj w chałupie starszego nad leśnikami królewskimi, Piotra Warchoła w Jedlni. Sute tam, cały tydzień trwające, wyprawiano weselisko Pakosza, pasowanego rycerza, ze złotowłosą Jewką Warchołówną. Stara kowalka, ubrana w kraśną chustę,

w piękną modrą jubkę, w skórznie czerwone, podparwszy się pod boki, opowiadała dziwy o tem, jako komtur krzyżacki chciał porwać Jewkę, jako ona go warzącwiał bez łeb trzasła i zabiła, a Pakosz je-
no już nieżywemu łeb uciął. A chocia Jewka gada-
ła, że to nie tak było, to kowalka przytupując no-
gami krzyczała:

— Cichaj Jewuś, cichaj... ju ja to wszyćkim doku-
mentnie opowiem... o! moiściewy, kumoski moje ser-
deczne, żeby nie ja tobyśta Jewki dzisiok nie oglą-
dały i na jej weselisku przedniego krupniku z mio-
dem nie pily.

To rzekłszy przytupywała nogami w takt oberka
wygrywanego na skrzypcach przez żydów z Ko-
zienic, i przyspiewywała:

Oj chmielu, oj nieboże
Niech ci Pan Bóg dopomoże!

I ja, piszący to, na tem weselu byłem, miód i wi-
no pilem...

Jedlnia w sierpniu, 1909.

Radom, styczeń, luty, 1910 r.



132 930

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. W którym kum Rojek, Przekorą zwan, wszystkiemu się sprzeciwia.	5
II. W którym parobek, Gamajdą zwan, nie nie mówi, jeno bobiem się karmi	18
III. W którym Stańko dowiaduje się o karle-czarowniku	35
IV. Jako kowalka widziała króla w koronie jaśniejszej od słońca	47
V. Jako król poczał ścigać zwierza i co z tego wynikło	62
VI. Jako się Jewka przekonała, że króle niezawsze w koronie chadzają	77
VII. Jako starszy nad pacholkami pana marszałkowskimi, przy pieśni o nadobnej Elwirze z Koziego Rogu zasnął, i brzydko chrapał	91
VIII. W którym Zbyszek, grabia z Oleśnicy, mówi trochę o Ojcu św., o wielkoludach i o zwichniętej ręce królewskiej	109
IX. W którym komes Żelislaw z Brzozy wyzwał na rękę komesa Kmitę i co z tego wynikło . . .	126
X. W którym kowalka i Jewka znowu się pojawiają	142

XI.	Jako kowalka zapowiada, że będzie rychły koniec świata	157
XII.	W którym ksiądz opat klasztoru Czerwińskiego opowiada ciekawe o Krzyżakach historje . .	172
XIII.	W którym Pakosz o mało nie został przez kowalkę obity	184
XIV.	Jako Pakosz usiekl komtura Henryka i ocalił Jewkę	200
XV.	Jako moc niemiecka legła u stóp polskich . .	216